

**Edmund Niziurski**

**Sposób na Alcybiadesa**

**Wydawnictwo „Czytelnik”  
Warszawa, 1974  
Wydanie VI**

## Rozdział I

Po maturze zrobiłem mały remanent moich szpargałów. Zeszyty zbyt gęsto upstrzone czerwonym atramentem, za pomocą którego cierpliwi profesorowie prostowali moje kręte ścieżki do wiedzy, przeznaczyłem wstydliwie na makulaturę.

Podręczniki postanowiłem sprzedać w komisie szkolnym. Nie wezmę za nie dużo. Obok bowiem tekstu zatwierdzonego do nauczania przez Ministerstwo Oświaty znalazła się tam moja radosna współtwórczość, która — jak dotąd — nie znajduje właściwego zrozumienia u pedagogów. Z pewnością również, z wyjątkiem może P.T. fryzjerów, perukarzy oraz kostiumologów, nie znajdzie uznania obfity zarost i bujne owłosienie, w które zaopatrywałem czcigodnych mężów i niewiasty z ilustracji, jak również nowe modele ubrań, w które pozwoliłem sobie ich przebrać.

Dokopałem się także do mojej autentycznej twórczości literackiej i tu przeżyłem pewną rozterkę. Nie ze wszystkim chciałem się rozstać. Bez wahania wprawdzie oddałem na pastwę ognia powieść pt. „Nowy Zorro”, którą pisałem w klasie dziewiątej, ten sam los spotkał także wiersze liryczne wyprodukowane w klasie dziesiątej pod wpływem znakomitego poety szkolnego Wąflusza, jednak już przy „Kronice” zdrząła mi ręka.

Odczytałem parę zdań. Tak, niewątpliwie to była jedyna spuścizna literacka, którą warto ocalić dla potomnych.

Na dnie szuflady znalazłem również zielony brulion w twardej okładce z napisem „Kasa”. Była tam zawarta rachunkowość naszej paczki.

Przeglądałem poszczególne pozycje. Prócz banalnych — takich jak: „przejazdy służbowe”, „bilety kinowe”, „kreda”, „pinezki”, „piłka”, „pletwy” czy „dętka” — znajdowały się tam wydatki, które budziły osobliwe wspomnienia. Na przykład: „kwiaty na pożegnanie pani Lilkowskiej — 36 zł”, „wybita szyba — 88 zł”, „pokarm dla drobiu Więckowskiej — 15 zł”, „koszty wagarów majowych — 132 zł 30 gr”. Uwagę moją przykuła zwłaszcza jedna pozycja, zaksięgowana jako „SPONAA — 47 zł 10 gr”.

Zamyśliłem się melancholijnie. Oczywiście wiedziałem dobrze, co znaczy zagadkowe SPONAA. Nie zapomnę do śmierci zadziwiającego przebiegu wypadków, który się z tym łączył... Rzecz od początku wyglądała dramatycznie. Dość powiedzieć, że zaczęło się w gabinecie Dyra.

Pamiętam, cała nasza czwórka stała tam pod ścianą: Zasepa, Słabiszewski, zwany „Słabym” chyba dla przekory, bo był najsilniejszy z całej klasy, Józio Pędzelkiewicz, zwany „Pędzlem”, młodszy brat sławnego motocyklisty Tadeusza Pędzelkiewicza z jedenastej, i ja...

Staliśmy z bardzo niewyraźnymi minami przed obliczem Ciąła nauczycielskiego. Patrzył na nas Dyr i nasz wychowawca pan Żwaczek, i matematyk pan Ejdziatowicz, czyli „Dziadzia”, i pani Kalino, i pozostali nauczyciele, a oprócz nich patrzył na nas z wyrzutem odrapany Katon z piedestału oraz dwudziestu czterech zasłużonych wychowanków naszej sławnej szkoły z portretów zdobiących ściany gabinetu.

— Pokolenia patrzą na was z obrzydzeniem... — słyszeliśmy głos Dyra. — Do zagadek stulecia będzie należał zdumiewający fakt, w jaki sposób w ogóle znaleźliście się w ósmej klasie...

Zanosilo się na przemowę dłuższą, a co gorsza — zasadniczą.

Było pogodne wrześnie popołudnie. Leniwe, senne muchy brzęczały nad głową Katona. Jedna z nich spacerowała mu bezczelnie po czole. Chcieliśmy zachować jego kamienny spokój, ale to było trudne, tym bardziej, że czoł naszych, w przeciwieństwie do owego szlachetnego męża starożytności, nie zdobiły cnoty.

Staraliśmy się więc nie słuchać Dyra, obawiając się słusznie, że nie będzie to zdrowe dla naszych delikatnych nerwów.

Patrzyliśmy zezem za okno. Za oknem przechadzał się chudy koń zwany przez nas Cyceronem. Należał on do sąsiada szkoły, wozaka, pana Szyi. Wozak Szyja wpędzał go przy każdej okazji na zieloną murawę naszego boiska dla podkarmienia, a my, patrząc za okno, myśleliśmy o szczęściu konia.

Do gabinetu wpadła osa i na moment zakłóciła błogi stan naszej izolacji. Na tle jej gniewnego bzyku doszły nas znów słowa Dyra:

— ...czy zdajecie sobie sprawę, że zbecześciliście honor jednej z najznakomitszych szkół? Szkoła nasza jest zbyt stara i sławna, by można bezkarnie deptać jej tradycje!

Tak, zdawaliśmy sobie doskonale sprawę... To było właśnie nasze nieszczęście, że chodziliśmy do szkoły „zbyt starej i sławnej”. Podobno założyła ją Komisja Edukacji Narodowej w czasach, kiedy Żoliborz nie należał do Warszawy i nazywał się Joli Bord. Oczywiście z tamtej epoki nie pozostał nawet kamień na kamieniu, ale tradycja przetrwała. Szkoła była niszczone wielokrotnie przy okazji każdego nieszczęścia narodowego, ale — jak to określał Dyr — żadna wroga siła nie zdoła zniszczyć ducha szkoły. Odradzała się stale na nowo i zasilala dzielny naród polski swoimi wychowankami. Gdziekolwiek krew się lała, tam zawsze znaleźli się jej uczniowie.

Tak było podczas powstań, tak było też podczas ostatnich wojen. Na korytarzu przy głównym wejściu znajdowały się tablice marmurowe, gdzie złotymi zgłoskami wyryto nazwiska uczniów, którzy padli za ojczyznę. Po prawej stronie tych, którzy zginęli w czasie pierwszej wojny światowej, po lewej stronie tych, którzy zginęli w czasie drugiej wojny światowej. Tablica po lewej stronie była dłuższa i nazwisk tam było cztery razy więcej.

Prócz żołnierzy szkoła nasza dała narodowi szereg wybitnych obywateli: uczonych, artystów i podróżników. Nie były to może gwiazdy pierwszej wielkości, takie, które figurują nawet w małych encyklopediach, ale blask ich nazwisk był wystarczająco duży, by opromienić sławą imię naszej budy. To właśnie ich podobizny malowane przez artystę malarza, również ucznia naszej szkoły, zdobiły gabinet Dyra.

Wyliczanie wszystkich zajęłoby zbyt dużo czasu, wspomnę więc tylko o jednym obrazie, który najbardziej przemawiał nam do wyobraźni. Obraz ten wisiał nad biurkiem Dyra i przedstawiał sławnego podróżnika po Oceanie Spokojnym, uczestnika powstania listopadowego, kapitana Józefa Pucia, który został zjedzony przez krajowców na wyspach Fidżi. Na szczęście zdołał przedtem wprowadzić szereg cennych poprawek do map wysp południowych i uzyskać sławę naukową.

Artysta przedstawił kapitana Pucia na brzegu morza — pod palmą, w czarnym cylindrze, z fajką w zębach i z wielką lornetą w dłoni — lustrującego zarośla wyspy. Było w nim coś z Nelsona i Cooka zarazem.

Tradycję szkoły podtrzymywali dzielni wychowankowie ostatnich pokoleń. Mówili o tym ostatnie portrety. Był wśród nich prawdziwy generał, jeden ze zdobywców Wału Pomorskiego, oraz autentyczny wiceminister. Galerię zamykał portret geologa Rączki, który jako członek naukowej ekipy wyróżnił się zaszczytnie przy odkryciu bogatych złóż siarki koło Tarnobrzega. Wszystkich ich trzech widzieliśmy raz w naszej budzie przy okazji jubileuszu szkoły.

Prócz portretów w gabinecie Dyra przechowywane były w szklanej gablocie pamiątki po sławnych uczniach. Większość starych eksponatów zaginęła, ale niektóre z niemałym trudem i z narażeniem życia ukryte przez zasłużonego woźnego szkoły, nieżyjącego już pana Więckowskiego, ocalały. Do najcenniejszych należała lorneta i fajka kapitana Pucia, orzełek generała, pamiątkowy krążek siarki z pierwszego wytopu z wyskrobaną dedykacją dla szkoły, ofiarowany przez geologa Rączkę, zeszyt szkolny wiceministra (niestety, nie otwierano go nigdy, co wywoływało plotki, iż w zeszycie jest za dużo czerwonego atramentu) oraz wieszak metalowy swojego czasu na zajęciach praktycznych przez generała. Podobno generał pragnął ofiarować także procę, którą wykonał nielegalnie jako tak zwaną „fuchę” podczas zajęć i z której był bardziej dumny, ale Dyr wołał jednak wieszak.

Krótko mówiąc, od pierwszej klasy wzrastaliśmy w zagęszczonej atmosferze chwały czy też, jeśli wolicie, w blasku chwały. Tak przynajmniej twierdził Dyr przy różnych okazjach, a zwłaszcza na akademiach ku czci.

My jednak byliśmy nieco innego zdania. Rychło poczuliśmy, że wzrastamy w cieniu chwały. Wierście mi, że chwała rzuca także pewien przyjemny cień. Cień był dość głęboki i można się w nim było całkiem przyzwoicie przyczaić. Wykorzystywaliśmy zrećznie tę sytuację. Udawało się.

Pozycja szkoły była tak mocna, że wydawało się nie do pomyślenia, by jakieś tam mikrusy mogły ją zachwiać. W tej ogólnej aurze wielkości po prostu jakoś nie zwracano na nas uwagi.

Trzeba przyznać, że zadanie mieliśmy ułatwione z powodu naszej wychowawczynie, pani Lilkowskiej. Pani Lilkowska — istota wątła, wrażliwa i pełna wiary w młodzież — była przez jakiś czas drugim obok pani Kalino gogiem w spódnicy w naszej czysto męskiej szkole. Przyszła do nas prosto z liceum pedagogicznego. Otóż, gdy tylko poznaliśmy, że mamy do czynienia nie z gogiem, ale z aniołem, który z niewiadomych powodów zstąpił w padół naszej klasy, wykorzystywaliśmy niecznie ten fakt i zaczęliśmy w sposób niegodny wystawiać na próby cierpliwość anioła.

Gdybyż Dyr wiedział, w czyje ręce wydaje niewinną kobietę! Do dziś nie mogę myśleć bez wstępu do naszym okrucieństwie. Ta wina nie zostanie nam chyba nigdy wybaczona, tym bardziej, że nie mogliśmy jej już nigdy naprawić.

W połowie roku szkolnego pani Lilkowska odeszła od nas. Pojechała się leczyć do sanatorium dla nerwowo chorych. Była smutna uroczystość pożegnalna i pan dyrektor wygłosił z tej okazji krótkie, ale piękne przemówienie. Mówił o małych barierach życiowych, o które rozbił się entuzjazm pani Lilkowskiej. Słuchaliśmy Dyra głęboko wzruszeni i przygnębieni nieobliczalnymi skutkami naszego łotrostwa. Myśleliśmy z trwogą, że to my jesteśmy tymi barierami, o które rozbił się entuzjazm pani Lilkowskiej, ale z dalszych wywodów Dyra wynikało, że to nie my, ale wydział kwaterunkowy, który nie przydzielił jej mieszkania i zmusił „do koczowania z istotami z okresu trzeciorzędu”.

Wynikało z tego, że Dyr nie zna całej prawdy. Mimo to nie odzyskaliście już spokoju sumienia. Cały czas pani Lilkowska patrzyła na nas i może pod wpływem tego wzroku zdaliśmy sobie sprawę, że my także byliśmy dla niej istotami z trzeciorzędu, a może nawet z ery paleozoicznej. Zrozumieliśmy, kogośmy utracili. Nie mieliśmy już nigdy potem takiej wychowawczynie.

Wstrząs, jaki wtedy przeżyliśmy, i nasz nieklamany żal z powodu odejścia pani Lilkowskiej nie pozostały nie zauważone przez grono nauczycielskie i zyskały nam powszechne współczucie oraz sympatię. Oszczędzono nasze nerwy, nie przerażano nas klasówkami, nie brano w krzyżowe ognie pytań. Nikt nie podjął się niewdzięcznego zadania sondowania naszej wiedzy. Resztę roku przejechaliśmy gładko na zastępstwach i, jak można się domyślić, beztrząsowo zbijaliśmy baki.

Było dla nas samych zaskoczeniem, że zdaliśmy pomyślnie egzamin do klasy ósmej, a zdała znakomita większość. Po prostu mieliśmy szczęście. Z matematyki udało nam się pomyślnie odpisać zadania, a wśród tematów wypracowania z polskiego jeden znakomicie nam podpadł. Był to temat: „Jak sobie wyobrażam pierwszy lot człowieka na Księżyc”. Oczywiście wszyscy wybraliśmy ten temat i zaskoczyliśmy profesorów nadzwyczajną znajomością kosmonautyki. W rezultacie poczciwcy zwolnili nas od egzaminu ustnego i dzięki temu ominęło ich niewątpliwie jedno z większych rozczarowań pedagogicznych.

\* \* \*

Zdemaskowano nas dopiero w klasie ósmej na początku roku szkolnego 1960/61. Należało się tego spodziewać.

W szkołach jedenastoletnich klasy szósta i siódma są uważane za klasy smarkate i może się zdarzyć, że gogowie patrzą na nie przez palce. Ale klasa ósma to już klasa licealna. Taryfa ulgowa się kończy i biorą się za nas gogowie-specjaliści. Persony ważne, groźne i wymagające. Przystają nas traktować jak dzieci, zaczynają traktować jak młodzież i trzeba przyznać, że to przebudzenie było dla nas ciężkim przeżyciem. Dla gogów także.

Pierwszego wstrząsu doznał Dziadzia, który pełnił wtedy także prowizorycznie obowiązki naszego wychowawcy. Wytrawny ów gog zaraz na początku roku zapuścił nieostrożnie sondę w naszą klasę. Jak się potem wyraził, nigdy jego sonda nie wyniosła na powierzchnię podobnie ohydnych miazmatów niewiedzy i pomieszania pojęć.

Nie dowierzając jeszcze, zaczął od elementów, wezwał do tablicy Pędzelkiewicza, kazał mu napisać pięć kolejnych liczb „pierwszych”. Pędzelkiewicz najpierw się długo zastanawiał, rozdziawiwszy paszczę i wytrzeszczywszy z przerażenia oczy, a potem napisał: 1, 2, 3, 4, 5. Dziadzia zadrżał, ale zapytał, wciąż jeszcze spokojnie:

— Czy naprawdę te wszystkie liczby są pierwsze?

— Nie, nie — odparł niepewnie Pędzelkiewicz.

— A które?

— No, te na początku: jeden, dwa... — odparł Pędzelkiewicz i utknął.

Dziadzia zaśmiał się wtedy straszliwie. Podeszedł do tablicy i napisał: 2, 3, 5, 7.

— A może zgodzisz się łaskawie, kochassju, że to są liczby pierwsze?

Pędzelkiewicz nie zgodził się i z uporem twierdził, że liczba siedem jest liczbą ostatnią.

Dziadzia opadł na krzesło. Przez chwilę poruszał szczęką w stanie najwyższego zdenerwowania, a potem zapytał:

— Słuchaj, kochassju, czy ty może masz zaszczyt być bratem Tadeusza z jedenastej?

— Tak jest, panie profesorze.

— Czy ów bokser nie pouczył cię, iż nie toleruję w klasie czwororęcznych?

— Pouczył mnie, panie profesorze.

Dziadzia podeszedł do Pędzla i przyjrzał mu się z bliska.

— Uprawiasz może boks?

— Nie, panie profesorze.

— Tym bardziej mnie to zdumiewa. Chorowałeś może na ciężkie choroby zakaźne?

— Tylko na świnkę, panie profesorze.

— Obawiam się wobec tego, że jesteś ostatnią rewelacją matematyczną naszej szkoły — zasapał Dziadzia.

— Od czasu sławnej klasy czwororęcznych nie miałem podobnej rewelacji. Ale czwororęczni byli przynajmniej bokserami i to ich tłumaczy, a kim ty jesteś, chłopassju? Zaprawdę ci powiadam! Siadaj i drzyj!

Pędzelkiewicz usiadł i zadrżał, a wraz z nim zadrżeliśmy wszyscy.

Wzburzony Dziadzia przerwał lekcję, zabrał nieodłączny parasol i, stukając nim głośno w podłogę, opuścił klasę. Na progu odwrócił się jeszcze i powiedział:

— Hańba!

W kancelarii oświadczył dyrektorowi, że mimo długotrwałych wysiłków nie jest w stanie znaleźć z nami wspólnego mianownika i prosi o zwolnienie go z obowiązków nauczyciela naszej klasy tudzież wychowawcy.

Dyr z początku nie zareagował, biorąc rozgoryczenie Dziadzi za chwilowy przejaw złego humoru. Niebawem jednak dowiedział się, że i pozostali profesorowie przeżyli w naszej klasie podobne wstrząsy pedagogiczne. Wreszcie nasz polonista, profesor Żwaczek, też nieopatrznie, bodaj na trzeciej lekcji, zapuściwszy małą sondę i usłyszawszy pewne skandaliczne rewelacje na temat klasyków literatury polskiej. Roześmiał się złowrogo i, nic nie powiedziawszy, wrócił błady do pokoju nauczycielskiego. Tam oświadczył z właściwym mu jak zwykle humorem:

— Odkryłem w szkole neandertalczyków. Czy nie zechciałby dyrektor posłuchać ich bełkotu? To rzadka okazja. Mogę panu przyprowadzić przedstawicieli.

Po czym odbył z dyrektorem dramatyczną naradę, w wyniku której nasza czwórka znalazła się w gabinecie dyrektora. Tu, jak już wiadomo, w obecności Ciała dyrektor wygłosił do nas zasadnicze exposé.

Było to niewątpliwie jedno z najlepszych przemówień Dyra. Towarzyszyła mu bogata, dramatyczna gestykulacja, a zwłaszcza wspaniały ruch palca wskazującego, który wędrował od portretów sławnych wychowanków szkoły do naszych nędznych postaci.

Z tej oratorskiej pasji wyrwała go dopiero owa osa, która znudziwszy się jałowym lotem podlampowym, poczęła krążyć niebezpiecznie nad łysinami gogów.

Dyrektor przerwał na chwilę.

— Proszę wypędzić osę — powiedział.

Pan Żwaczek rzucił się za owadem, jednakże na próżno. Odegnana od łysin osa poczęła krążyć niebezpiecznie koło naszych nosów.

— Czy macie coś do powiedzenia? — usłyszeliśmy głos Dyra.

Zrobiliśmy miny skrzywdzonych niewinności.

— Nam bardzo przykro, panie dyrektorze — rzekł Zasepa — ale słowo daję, że co do nieuctwa, to my nie rozumiemy, o co chodzi.

— Nie rozumieją! — zagrział dyrektor i spojrzał bezradnie na Żwaczka. — Widzę, że zdzieram tu gardło na próżno. Może pan zademonstruje to, co pan miał zamiar zademonstrować.

— Proszę bardzo — odparł Żwaczek. — Czy możesz mi powiedzieć, Zasepa, jakie mamy strony?...

— Lewą i prawą — odparł bez zająknięcia Zasepa. — Jeżeli zaś chodzi o strony świata...

— Chodzi o strony gramatyczne.

— Orzekające...

— Dostyc! — krzyknął Żwaczek. — Pędzelkiewicz! Tryby!

Pędzelkiewicz bezradnie potoczył rybim wzrokiem dookoła.

— Przeważnie zębate... — wyjąkał.

— Doskonale — powiedział Żwaczek. — Słabiński, kto napisał „Latarnika”?

— Żeromski... On siedział w latarni na Rozewiu, ja tam byłem.

— Znakomicie. A może wiesz także, kto napisał „Chama”?

Słaby zamyślił się.

— „Chama”?

— No... „Chama”, „Nad Niemnem”...

— „Chama nad Niemnem”?

Profesorowie spojrzeli po sobie ze zgrozą. Tylko jeden gimnastyk, pan Nierucha, który zawsze darzył nas sympatią, usiłował ratować sytuację.

Usłyszeliśmy jego niewyraźny szept:

— ...rzeszko...

— Więc kto? — zapytał surowo pan Żwaczek.

— Czeszko — wypalił Zasepa.

Dyrektor machnął gwałtownie ręką. Nie udało nam się wyjaśnić, czy to był odruch szlachetnego wzburzenia, czy też zamach na osę, która właśnie musnęła dyrektorskie ucho. W każdym razie było to machnięcie rozpaczliwe. Ręka Dyra wykonała elipsę i z całym rozpędem uderzyła w głowę Katona na piedestale. Rozległ się głuchy stukot. Rzymianin rąbnął o podłogę, po czym skonstatowaliśmy, że jego szczęka dolna tudzież lewe ucho straciły łączność fizyczną z resztką głowy.

Nastąpiła chwila konsternacji. Dyr rozcierał rękę i patrzył zmieszany na szczątki gipsu u swoich stóp.

Napiętą atmosferę rozładował dopiero głos pani Kalino.

— Nareszcie koniec z Katonem — odetchnęła. — Przyznam się państwu, że nie mogłam już patrzeć na tę odrapaną maskarę.

— I ja — pospieszył z zapewnieniem gimnastyk — dawno już zastanawiałem się, kto wreszcie zdobędzie się na odwagę i usunie nam z oczu to truchło.

— Tak, był to niewątpliwie naturalistyczny kicz, który od dawna wykoślawiał uczucia estetyczne młodzieży — zaopiniował pan Kryśka, nauczyciel rysunku. — Pan się ze mną zgadza? — zapytał pana Żwaczka.  
— Tak, bezwartościowa, nieudolna kopia — skinął głową pan Żwaczek. — Poproście Więckowską — zwrócił się do nas — niech to sprzątnie.  
Z ulgą rzuciliśmy się do drzwi, ale nagle usłyszeliśmy głos pana Misiaka, profesora historii, zwanego „Alcybiadesem”.  
— Zaczekajcie... myślę, że to się... hm... da uratować.  
— Uratować? Po co? Nie warto — powiedziała pani Kalino.  
Ale Alcybiades już się schylił, podniósł kawałki rzeźby i wpakował do swojej teczki.  
— Dam to do sklejenia. Na Krakowskim Przedmieściu jest taki zakład.  
Wypadek ten miał w każdym razie tę dobrą stronę, że wytrącony z równowagi Dyr uznał za wskazane zakończyć rozmowę.  
— Marsz do klasy! — powiedział, poprawiając w gablocie krążek siarki z pierwszego wytopu. — I pamiętajcie, laba się skończyła! Siarką i żelazem wypalimy zarazę nieuctwa!

## Rozdział II

Zanieśliśmy klasie hiobowe wieści i oczekiwaliśmy przerażeni na działanie siarki i żelaza. Okazało się jednak, że przedtem czekają nas jeszcze tortury wstępne.  
Byliśmy prawdopodobnie zjawiskiem tak niepojętym w naszej sławnej szkole, że Dyr nie mógł wciąż jeszcze uwierzyć, by nasz katastrofalny poziom był wynikiem zwykłego nieuctwa. Raczej był skłonny przypuścić, iż jest on wynikiem jakiegoś organicznego schorzenia.  
Poddano nas więc badaniu psychologa, łudząc się nadzieją, że odpowiednio duży procent imbecylów i kretynów w naszej klasie usprawiedliwi w jakiś sposób to żenujące zjawisko.  
Psycholog zaprezentował się nam jako łagodny, ubrany na ciemno osobnik w okularach, o nieco smutnym wyrazie oczu. Brał nas po czterech do klasy i tam zadawał nam różne pytania. Na przykład: czy boli nas często głowa?  
Odpowiedzieliśmy twierdząco, demonstrując guzy i kontuzje wyniesione z meczów piłkarskich.  
Następnie pytał nas, ile mamy lat, czy posiadamy rodziców, czy spotkały nas jakieś nieszczęścia, czy przechodziliśmy jakieś ciężkie choroby i czy nie przestraszyliśmy się czegoś w życiu. Odpowiedzieliśmy szczerze, że przestraszyliśmy się pana Żwaczka, gdy spytał nas o przydawki. Następnie Pędzelkiewicz opowiedział o strasznym przejściu w związku z niesłuszną przegraną Walaska na olimpiadzie w Rzymie oraz z klęską Edmunda Piątkowskiego w pojedynku z dyskobolami amerykańskimi.  
Psycholog zakaszał i przerwał nam:  
— To były nieszczęścia ogólnonarodowe. Chodzi mi o nieszczęścia bardziej osobiste — wyjaśnił.  
Więc Zasepa opowiedział o przebicium dętki rowerowej. Słaby — o rozdarciu spodni podczas treningu. Babinicz — o fryzjerze, który przez pomyłkę ostrzygł go na zero. Zimny — o uszyciu mu zbyt długiej jesionki przez rodziców, a Wróbel — o skonfiskowaniu mu przez rodziców węża, którego hodował. A potem wszyscy opowiedzieliśmy o nieszczęściu, jakie nas spotkało z powodu odejścia pani Lilkowskiej.  
Psycholog nie był zbyt zadowolony i zapytał, czy mamy straszne sny i czy krzyczymy w nocy.  
Odpowiedzieliśmy twierdząco, żeby mu sprawić przyjemność, a gdy zażądał, żebyśmy to wyjaśnili bliżej, opowiedziałem mu sen, w którym Żwaczek kazał mi się nauczyć dwu zwrotek wiersza na pamięć. Pędzelkiewiczowi śniło się, że został włączony przez pomyłkę do chóru.  
Poznaliśmy po jego twarzy, że znów nie był zadowolony, że nasze przeżycia nie są wystarczająco straszne i że mogą nas uznać za normalnych. Zaczęliśmy więc wymyślać coś bardziej efektownego, sądząc, że to nas uratuje.  
Słaby opowiedział o strasznym wypadku swego wujka, który wpadł w mleczarni do kotła ze śmietaną, oraz o zgubnych skutkach tarcia przy praniu spodni w benzynie, które to tarcie spowodowało samozapłon u sąsiada Pędzelkiewicza.  
Psycholog, nie przerywając, przysłuchiwał się nam z wyraźną ciekawością, opowiadaliśmy więc jeszcze gorsze brednie... Sądziliśmy, że wszystko będzie dobrze, ale niestety... Mimo tych wysiłków wyniki testów były niepomysłne, z naszego punktu widzenia.  
Psycholog orzekł, że cechuje nas żywa inteligencja, aczkolwiek zainteresowania nasze nie zawsze idą w pożądanym kierunku. Zarzucił nam natomiast mitomanię, rozbujającą fantazję oraz niezdyscyplinowanie wewnętrzne na skutek braku dostatecznej opieki pedagogicznej i właściwego metodycznego prowadzenia.  
Była to diagnoza katastrofalna. Stwierdzenia psychologa były ciężkim oskarżeniem pod adresem szkoły. Zaczęto więc nas prowadzić metodycznie.

Nastaly czarne dni dla naszej klasy. Dyr zabral sie z cala energia do dziela. Siarka i zelazo pocety dzialac. Zeby nas odgrodzic od mniej zepsutych klas i lepiej pilnowac, przeniesiono nas na parter w poblize pokoju nauczycielskiego. Zastosowano nadto, jak okreslil pan Zwaczek, forsowne nauczanie, zaaplikowano dodatkowe lekcje, celem uzupehlenia brakujacych wiadomosci ze szkoly podstawowej, oraz tak zwana kwarantanna, ktora polegała na wyłączeniu nas z zycia towarzyskiego i sportowego szkoly. Wzmozono rygory. Naszym wychowawca zostal pan Zwaczek, znany z zelaznej reki. Nawet na boisko wypuszczano nas tylko ustawionych w pary i pod nadzorem nauczyciela.

Wszystko to grozilo ruina naszego wspanialego stylu oraz kompletnym upadkiem sportowej formy, nie mowiac juz o rozkoszach slodkiego lenistwa, ktorym sie oddawalismy namietnie w zacisznych ustroniach zoliborskich ogrodow, Lasku Bielańskiego, Wisly i przytulnych podworek.

Lecz nie rygory byly najgorsze. Najgorsza byla zmasa na honorze. Cierpielismy z powodu upokorzenia i wstydu, ze dali smy sie beznadziejnie zagiac, przyskrzynic i ujarzmic, ze zagnano nas do roboty jak pierwszych lepszych sztubakow, nas — stara wiare, nas — slawną paczke wyczynowcow.

Sprawa stala sie oczywiscie glowna w calej szkole, a nawet poza szkola. Patrzono na nas z szyderstwem albo z politowaniem, ktore nas jeszcze bardziej zloscilo.

Nazywano nas „osma podpadla”, „kwarantanna” albo wręcz „frelbownka”.

Większa czesc klasy z rezygnacja poddala sie tym zabiegom pedagogicznym. Bractwo stulo uszy i wzioło sie do kucia. Lecz my, slawna paczka wyczynowcow, nie mogli smy zniec takiej hańby. Wymykalismy sie spod dozoru gogow i w ukryciu obmyslalismy sposoby ratunku.

\* \* \*

Zebrania nasze odbywaly sie przewaznie w Wędzarni. Wędzarnia nazywalismy niewielki budynek w ogrodzie szkolnym. Nazwa pochodziła prawdopodobnie stad, ze w czasie okupacji wędzono tu potajemnie kiełbasy. Do dzis zachowaly sie czarne, osmolone sciany, zrujnowany piec i duzo hakow na scianach. Ledwie uchwytny zapach dymu wciaz jeszcze unosil sie w powietrzu. Obecnie jedna czesc Wędzarni zajmowalo sluzbowe mieszkanie woznej Wieckowskiej, a druga — magazyn ogrodniczy. Przechowywano tam narzedzia, slomiane maty, stare lawki przeznaczone na opał i ronne rupiecie szkolne. Drzwi magazynu byly wprawdzie zamknięte, lecz mozna tam bylo sie dostac, odsuwajac w scianie jedna z desek, ktora wisiala tylko na lasce Pana Boga, czyli na jednym gwoździu.

Byla to wymarzona melina. Wozna Wieckowska robila nam poczatkowo wstrety i probowala wykurzac, potem jednak zawarlismy z nia rodzaj milczacego sojuszu. Kilka paczek krup, pietki, skorke od chleba i niedojadki zalatwialy sprawe. Namietnoscia Wieckowskiej byla bowiem hodowla drobiu, o ktory toczył sie zreszta nieustajacy spór miedzy nia a Dyrem. Ale trudno cos bylo zrobic Wieckowskiej. Wieckowska bardzo zasluzyła sie dla szkoly. Wraz z mezem ocalila w czasie okupacji ronne szkolne zbiory, cenne urzadzenia gabinetu fizycznego i chemicznego oraz uratowala szkole od pozaru. Jej maz przyplacil to nawet zyciem, bo arestowany przez Niemcow zginal w obozie.

Tak, trudno bylo wojowac z Wieckowska, zreszta bez Wieckowskiej szkola nie bylaby szkola.

Wyciagnelismy z tego wlasciwe wnioski i staralismy sie z nia utrzymywac dobre stosunki. To nie bylo trudne. Wystarczylo co jakis czas okazac serce dla drobiu i zlozyc odpowiedni okup, a Wieckowska miękla. Nazywalo sie to „skladaniem ofiar bogowi Ptah”.

Druga melina bylo tak zwane Obserwatorium, czyli malý pokoiik z oszklonym dachem, na poddaszu szkoly. Podczas wojny Niemcy, zabierajac szkole na koszary, urzadzili tam posterunek obrony przeciwlotniczej. Teraz, prócz rupieci szkolnych, mięsil sie tu rodzaj cementarzyska nieudanych dzieł fabrykowanych na lekcjach robót ręcznych. Przeniknac bylo latwo. Wystarczylo poprosic Wieckowska o klucz.

Oczywiscie wolelismy Wędzarnie od Obserwatorium. Wędzarnia nalezala tylko do nas, do nikogo wiecej, nie mowiac juz o tym, ze miala nastroj jedyny w swoim rodzaju. Bylo tu duzo miejsca, maty slomiane tworzyly wygodne legowiska, a komin grzal lepiej niz piec. Dopiero wieksze mrozy wyganiały nas stad i zmuszaly do okupowania Obserwatorium, ktore posiadalo ogrzewanie centralne.

Totez zdziwil sm bardzo, kiedy w trzy dni po rozpoczeciu sie kwarantanny Zasepa na duzej przerwie powiedzial bardzo zaferowany:

— Panowie, dzis idziemy do Obserwatorium, zajmijcie miejsca, ja tam zaraz przyjde.

— Czemu do Obserwatorium?

— Dowiedcie sie wkrótce.

— Czy cos sie stalo?

— Tak.

— Cos przykrego?

— Chyba tak — mruknal, ale nic nie chcial wiecej wyjasnic.

Obserwatorium było puste. Jak zwykle w dni pogodne, kiedy uczniowie spędzali przerwy na boisku. Czekaliśmy zdenerwowani. Po upływie paru minut rozległy się ciężkie kroki na trzeszczących schodach i do Obserwatorium niedbałym krokiem wtoczył się silnie zbudowany młodzieniec o rumianej twarzy, czarnych brwiach i wełnistych włosach. Za nim z nadzwyczaj poważną miną wsunął się Zasepa, zamykając starannie za sobą drzwi na zasuwkę.

— To kolega Alibaba z jedenastej — powiedział. — Przywitać kolegę.

Wstaliśmy wszyscy i patrzyliśmy z ciekawością na Babińskiego, zwanego Alibabą. Alibaba należał do sławnej paczki czwororęcznych, która cieszyła się wielkim mirem wśród uczniów klas niższych. Alibaba skrzywił się i skinął nam niedbale głową.

— Niech kolega siada — powiedział Zasepa, podsuwając czwororęcznemu krzesło o trzech nogach.

Alibaba zmierzył krytycznym okiem krzesło, odsunął je, po czym podciągnął się na rękach i wdrapał zręcznie na rozwaloną, staroświecką katedrę. Spojrzał na nas z góry.

— Będzie kolega żuł czy łuskał? — Zasepa wyciągnął usmarowane atramentem ręce. W jednej trzymał garść angielskiego ziela, a w drugiej pestki dyni.

Alibaba uśmiechnął się pobłaźliwie i pokręcił przecząco głową.

— Przystąpmy od razu do rzeczy — powiedział. — Zwróciliśmy uwagę na działalność kolegów. Koledzy dostarczają od trzech dni niezdrowej sensacji oraz naruszają honor i tradycje naszej sławnej budy.

Słuchaliśmy zaskoczeni.

— Przepraszam — przerwał Zasepa. — Czy kolega nie działa przypadkiem z polecenia Dyra?

Alibaba zmarszczył brwi.

— Co za pomysł? Powiedziałem tylko, że koledzy naruszają podstawowe tradycje naszej szkoły.

— To samo mówi Dyr.

— Gdy dwu mówi to samo, to nie jest to samo — rzekł Alibaba. — Widzę, że jesteście zupełnie zieloni, że muszę bliżej wyjaśnić tę sprawę. Proszę kolegów, na terenie szkoły zwalczają się dwie tendencje, czyli dążenia. Tendencja gogów i tendencja uczniów. Gogowie mają swoje pojęcie doskonałości, lecz my mamy swoje pojęcie doskonałości. Jest zrozumiałe, że gogowie w imię swych szlachetnych celów mają stale skłonność do śrubowania poziomu, zabierania nam czasu i nakładania na nas coraz większych ciężarów. Gdybyśmy nie przeciwstawiali się gogom, przekarmiliby nas tłustymi pulpetami wiadomości, doprowadzili do utraty kondycji fizycznej i ogólnego charłactwa, co w konsekwencji obróciłoby się przeciw samym nieumiarkowanym i zachłannym gogom. Na szczęście od wieków dzielna młodzież przeciwstawia nieumiarkowanym gogom swoją własną tendencję, kładziemy im zbawienne tamy i przeszkody. Są to zdrowe zabiegi dietetyczne i higieniczne.

Zapewne nie wiecie... — tu Alibaba poufnie ściszył głos — że do dziś dnia przechowały się historyczne dokumenty, mówiące, jak te działania wyglądały w naszej szkole przed latami. Okazuje się, że szlachetni nasi poprzednicy, starsi koledzy, zdawali sobie sprawę z wielkiego znaczenia zabiegów dietetycznych i higienicznych w tym zakresie. Dokumenty te są, rzecz jasna, tajne i pilnie strzeżone. Być może jednak w niedalekiej przyszłości dostąpicie zaszczytu oglądania ich na własne oczy. Znajdują się wśród nich tajne szyfry i grypsy oraz opisy sposobów skutecznych w tamtych czasach.

Z epoki Księstwa Warszawskiego zachowała się na przykład rozprawka niejakiego Jana Ursyna Prączyńskiego pt. „O skutecznym tolerancji kar sposobie” z własnymi rysunkami autora, zawierająca opisy trików pozwalających możliwie bezboleśnie znosić kary klęczenia na grochu, „łapy”, podkładanek i różg. Posiadamy także mankiet Józefa Pucia, który służył mu za ściągawkę.

— Pucia?! — wykrzyknęliśmy. — Tego sławnego Pucia?!

— Tak, tego samego, który następnie został spożyty przez krajowców na wyspach Fidzi. Nie wiecie bowiem, iż pierwszym jego osiągnięciem naukowym było odkrycie pewnej prawidłowości w sposobie pytania przez poszczególnych gogów, co doprowadziło potem do wynalezienia całych systemów obronnych. Do dziś dnia jedna z reguł w tej dziedzinie nazywa się regułą Pucia. Z nowszych czasów mamy grypsy ministra pisane w kozie, które są cennym przyczynkiem do psychologii gogów. Dalej tajny szyfr generała, umożliwiający korzystanie z pomocy z zewnątrz podczas klasówek, a wreszcie ściągawki chemiczne kolegi Rączki. Te ostatnie dokumenty uzyskaliśmy w czasie pobytu znakomitych kolegów na terenie szkoły w związku z jubileuszem.

Tak więc, widzicie, kontrakcję tę prowadzono stale. Dopiero ze starcia tych dwu tendencji i przez sumowanie tych dwu wektorów powstaje zdrowa linia zasadnicza i twórcza atmosfera nauki. Koledzy zapewne nie wiedzą, co to są wektory, lecz radziłbym przyswoić sobie to wartościowe pojęcie. Tajemnica sukcesów naszej starej i sławnej szkoły polegała na tym, że mimo drobnych odchyłeń w tę lub w drugą stronę, między tymi dwiema tendencjami została zachowana złota równowaga. Dzięki ustawicznemu zagrożeniu ze strony aktywnych gogów nie gnuśnieliśmy w lenistwie, a jednocześnie, nie dając się dzięki



naszym kontrakcjom zmiążyć ciężarowi nadmiernej wiedzy, zachowaliśmy jasność i giętkość umysłu oraz wygoszparowaliśmy czas niezbędny dla nieskrępowanej wymiany myśli, rozważań niewymuszonych i wolnych ćwiczeń ducha. Jednym słowem, udawało nam się obronić niezbędny zakres swobody. Dzięki tej zdrowej linii i szlachetnej równowadze szkoła nasza cieszyła się pomyślnością i wydała długi szereg mężów wybitnych. Lecz oto teraz wy, klasa ósma A, stanowicie niebezpieczne zagrożenie dla tej równowagi.

— Dlaczego? — wykrztusił Zasepa. — Przecież my uprawialiśmy właśnie wolność.

— My się wciąż nie rozumiemy, kolego — uśmiechnął się krzywo Alibaba.

— Więc jakie macie do nas właściwie pretensje?

— Mamy do was dwie pretensje główne. Po pierwsze, nie ubezpieczyliście wolności, a po drugie, źle posługiwaliście się wolnością. A kto nie umie posługiwać się wolnością, ten działa na szkodę wolności. Obawiam się, że wy nie bardzo umiecie. Wasza niewiedza, nazwijmy zresztą rzecz po imieniu — wasza wulgarna ignorancja spowodowała na nas wszystkich niebezpieczeństwo. Od dwu dni obserwujemy groźny niepokój i chorobliwe ruchy Ciała. Zwróciliście uwagę gogów na nas i dostarczyliście im argumentów przeciwko wolności. Od dwu dni gogowie zapuszczają w nas przykre sondy próbne i badają głębokość naszej wiedzy, co nie należy do zabiegów przyjemnych. Mamy też informacje, że szykują się do zmiany kursu. Uznaliśmy was winnymi tego stanu rzeczy, a waszą działalność za niebezpieczną i szkodliwą dla wolności.

— Ależ kolego — wykrztusił Zasepa — my wytłumaczymy...

— Nie przyszedłem słuchać tłumaczeń — oświadczył Alibaba — zapadły już decyzje. Zlecono mi zawiadomić was, że wyznaczono wam miesięczny termin dla uspokojenia wzburzonego Ciała.

Zadzwieczał właśnie dzwonek na lekcję. Alibaba zeskoczył z katedry i ruszył do drzwi. W drzwiach zatrzymał się i jeszcze powiedział:

— Upprzedzam tylko, że jeśli wam się nie uda, marny wasz los. Będziemy musieli przejechać się po kolegach.

Zniknął za drzwiami, zostawiając nas w stanie zupełnego przygnębienia.

### Rozdział III

Całą lekcję chemii myślałem nad położeniem. Wydało mi się beznadziejne. Z którejkolwiek strony na nie spojrzeć, nie było widać żadnego ratunku. Nasza przyszłość malowała się w jak najczarniejszych kolorach. Cokolwiek byśmy robili, nawet gdybyśmy wkuwali. Nie sposób było przecież nadrobić w ciągu miesiąca „wiekowych” zaległości.

Z tych ponurych medytacji wyrwało mnie bolesne szturchnięcie w żebro.

— Ciamcia, Farfala mówi do ciebie — usłyszałem szept Zasepy.

Zerwałem się z ławki.

— Czy ty nie słyszysz, co się do ciebie mówi? — Farfala patrzył na mnie z wyrzutem.

Profesor Farfala nigdy się nie denerwował, tylko patrzył z wyrzutem.

— Słyszę, panie profesorze.

— Więc podejdź do aparatu i zademonstruj.

Podszedłem na pół przytomny. Przy aparacie Kippa było już dwu chłopców: Babinicz wlewał kwas do cynku, a Wróbel łąpał wodór uchodzący z rurki do specjalnej probówki.

— Ciamciara — rzekł profesor — powtórz, co masz zademonstrować.

Spojrzałem ogłupiały na dwie szklane kule aparatu, jakbym chciał od nich dowiedzieć się, co właściwie mam demonstrować. Ale szklane kule milczały. Ja też milczałem.

Farfala westchnął i skinął na Zasepę. Zasepa wstał i milczał. Farfala wskazał na Pędzelkiewicza. Pędzelkiewicz też nie wiedział.

Farfala pokiwał głową.

— Pytałem, co należy zrobić, żeby otrzymać wodę.

Poruszyłem się niespokojnie.

— Odkręcić kurek — ktoś pisnął z tylnej ławki.

Farfala zgromił śmiałka surowym spojrzeniem.

— No więc, Ciamciara — Farfala zbliżył się do mnie i patrzył z takim wyrzutem, że straciłem głowę.

Pamiętam tylko, że nerwowo przekręciłem jakiś kurek...

Oślepiający błysk poraził mi oczy. Rozległ się huk i brzęk szkła. Z rozbitej butli chlorowodoru wypelzł gryzący gaz.

Cała klasa zaczęła krztusić się i kichać. W żółtych kłębach gryzącego dymu ujrzałem czerwoną twarz Farfali.

Opierał się ciężko o katedrę i kaszląc krzyczał:

— Łotrze! Kto ci pozwolił... kręcić.... kurkiem! Złoczyńco! Otworzyć okna!

Do klasy wbiegła przerażona Więckowska.

— Jezus Maria, wybuchło!

Pomachała ścierką i wycofała się na korytarz z krzykiem:

— Gazy, w ósmej A!

Chwilę potem nadbiegli Dyr i pan Żwaczek. Szczęściem, sytuacja była już opanowana. Otworzyliśmy wszystkie okna, gaz uchodził pomału. Farfala, usmolony jak szatan, uwijał się w gronie pomniejszych szatanów, usuwając szczątki aparatu Kippa.

— Co się stało? — zapytał przerażony dyrektor.

— Nic, panie dyrektorze — odparł spocony Farfala — po prostu lekcja w ósmej A.

— Rozumiem — rzekł współczująco Dyr. — A ten wybuch?

— Drobiazg. Mała pomyłka laboratoryjna. Łobuz wyprodukował gaz piorunujący zamiast wody.

— Żyje? — przeląkł się dyrektor.

Wypchnięto mnie na środek klasy i pokazano Dyrowi. Dyr dotknął mnie palcem, jakby nie dowierzając, że ocalałem.

— To znów jeden z tych... — powiedział.

— Tak, to jeden z tych... — skinął głową Farfala.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał surowo Dyr.

Uznałem, że lepiej nie podawać prawdziwej przyczyny.

— Ja... ja nie chciałem — wykrztusiłem.

— To po co kręciłeś kurkiem? Dla zabawy?

— Nie... skąd, ja tylko byłem ciekawy.

— Ciekawy czego?

— Co się stanie, jak przekręcę w drugą stronę.

— Na razie chyba wstrzyma pan w tej klasie wszelkie doświadczenia — powiedział Dyr do Farfali. — To kretyni. Wydaje mi się, że najpierw trzeba ich przygotować teoretycznie.

— Jestem tego samego zdania — odparł Farfala.

— Pan weźmie się za nich solidnie. Musi pan zmobilizować całą swoją energię.

— Oczywiście, panie dyrektorze, zmobilizuję się — powiedział Farfala, a jego czarne oczy zapatrzyły się w nas dziwnie.

Zadrżeliśmy. Krążyły wprawdzie słuchy, że Farfala jest hipnotyzerem, lecz nigdy nie doświadczyliśmy tego na własnej skórze. Dopiero teraz... Ten wzrok był straszny, obezwładniający. Czuliśmy, że nasz koniec zbliża się w szybkim tempie, szybciej, niż moglibyśmy przypuszczać.

Gdy tylko nas puszczono, jak słonie, co przed śmiercią zaszywają się instynktownie w niedostępnym cmentarzysku, tak i my natychmiast powlekliśmy się wszyscy do Wędzarni. Tutaj siedzieliśmy przez parę minut, zadyszani jeszcze i wstrząśnięci. Wreszcie Zasepa wytarł głośno nos i powiedział:

— Jedno nas tylko może jeszcze uratować.

— Co? — zapytałem.

— Sposób.

— Sposób? — zdziwiliśmy się. — Niby jak to?

Zasepa milczał przez chwilę ze ściągniętymi brwiami, jakby myślał nad czymś intensywnie, wreszcie rzucił pytanie raczej retoryczne:

— Zgadza się, że psorowie są też ludźmi?

Spojrzeliliśmy na niego niespokojnie.

— Chyba tak — odparliśmy raczej bez większego przekonania.

Zasepa skinął głową.

— No, więc powinniście zrozumieć, że jeśli psorowie są ludźmi takimi jak wszyscy, to każdy z nich ma piętę.

— Piętę? — unieśliśmy do góry brwi.

Czyżby na skutek ostatnich przeżyć umysł Zasepy doznał aż tak poważnego szwanku?

— Piętę Achillesa — powiedział Zasepa. — Tak się mówi, braciszki.

— Kto to był Achilles? — zapytał Słaby.

— Nie wiem — mruknął Zasepa — zdaje się, jakiś grecki wyczynowiec.

— Tak, grecki wyczynowiec — przytaknął Pędzel z miną znawcy. — On był odporny na cios. Zasadniczo odporny. Miał tylko jedno słabe miejsce. Kto go chciał zrobić, musiał typa walić w piętę.

— Ciekawe — mruknął Słaby.

— Tylko nie bardzo wygodne — zauważyłem.

— Ale dlaczego akurat w piętę? — dopytywał się wyraźnie zainteresowany Słaby.

— Och, daj spokój, Słaby — zdenerwował się Zasepa — nie o to przecież chodzi, ja tylko tak... żebyście wiedzieli, że każdy ma swoją słabość.

— Aha.

— Nawet psor ma swoją słabość, czyli piętę.

— Każdy?

— Każdy — odparł stanowczo Zasepa.

— Dziadzia też ma piętę? — zapytałem z niedowierzaniem, gdyż trudno mi jakoś było sobie wyobrazić surowego matematyka, pana Ejdziatowicza, z piętą.

— Nawet Dziadzia — odparł Zasepa.

— I pan Żwaczek? — zapytał Słaby.

— I pan Żwaczek.

— I pan Farfala?

— Oczywiście.

— I Dyr?

— Nawet Dyr.

— I pani Kalino?

— I pani Kalino też.

— Jaką? — zapytał Słaby, który najbardziej ze wszystkich profesorów obawiał się nauczycielki geografii, pani Kalino.

— A właśnie... żebyśmy to wiedzieli — westchnął Zasepa. — Cała trudność polega właśnie na tym, żeby wymacać tę piętę, a potem znaleźć na nią sposób. A jak znajdziesz, bracie, sposób, to możesz żyć spokojnie, zdrowo i bez nerwów, nie zagrożony i leniwy jak pieróg. Najbardziej ostro gog nic ci nie zrobi...

W powietrzu unosił się przyjemny zapach smażonych powideł. Ospale muchy brzęczały pianissimo, nici babiego lata kołysały się w oknie Wędzarni. Leżeliśmy wygodnie na słomianych matach i słuchaliśmy Zasepy z na pół przymkniętymi oczyma. Tak, to byłoby wspaniale czuć się jak leniwe pierogi, spokojnie czekać, co jutro przyniesie.

Ale gdy tylko Zasepa przestał mówić, czar prysł. Otrzeźwieliśmy szybko. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Nie ma takich sposobów, które by nas wyrwały z mocy szkolnych potęg. Któż potrafi okiełznać energię pana Żwaczka, ująć siłę Dziadzi, zmylić czujne oko pani Kalino, wymknąć się analizom Farfali, nie mówiąc już o Dyrze? Prędzej już uwierzylibyśmy, że będzie nam dane hipnotyzować tygrysy i zaklinać sztormy.

— Ty poważnie o tym sposobie? — uśmiechnąłem się drwiąco.

— A jak?! Nie słyszałeś, co mówił Alibaba?

— Jego mowa była za mądra — powiedziałem — nie mogłem nic skapować.

— A ja skapowałem jedno — rzekł Zasepa.

— Co?

— Że oni mają sposób. Na gogów zawsze były sposoby. Już nawet kapitan Pucio...

— Teraz są inne czasy.

— Nie. W tych rzeczach nic się nie zmienia. Na pewno i teraz działa jakiś system. Mówił mi nawet Kicki...

— Uwierzyłeś Kickiemu? To ananas.

— Tak — wtrącił Pędzel — brat mnie ostrzegął przed nim. Obaj Kiccy to ananasy. I Mały, i Duży.

— Skąd Tadek może wiedzieć o Kickim? — zapytał Zasepa.

— Chodzi z Dużym Kickim do jednej klasy. Duży Kicki został niegdyś w ósmej i Tadek go dogonił. Kiedyś widział mnie z Małym Kickim i powiedział, że bym się go wystrzegał, bo to straszny ananas i na pewno będzie mnie nabierał.

— Niech sobie będzie ananas, ale on zna sposoby — upierał się Zasepa. — Pomyślcie zresztą sami, jak mógłby Mały Kicki dostać się aż do klasy dziewiątej, gdyby nie znał sposobów?

Spojrzeliśmy po sobie zbici z tropu. Istotnie, to było pytanie.

Zasepa uśmiechnął się pod nosem i począł oglądać paznokcie.

— Zresztą ja nie mówię, żeby iść z tym do Kickiego — dodał. — Ja się zgadzam, że Kicki to ananas i z pewnością będzie żądał słonej zapłaty za zdradzenie sposobu. Sprawę musisz załatwić ty — pokazał na Pędzelkiewicza.

— Dlaczego ja?

— Proste jak włos Mongoła. Masz brata w jedenastej. On musi znać sposoby.

— Nigdy mi o nich nie wspominał — mruknął Pędzelkiewicz.

— Och, takie rzeczy trzymane są w tajemnicy. Rozumiesz, że gdyby doszły do uszu gogów... wszystko byłoby na nic. Musisz przekonać Tadeka, że jesteśmy już prawie dorośli i że może nam zdradzić tajemnicę. Powiesz, że jesteśmy zagrożeni. Nie mamy innego wyjścia i musimy znać sposoby. To nasza ostatnia szansa. Rozumiesz? — Zasepa popatrzył Pędzelkiewiczowi w oczy.

— No dobra, pomówię z nim, ale w domu, on w szkole nie lubi ze mną gadać — odparł bez entuzjazmu Pędzelkiewicz.

I na tym zakończyliśmy nasze posiedzenie. Był zresztą dzwonek na lekcję.

\* \* \*

Następnego dnia rano czekaliśmy niecierpliwie na przybycie Pędzla. Przyszedł jak zawsze w ostatniej chwili. To dlatego, że mieszka tuż pod samą szkołą. Ci, co mają najbliżej, przeważnie się spóźniają. Obskoczyliśmy go natychmiast.

— No i co? Dowiedziałeś się?

Potrząsnął głową.

— Jak to? Tadek ci nic nie powiedział? — spojrzeliśmy na niego rozczarowani.

Pędzel westchnął ciężko i rzucił teczkę na ławkę.

— Dajcie spokój, zbłąźniłem się tylko! Wyśmiał mnie.

— Wyśmiał cię? — zdumiał się Zasepa.

— A nie mówiłem?! — roześmiałem się szyderczo. Nigdy nie zaniedbywałem okazji, żeby utrzcć nosa Zasepie.

— Nie ma żadnych sposobów.

— Tak właśnie powiedział Tadek — potwierdził ponuro Pędzel.

Zasepa stropił się nieco, ale nie za bardzo.

— To, że ci brat nie chciał powiedzieć — mruknął — nie świadczy jeszcze o tym, że sposobów nie ma. To świadczy tylko o tym, że uważa cię wciąż za fafla, któremu nie warto nic mówić.

— No... no... uważaj — nastroszył się Pędzel, ale Zasepa nie zwracał już na niego uwagi.

— No, nic — powiedział — spróbujemy wobec tego dowiedzieć się wprost od Alibaby.

— Od Alibaby?! Myślisz, że on coś powie? — zapytał z niedowierzaniem Słaby.

— Musi powiedzieć — zacisnął zęby Zasepa. — Jeśli tyle bębnił o tradycji szkoły i w ogóle... Jeśli stawiał żądania... powinien pomóc. Ostatecznie im też coś na tym zależy... Uspokoić Ciało, proszę bardzo, ale niech nam przekażą sposoby. Przynajmniej na paru gogów.

\* \* \*

Zaraz na pierwszej przerwie udaliśmy się na poszukiwania Alibaby. Znaleźliśmy go wyciągniętego na ławce na południowej stronie boiska i wygrzewającego się w słońcu z książką w ręce.

— Co jest? — skrzywił się niechętnie na nasz widok.

— My w sprawie uspokojenia Ciała — rzekł poważnym, acz zadyszczonym głosem Zasepa.

Alibaba westchnął ciężko, usiadł leniwie na ławce i odłożył książkę. Nosił ona tytuł: „Teoria informacji”.

Trąciliśmy się łokciami. To brzmiało dość tajemniczo.

— Więc o co chodzi? — zapytał niecierpliwie. — Tylko szybko, bo jestem zajęty.

Zasepa odchrząknął i zagał:

— Chodzi o to, że my... owszem i tego... jak najbardziej owszem, ale cóż dobre chęci... kiedy, kolego, brak... że tak powiemy, praktyki i doświadczenia... więc, kolego... my właśnie do was, że... hm... jako kolega starszy i doświadczony... pomożecie i wskażecie... to jest, chciałem powiedzieć, udzielicie... tak jest, to właśnie chciałem powiedzieć... udzielicie instrukcji, jak wiecie, no... wiecie... z tym Ciałem...

Alibaba słuchał go, marszcząc coraz bardziej brwi, wreszcie, nie dając mu skończyć, przerwał ostro:

— Co kolega bełkocze? Pomoc? Instrukcje? Coś takiego! Jak mogliście wystąpić z czymś takim?

Popatrzyliśmy po sobie zmieszani i cofnęliśmy się o krok.

— Nie rozumiem — bąknął wystraszony Zasepa — zdawało mi się... myślałem...

— Kolega źle myślał. Tak, to wszystko potwierdza nasze najgorsze obawy. — Alibaba patrzył na nas z wyraźną odrazą. — Cóż to za widok! Chłopak od Lindego żebrzący pomocy! Żadnemu szanującemu się Lindyście na przestrzeni dwu wieków nawet by przez myśl nie przeszło zwrócić się do starszego kolegi z czymś takim. Widzę, że upadliście głębiej, niż można było przypuszczać! Wstyd i hańba, kolego! Zapamiętajcie to sobie. Naszą dewizą jest: „Radź sobie sam, jak umiesz”, a wy chcielibyście, żeby was za rączkę! Wstyd i hańba, koledzy!

Zasepa trącił mnie łokciem, żebym ratował sytuację. Zacząłem więc z innej beczki.

— Kolego... któż tu mówi, żeby za rączkę... nie chodzi nam o pomoc w znaczeniu rączki... chodzi o małą licencję... tak, tylko o licencję.

— Jaką licencję?

— Licencję na sposób.

— Na sposób?

— Tak, sposobik. Koledzy mają wyrobione sposoby, czy nie byłoby ładnie, gdyby te sposobiki przekazać z rączki do rączki, aby nie zaginęła tradycja?

Alibaba najpierw wytrzeszczył oczy na tę mowę, a potem zmarszczył brwi i spojrzał na mnie dziwnie.

— Cóż to za sposobiki?

— Sposobiki na gogów.

— Nie znam żadnych sposobików, przyjacielu — rzekł Alibaba, patrząc na mnie uważnie, tak jak patrzył na mnie kiedyś lekarz, gdy byłem niezupełnie przytomny. — Idź, napij się wody — powiedział zatroskany. Wyciągnął się z powrotem na ławce i wziął się do czytania „Teorii informacji”.

Odeszliśmy upokorzeni i wściekli.

— Teraz chyba już uwierzysz, że nie ma żadnego sposobu — powiedziałem do Zasepy.

Ale przekonałem się, że niepowodzenia, jakie nas spotkały, spotęgowały tylko jego zaciętość.

— Ukrywają — powiedział przez zęby i zacisnął pięści — ukrywają, łajdaki, ale nie zwiodą mnie. Za stary wróbel jestem. Widziałeś, co on czytał?

— To podręcznik wywiadu — powiedział Pędzel.

— Albo kontrwywiadu — dodał Słaby.

— Sądzisz, że to ma zastosowanie w szkole? — zapytałem Zasepy żartobliwie, ale on się nie poznał.

— Z pewnością — odparł — to właśnie należy do sposobu.

Spojrzałem na niego ze współczuciem. Biedak popadał w manię.

Byłem przekonany, że całą lekcję nie myślał o niczym innym, tylko o sposobie. Toteż nie zdziwiłem się, kiedy na następnej przerwie podszedł do nas i powiedział:

— Nie widzę innej rady. Trzeba będzie poszukać jutro Kickiego. Nie wiecie, gdzie on teraz koczuje?

— Zachodził do Wędzarni — powiedziałem.

— Już teraz nie zachodzi — mruknął Pędzel. — Więckowska go wyrzuciła. Drażnił drób Więckowskiej i podjadał słonecznik.

— Widuję go w stołówce — rzekł Słaby — gra tam na przerwach w ping-ponga i handluje z hobbystami. Chcecie opylić znaczki, etykiety, pocztówki czy też nabyć coś z filumenistyki albo filatelistyki...

— Dobrze, żeś mi przypomniał — przerwał mu Zasepa. — Pędzel, na jutro przygotujesz pestek, a ty, Ciamcia — zwrócił się do mnie — trochę tego śmiecia pocztowego.

Zasepa gardził filatelistyką.

\* \* \*

Istotnie, Kicki koczował teraz w stołówce. Kiedyśmy tam zajrzeli nazajutrz na pierwszej przerwie, siedział na stole z paletą do ping-ponga i oglądał album ze znaczkami, otoczony gromadą malców z klas niższych.

— Cześć, Kicki — powiedział Zasepa — chodź, mamy do ciebie mowę.

Kicki zeskoczył ze stołu. Poszliśmy w kąć stołówki za fikus i filodendron.

Zasepa wyciągnął z kieszeni papierową torebkę oraz blaszane pudełko po herbacie.

— Żujesz czy łuskasz?

— Co masz do żucia?

— Betel.

— Laur?

— Nie. Cynamon.

— Wolę łuskać.

Zasepa podsunął Kickiemu torbę pestek.

— Potrzebujemy sposobu — przystąpił bez wstępów do rzeczy.

— Kto go dziś nie potrzebuje? — powiedział Kicki gryząc pestki.

— Kupilibyśmy kilka.

— Ja bym też kupił.

— Zapłacimy gotówką.

— To ładnie. Ale komu?

— Tobie, jak nam dasz sposób. Mogą być dwa albo trzy.

— To ładnie — powiedział Kicki.

— Jak ładnie, no, to lu!

— Ale ja nie mam sposobu — powiedział Kicki.

— Jak to nie masz? — zdenerwował się Zasepa — przecież mówiłeś...  
 — Mówiłem, że są sposoby, a nie że je mam. — Kicki uśmiechnął się.  
 — Musicie mieć jakiś sposób, nie powiesz mi, że wkuwacie! — krzyczał na niego Zasepa.  
 — Może i mamy. Ale nie na sprzedaż — powiedział Kicki i sięgnął po nową porcję pestek.  
 — Jak to: „nie na sprzedaż”?  
 — Nie wolno nam sprzedawać sposobu — powiedział Kicki łuskając pestki z wprawą chomika.  
 — Za szybko jesz — zauważył Zasepa.  
 — To z nerwów — powiedział Kicki i sięgnął po nową porcję pestek — ostatnio stałem się nerwowy.  
 — Będziesz miał pestek, ile dusza zapagnie, ale musisz nam sprzedać sposób.  
 — Powiedziałem już, że nam nie wolno sprzedawać.  
 — To kto w końcu sprzedaje?  
 — Tylko dziesiąta i jedenasta. Ale wam nie sprzedają.  
 — Dlaczego nie sprzedają?  
 — Bo wy jesteście nieletni. Dopiero od dziewiątej klasy sprzedają.  
 — Ale może znasz sposób, jak kupić po kryjomu sposób.  
 — Do czego mnie namawiacie? — westchnął nieszczerze Kicki. — Gdyby się dowiedzieli, spuściliby mi manto! — sięgnął do torebki, ale nie było już tam pestek.  
 Zasepa pośpiesznie wyciągnął z kieszeni drugą torbę i podstawił Kickiemu.  
 — Nikt się nie dowie — powiedział cicho — a ty dostaniesz dwie rundki na motorze Pędzelka. Dookoła skweru Worcella.  
 — Trzy rundki — powiedział Kicki.  
 — Dobra — odparł Zasepa.  
 — No, to słuchajcie. Ja wam nic nie mogę powiedzieć, ale idźcie do Lepkiego z dziesiątej, czyli Szekspira, i pomówcie z nim. Tylko ani słowa, że ja was skierowałem — powiedział Kicki.  
 — Gdzie go można złapać? — zapytał Zasepa.  
 — Na sali gimnastycznej. Oni tam mają próbę sztuki „Przebudzenie Afryki” — Kicki zgarnął resztę pestek i wrócił do malców z albumami.

## Rozdział IV

Do sali gimnastycznej nie chciano nas wpuścić. Dwu dryblasów z dziesiątej w krótkich słomianych spódniczkach na biodrach, jeden z tam-tamem, a drugi z oszczepem w rękę, zagroziło nam drogę.  
 — Dokąd? Tu jest próba!  
 — My do kolegi Lepkiego. Zostaliśmy skierowani... — powiedział pewnym siebie głosem Zasepa.  
 Wojownicy afrykańscy przyjrzeni nam krytycznie.  
 — To pewnie statyści — powiedział ten z tam-tamem.  
 — Dobra, niech wejdą — zgodził się drugi.  
 Wepchnięto nas do środka sali.  
 — Szekspir, tu masz statystów! — zawołał ten z tam-tamem i zabębnił głośno.  
 Lepki rozepchnął gromadę aktorów i podszedł do nas nerwowym krokiem. Był owinięty w kolorową tkaninę, na głowie miał turban. Spojrzał na nas ostro.  
 — Nie... nie... Cóż to za kawały? Potrzebuję ludzi czarnych! Powiedziałem przecież, że dziś jest próba kostiumowa — wykrzyknął. — Natychmiast ściągać ciuchy i do charakteryzacji...  
 — Kiedy my tylko... — próbowałem wyjaśnić, ale Szekspir przerwał mi gwałtownie:  
 — Tylko bez filozofowania. Rozbierać się, już! Ja się nie mogę wczuć, jak widzę przed sobą białe gęby — to mówiąc począł ze mnie zdzierać marynarkę.  
 — Ależ, co kolega... — próbowałem się bronić przestraszony — my tylko chcieliśmy...  
 Urwałem nagle, bo Zasepa trącił mnie łokciem. Usłyszałem jego szept:  
 — Nie sprzeciwiaj się, bo go rozzłościsz i wszystko będzie na nic.  
 Zaniechałem więc oporu i pozwoliłem wraz z kolegami zabrać się za scenę. Tam trzech chłopaków z dziesiątej wzięło nas w obroty. Rozebrano nas, wysmarowano dokładnie osmolonymi korkami i przebrano w perkalowe majtki.  
 Po paru minutach przeobrażeni w Murzynów znaleźliśmy się z powrotem na scenie.  
 — No, tak, to zupełnie co innego — Szekspir zlustrował nas pełnym satysfakcji wzrokiem. — A teraz, do roboty. Zaczynamy.  
 Spojrzeliśmy po sobie bezradnie.  
 — Co tak wytrzeszczacie gały — zdziwił się Szekspir — pamiętacie chyba, co macie gadać?

— Kolego... — zaczął niepewnie Zasepa.

— Jaki tam „kolego” — zdenerwował się Szekspir — mów do mnie: „kacyku”.

Zasepa skrzywił się załóżnie.

— Nie sprzeciwiaj się — szepnąłem — mów, jak każe...

— Kacyku — wykrztusił Zasepa — przyszedliśmy do was z małą prośbą...

— Co to za dialog?! — przerwał mu zdumiony Szekspir. — Kto mi tu przysyła takich patałachów?! Ręce opadają!

— Przepraszam, ale ja... — zaczerwienił się Zasepa.

— Co „ty”?

— Muszę coś wyjaśnić.

— Rozumiem. Nie nauczyłeś się kwestii — powiedział Szekspir. — Ładna historia... No, trudno — dodał z rezygnacją, starając się panować nad sobą. — Powiniennem właściwie wyrzucić za drzwi takich statystów, ale podobają mi się wasze gęby... Jest w nich coś... Powtórzmy więc szybko dialog. Uważaj, masz krzyknąć: „Nędzny kacyku!”... No, krzycz!

— Nędzny kacyku — jęknął Zasepa.

— Nie... nie tak... musisz to przeżywać... — wyjaśnił Szekspir. — Pamiętaj, że dyszysz zemstą, pragniesz krwi ciemnych, pałasz szlachetnym gniewem. Przeżycie wewnętrzne, to najważniejsze. Powtórz!

— Nędzny kacyku! — ryknął zrozpaczony Zasepa.

— Tak, teraz nieźle. Ja od razu wiedziałem, że macie zacięcie. Utrzymaj ten ton, tylko podkreśl go gestem, dopadnij do mnie... z gniewem w oczach... Masz chyba wyobraźnię, więc wyobraź sobie, jak byś się zachował w obliczu oprawcy. Powtórz!

— Nędzny kacyku! — wrzasnął Zasepa i, błyskając białymi oczyma, rzucił się Szekspirovi do gardła. Nieszczęsnemu kacykowi oczy wyszły z orbity, wyrwał się przerażony i odepchnął rozpaczliwie Zasepę.

— Oszalałeś?! Chcesz mnie udusić? Tak nie można. Nie jesteś dzikim człowiekiem. Jesteś bojownikiem o wolność.

— Kazałeś mi przeżywać — bronił się zasapany Zasepa.

— Ale w grze... a nie naprawdę. To się robi na niby.

— No, więc nie wiem... udawać czy przeżywać?

— Przeżywać, ale nie dusić.

— Kiedy ja tak przeżywam.

— Nie opowiadaj głupstw!

— To jak mam przeżywać?

— Wyjaśnijcie mu — westchnął Szekspir i obrócił się do pozostałych Murzynów, ocierając pot z czoła.

— Kiedy on to może tak przeżywać — wziął w obronę Zasepę czarownik w masce z rogami.

— Dlaczego nie pozwalasz mu tego tak przeżywać? — zapytał wojownik z dzidą.

— To niech on z tobą tak przeżywa — rozłościł się Szekspir — ja mam za słabą szyję.

— Nie zrażaj go — powtórzył czarownik — to było wyśmienicie zagrane, słowo daję!

— Tak, niech utrzyma ten ton — dodał wojownik — grajmy dalej.

— Boże, z kim ja pracuję! — westchnął zrezygnowany Szekspir. — Więc dobrze, draniu — zwrócił się do Zasepy — utrzymaj ten ton, tylko nie duś za mocno, bo cię kopnę. Jedziemy dalej, panowie. Teraz ty krzykniesz — wskazał na Pędzelkiewicza.

— Co mam krzyknąć?

— Krzykniesz: „Sprzedałeś nas kolonizatorom!” A wtedy ten dryblas — odwrócił się do Słabego — wtedy ten dryblas zawoła: „Ale czarny lud powstał!”, i doskoczy z dzidą, a ty, mały — wskazał na mnie — zapytasz: „Czy słyszysz tam-tamy zwycięstwa?” Na te słowa okrzyknijcie mnie wszyscy i powiecie: „Jesteś aresztowany!”. To wszystko. Zrozumiano?

Chrząknęliśmy, z niewyraźnymi minami spoglądając po sobie.

— Tylko, na miłość boską, nie patrzcie jak niedojdy. Jesteście ludem gwałtownym, podnieconym walką i zdecydowanym na wszystko. Grunt to ekspresja, koledzy.

— Co to jest ekspresja? — zapytał Słaby. — Czy to coś od ekspresu?

Szekspir spojrział bezradnie na kolegów.

— Ekspresja to znaczy wyraz — wyjaśnił czarownik, ale po minie Słabego poznałem, że nic nie rozumiał.

— Ustawcie się — rzekł Szekspir — odegramy teraz całą scenę.

Czułem, że zaplątailiśmy się beznadziejnie, i chciałem zaprotestować, ale Zasepa znów dał mi sójkę pod żebro i szepnął:

— Nie sprzeciwiaj się. Niech mu będzie.

A głośno powiedział:

— Dobra jest, chłopaki, możemy im to zagrać. Nie takie rzeczy się robiło. Co? Jazda!  
To mówiąc doskoczył do Szekspira, potrząsnął nim i krzyknął:  
— Podły kacyku!  
— Sprzedałeś nas kolonizatorom! — wrzasnął Pędzel, przewracając oczami.  
— Ale czarny lud powstał! — Słaby doskoczył z dzidą.  
— Czy słyszysz tam-tamy zwycięstwa? — zapytał ponuro.  
W tym momencie chłopcy z tam-tamami poczęli bębnić.  
— Jesteś aresztowany! — zawołaliśmy wszyscy i otoczyliśmy Szekspira.  
Rozległy się oklaski. Szekspir, czarownik i inni Murzyni spojrzeli na nas z uznaniem.  
— Doskonale — powiedział Szekspir — widzę, że przełamaliście tremę i rozgrzaliście się. Jedziemy wobec tego dalej. Po słowach: „Jesteś aresztowany”, rzucicie się na mnie, zwiążecie mnie sznurem i wyniesiecie za scenę.  
Zasępa drgnął. Spozstrzegłem, że nagle w oczach pojawił mu się dziwny błysk.  
— Dobra jest, wodzu — powiedział pośpiesznie i ochoczo.  
A obracając się do nas, dodał cicho:  
— Doskonała sposobność, panowie.  
— Co powiedziałeś? — zmarszczył brwi Szekspir.  
— Powiedziałem, że to doskonały pomysł.  
Odegraliśmy jeszcze raz całą scenę, po czym zgodnie z instrukcją po słowach: „Jesteś aresztowany” rzuciliśmy się na Szekspira, okręciliśmy go sznurem i skrępowanego jak baleron unieśliśmy ze sceny, budząc entuzjazm widzów.  
Przebiegliśmy z ciałem przez kulisy i pustą garderobę. Ja dreptałem ostatni, podtrzymując nogi kacyka. Sądziłem, że w garderobie pozbędziemy się niemiłego ciężaru, ale Zasępa, który dreptał pierwszy, nie stanął wcale, tylko mrugnął do nas porozumiewawczo i pokazał brodą na drzwi.  
Wypadliśmy na dwór i popędziliśmy w kierunku ogrodu przyszkolnego. Na szczęście nikt nas nie zauważył. Sam Szekspir zorientował się dopiero, gdy owionęło go chłodne powietrze boiska.  
— Gdzie mnie niesiecie? — zapytał zdziwiony.  
W odpowiedzi Zasępa przyśpieszył kroku.  
— Co to ma znaczyć? Puszczajcie, łobuzy! — krzyknął Szekspir. Zaczął naprężyć się i szarpać w więzach, ale nic nie mógł poradzić.  
— Nie bój się — zasapał Zasępa — nie zrobimy ci nic złego.  
— Ratunku! Porwali mnie! — zaczął krzyczeć wniebogłoso Szekspir, nikt go jednak nie usłyszał. Zresztą po chwili zamilkł, ponieważ Zasępa zakneblował mu usta jego własnym turbanem.  
Zatrzymaliśmy się dopiero w kącie ogrodu za zaroślami malin.  
— Dobra — powiedział zadyszany Zasępa — połóżcie go tutaj. Pogadamy z nim.  
Położyliśmy ciało pod spróchniałym pniem starej gruszy, wśród przekwitłych rumianków. Wyglądało na to, że Szekspir pogodził się z losem. Leżał nieruchomy.  
Przestał się szarpać. Ale kiedy zobaczyłem jego oczy, ciarki mnie przeszły. Jego oczy były utkwione w nas i czułem, że wydają na nas wyrok... Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, cośmy zrobili.  
— To jest czyste szaleństwo — szepnąłem do Zasępy — posunęliśmy się chyba zbyt daleko. Porwać dziesiątaka! Ty wiesz, co to znaczy zdrzeć z dziesiątą? Oni nam tego nie darują.  
— Już za późno na medytacje — mruknął Zasępa. — Co będzie, to będzie, nie było innej rady. Po dobru nic by nam nie powiedział, a tak...  
— Co chcesz z nim zrobić?  
— Jak to: „co”? Nakłonię go, żeby wydał sposób.  
— Tylko szybko — jęknął chudy Pędzelkiewicz dygocąc z zimna — tu nie Afryka, żeby chodzić w majtkach.  
— Nie bój się, to pójdzie szybko — powiedział Zasępa rozcierając sobie pokryte gęsią skórą ciało.  
Kucnął przy jeńcu.  
— Słuchaj, Szekspir — powiedział — przykro nam, że musieliśmy to zrobić, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Myślę, że nas zrozumiesz. Sprawa jest prosta. Uważaj, co powiem. Potrzebujemy sposobu na gogów...  
W zwięzłych słowach przedstawił nasze położenie i nagłą konieczność zdobycia odnośnych tajnych informacji. Po czym zakończył tymi słowami:  
— Bądź kolegą. Pomóż braciom w niedoli. Tylko się nie wykręcaj, bo wiemy, że znasz sposób. Jak tylko wtajemniczysz nas w to, co potrzeba, zaraz cię puścimy. Poza tym będziesz mógł liczyć na naszą wdzięczność. Nie zawiedziesz się na nas. A więc, słuchamy cię, Szekspir.



To mówiąc odwiązał usta jeńcowi.

— Oprawcy kolonialni! Gibbony w ludzkim ciele! Ja wam dam sposób!... — zaczął krzyczeć Szekspir, wobec czego Zasepa z powrotem założył mu knebel.

— Zasmuciłeś nas, Szekspir — powiedział — nie jesteś zbyt koleżeński, wobec czego będziemy musieli zastosować mniej przyjemne środki. Zrobimy to ze ściśniętym sercem, ale wierz nam, nie mamy innego wyjścia. Jesteś naszą jedyną szansą.

— O jakich środkach mówisz? — zapytałem nieco zaniepokojony.

— Zastosujemy tortury — odparł spokojnie Zasepa.

— Daj spokój, nie pogarszaj sytuacji — przestraszyłem się. — Spróbuj z nim jeszcze raz po dobroci. Może będzie mówił.

Zenon uchylił knebla Szekspirowi, ale jego paszcza bluznęła tylko potokiem wyzwisk.

— Widzisz, że nie można — powiedział Zasepa zakrywając Szekspira — wciąż bluzga jadem nienawiści. Słaby, podaj źdźbło.

Słaby podał mu małe ździebełko trawy i Zasepa począł skrobać delikatnie Szekspira za uchem.

— Jak będziesz chciał mówić, daj znak małym palcem — powiedział spokojnie do jeńca.

Szekspir dał znak. Zasepa przerwał czynność.

— Notuj, Ciamcia — zwrócił się do mnie.

— Nie mam notesu. Został w ubraniu — powiedziałem.

— Notuj w pamięci — powiedział Zasepa, po czym uchylił knebla Szekspirowi i nadstawił ciekawie ucho.

— Mandarylu ogoniasty! Synu skunksa i szakala! — bluznął jadem Szekspir.

Zasepa czym prędzej zatkał mu usta.

— Co on powiedział? — udałem, że nie dosłyszałem.

— Nic ciekawego — powiedział Zasepa.

— Zanotować?

— Bez głupich żartów, Ciamcia — zasapał Zasepa i powrócił do czynności.

— Zobaczymy, komu się prędzej znudzi, Szekspir. Ja mam czas. Poczekam, aż będziesz rozsądny. Myślisz pewnie, że zimno skłoni mnie do odwrotu. Mylisz się. Zobacz, jak słońeczko świeci. Jest co najmniej dwadzieścia stopni w słońcu. Wytrzymamy. No nie, chłopaki?

Pędzel i Słaby opanowali na moment drżenie i przytaknęli bohatercko:

— Tak. Jest nam zupełnie ciepło.

— Siadajcie, chłopaki — powiedział Zasepa — Tu się zanosi na dłuższą operację.

Pędzel i Słaby usiedli posłusznie.

— A ty, Ciamcia, czemu nie siadasz?

Chrząknąłem zmieszany. Wstyd mi było wyznać, że nie mogę patrzeć na to wszystko. Metody Zasepy nie były w moim stylu. Zresztą czułem, że kostnieję.

— Będę was ubezpieczał — powiedziałem i cofnąłem się w zarośla. Upewniwszy się, że Zasepa mnie nie widzi, począłem wykonywać gwałtowne ćwiczenia gimnastyczne, żeby się rozgrzać.

Kiedy wyjrzałem po minucie, stwierdziłem, że sytuacja nie uległa zmianie. Mimo intensywności zabiegów Szekspir nie zdradzał zniecierpliwienia.

— Daj grubsze źdźbło, Słaby — powiedział wreszcie rozczarowany Zasepa.

Niestety, ani zmiana instrumentu, ani natężenie zabiegów nie zrobiły na Szekspirze pożądanego wrażenia, co więcej — na twarzy delikwenta pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu błęgiego zadowolenia.

— Może zdjąć mu skarpetki i połaskotać w pięty? — zaproponował Pędzel.

— Nic nie pomoże — powiedział Zasepa — on jest nieczuły. Ale ja znam sposoby na nieczułych. Słaby, przynieś pszczołę.

— Jak mam przynieść? — zaniepokoił się Słaby.

— Może lepiej pokrzywę — bąknął Pędzelkiewicz — albo oset.

Zanim jednak uzgodniliśmy szczegóły techniczne dalszych tortur, staliśmy się świadkami nieprzewidzianego zjawiska.

Oto przez nieruchome dotąd ciało Szekspira przeszedł dziwny dreszcz. Jeniec zbulgotał pod kneblem, wyprężył się, a potem począł wykonywać jakieś gwałtowne skręty tułowiem z energią, której u niego nawet nie podejrzewaliśmy. Wkrótce widać już tylko było na trawniku bezkształtną, pstrokatą masę trzepocącą się z nieprawdopodobną szybkością i wzbijającą w górę tumany zeschniętych liści, traw i ziół. Miało to dalsze, pozałowania godne następstwa. Oto bowiem sznur krępujący jeńca wyraźnie zwiotczał... Szekspir wyswobodził ręce, zerwał knebel i, krzycząc przeraźliwie, zerwał się na nogi.

Myślałem, że skorzysta ze swobody i ucieknie, ale on uległ jakiemuś dziwnemu szaleństwu. Począł wykonywać obłądny taniec, podskakując w miejscu, zrywając z siebie odzienie i klepiąc się po całym ciele.

Czyżby tortury odebrały mu zmysły? Nie mogłem dłużej patrzeć na tańczącego Szekspira i doskoczyłem do chłopaków.

— Powstrzymajcie go — zawołałem — nie widzicie, że oszalał?

W tej samej jednak chwili spostrzegłem z przerażeniem, że podobne, choć dopiero wstępne, dreszcze nawiedziły Zasepę, Pędzla i Słabego. Zerwali się na nogi i razem z Szekspirem poczęli wykonywać ten sam makabryczny taniec, wykrzykując niezrozumiałe słowa.

— Co wam się stało? — zapytałem błdy.

— Mmmrrrówki! — wykrztusił Zasepa. — Ttu było mmmrrrowiskooo!

Szekspir pierwszy zdołał otrzepać się z mrówek. Okręcił się z powrotem w swoją wzorzystą szatę kacyka i, trzymając w ręku sznur, którym był związany, w niedwuznacznym celu zaczął się zbliżać do nas z twarzą, na której wypisana była krwawa zemsta.

— Partacze! — syknął. — Nie umiecie nawet wiązać. Na przyszłość radzę wiązać do kija. Wiązanie w mumię i baleron nie daje żadnych gwarancji, zwłaszcza, gdy ofiarę umieszcza się przy mrowisku. A teraz wyrównamy rachunki.

Nie mieliśmy na to, rzecz jasna, najmniejszej ochoty i daliśmy bezzwłocznego drapaka. Ucieklibyśmy oczywiście najchętniej, gdzie pieprz rośnie, niestety, wobec szczupłości naszych strojów i hebanowej barwy oblicza, ucieczka poza obręb ogrodu była niemożliwa. Czmychaliśmy więc w kierunku Wędzarni.

Więckowska karmiła właśnie drób. Na widok czarnych i nagich postaci cwałujących w jej kierunku nieszczęsna niewiasta wydała kilka nieartykułowanych, niemniej rozpaczliwych dźwięków i pobiegła w kierunku szkoły.

My zaś zabarykadowali się w Wędzarni.

Przez chwilę Szekspir dobijał się gwałtownie do drzwi i okiennic, potem nastąpiła cisza. Sądziłyśmy, że się wycofał, ale kiedy wyrzeliśmy przez szparę w okiennicy, zauważyliśmy, że siedzi na pniaku i czyha.

— Daj spokój, stary — powiedział pojednawczo Zasepa — zawrzyjmy ugodę. Proponujemy okup.

— Nic z tego — powiedział Szekspir — nic z tego, amatorzy sposobów. Teraz ja mam czas i poczekam.

— Co chcesz z nami zrobić? — zapytał Zasepa.

— Chcę zobaczyć, jak będą was stąd wyciągać. Dyr ze Żwaczkiem.

Zadrżeliśmy.

— Daj nam zwiac — powiedział Zasepa. — Jeśli dyszysz zemstą, możesz każdego z nas połaskotać pokrzywą, ale tylko dwa razy.

— Gardzę prymitywną, szczeniacką zemstą — zaszydził Szekspir — widać, że nie dorośliście do przyzwoitego poziomu nawet w kwestii zemsty. Zaspokoić mnie może tylko zemsta intelektualna.

— Nie opowiadaj! To czemu gonisz nas z powrozem?

— Był to pierwszy, nie kontrolowany odruch. Lecz obecnie opanowałem ten odruch i zastanawiam się nad innymi możliwościami...

Milczeliśmy przez chwilę, poważnie zaniepokojeni.

— Co to za możliwości? — zapytał wreszcie ostrożnie Zasepa.

— Niestety, obawiam się, że w tej chwili nie czas na wyjaśnienia — powiedział Szekspir — bo zdaje się, że już po was idą...

Istotnie od strony szkoły szła Więckowska, za nią Dyr i Żwaczek, a w pewnej odległości za nim czarownik i inni aktorzy z dziesiątej.

Poculiśmy, że mimo naszych skąpych kostiumów robi nam się gorąco.

— Tędy biegli, panie dyrektorze — pokazywała wciąż jeszcze podniecona woźna.

Dyr rozglądał się z niedowierzaniem dookoła.

— Ja tu nie widzę żadnych Murzynów. Więckowskiej znów się coś przywidziało. Więckowska powinna się leczyć.

— Jak Boga najświętszego, panie dyrektorze — Więckowska uderzyła się w pierś — żeby mnie diabeł łaciny uczył! Żeby tu w mękach skołała przed panem dyrektorem, jak stoję! Murzyni biegli, panie dyrektorze. Nagutcy i czarni.

Dyrektor skrzywił się z niesmakiem. Przysięgi i zaklinania Więckowskiej zawsze napełniały go odrazą i obrażały jego pedagogiczne uczucia.

— Niechże Więckowska nie opowiada głupstw — zasapał. — I niech się Więckowskiej nie zdaje, że ja tu idę dlatego, że uwierzyłem w Murzynów Więckowskiej. Nadzy Murzyni w Warszawie, i to w październiku! Idę tu dlatego, aby przekonać Więckowską, że się myli, i by wykorzenić raz na zawsze fideistyczne i metafizyczne skłonności Więckowskiej. Niech Więckowska przetrze oczy i zobaczy, że tu nikogo nie ma.

— Pewnie schowali się w Wędzarni. Założę się z panem dyrektorem, że w Wędzarni siedzą. Niech pan zajrzy do Wędzarni, panie profesorze — zwróciła się do Żwaczka.

— Zaraz sprawdzimy — usłyszeliśmy głos Żwaczka, po czym klamka poruszyła się gwałtownie.  
— Zamknięte — powiedział.  
— No właśnie, a było otwarte, bo brałam krupy dla drobiu. To oni musieli zamknąć! Od środka na haczyk zamknęli! Nic, tylko oni! — gorączkowała się Więckowska.  
— Zaraz zobaczę — powiedział pan Żwaczek.  
W szparze drzwi zobaczyliśmy jego oko, a potem kawałek ucha.  
— Rzeczywiście, tam ktoś jest — powiedział ze zdumieniem — słyszę głośne oddechy i jakieś szelesty.  
— A co, nie mówiłam?! — wykrzyknęła triumfalnie Więckowska. — Pan dyrektor widzi, że mi się nie zdawało i że nie ma czego u mnie wykorzeniać.  
Dyrektor chrząknął zmieszany.  
— Wychodzić stamtąd! — krzyknął.  
Żwaczek powtórnie szarpnął za klamkę.  
— Otwierać i wychodzić!  
Nie poruszyliśmy się.  
— Tak nie można — powiedziała Więckowska — oni się przecież boją. Pan dyrektor i pan profesor wyobrażają sobie: biedne spłoszone Murzynki, dygocące ze strachu, a panowie od razu do nich jak policja jaka... Łagodnie trzeba.  
— Ależ to nie mogą być Murzyni! Pani Więckowska, na miłość boską! — załamał ręce Dyr.  
— Ja pana przekonam, panie dyrektorze — powiedziała Więckowska i zwróciła się do nas łagodnym, proszącym tonem: — Kochaniutcy, milutcy, powiedzcie, kim jesteście.  
Milczeliśmy.  
— Wystawcie chociaż rączkę, chociaż paluszek — prosiła.  
Nie mogliśmy się oprzeć błaganiom pocziwej kobiety. Zasepa wystawił przez szparę czarny palec.  
— Czarny! — wykrzyknęła ucieszona Więckowska. — Niech panowie zobaczą. No, i czyja racja? Pedagogzy spojrzeli nieufnie, a pan Żwaczek chciał złapać od razu Zasepę za palec, szczęściem Zasepa cofnął go na czas.  
— Istotnie czarny — powiedział Żwaczek. — Coś takiego!  
— Nic nie rozumiem — Dyr spojrział na niego zbity z tropu. — Panie kolego, co pan sądzi o tym zjawisku?  
— Mam pewne podejrzenia — powiedział Żwaczek. — Niech mi pani powie, moja droga Więkosiu, w jakim wieku byli ci Murzyni?  
— W jakim wieku? W wieku szkolnym, panie profesorze. Takie milutkie Murzyniątka kilkunastoletnie.  
Żwaczek odchrząknął.  
— Jak takie milutkie, to czemu Więkosia uciekła z krzykiem?  
— Z nerwów, panie profesorze. Zanim człowiek co pomyśli, to już krzyczy.  
— Rozumiem. A ilu ich było? — pytał dalej Żwaczek.  
— Czterech.  
— To by się zgadzało — wycedził polonista. — Właśnie na mojej ostatniej lekcji brakowało akurat czterech uczniów. Na mojej lekcji w ósmej A — podkreślił z naciskiem.  
— W ósmej A?! — nastroszył się Dyr. — No tak... oczywiście w ósmej A — westchnął.  
— Panowie myślą, że to uczniowie z ósmej? — wykrzyknęła Więckowska. — Ależ oni nie są czarni!  
— Mimo to mam pewne podejrzenia — powiedział Żwaczek. — Kolor skóry nie jest dla mnie istotny. Dla mnie istotne jest to, że Ciamciara, Zasepa, Słabiński i Pędzelkiewicz młodszy nie powrócili z dużej przerwy na lekcję polskiego.  
— Ciamciara to ten, który dziś rano wyprodukował gaz piorunujący na lekcji pana Farfali? — zapytał dyrektor.  
— Tak, panie dyrektorze, to ten sam, który spowodował wybuch i zniszczył aparat Kippa. A wszystkich czterech pan dyrektor miał niedawno okazję, zresztą niezbyt przyjemną, gościć w swoim gabinecie, zanim podjęliśmy wiadome środki.  
— Ale jak pan wytłumaczy ich czarność i nagość?  
— Maskują się, panie dyrektorze. Najlepszy dowód, że nawet Więkosia ich nie poznała.  
— Rozebrać się w październiku i biegać po ogrodzie w stanie obnażonym! — wykrzyknął z niedowierzaniem dyrektor.  
— Pan nie wie, do jakich poświęceń młodzież jest zdolna, byleby uchylić się od lekcji. Pewnie znów nie byli przygotowani z polskiego i bali się zetknięcia ze mną...  
— Nie, panie profesorze, to było inaczej — usłyszeliśmy nagle głos Szekspira.  
Wyłonił się zza Wędzarni i podszedł do oniemiałych pedagogów.  
— Bardzo przepraszam, że się wtrącam i do tego w takim stroju, ale muszę wystąpić w obronie kolegów —

mówił śmiało. — Nieobecność ich na lekcji polskiego jest usprawiedliwiona. Byli na próbie sztuki.

— Jakiej znowu sztuki?

— „Przebudzenie Afryki”.

— A rzeczywiście — powiedział Dyr — przecież przygotowujecie tę sztukę, ale co znaczy ta bieganina po ogrodzie, to krycie się?...

— Ja zaraz wytłumaczę. W czasie przerwy w pracy wyszliśmy tutaj omówić pewne sprawy i wtedy...

— Ale skąd ci obwiesie w „Przebudzeniu Afryki”? — denerwował się Żwaczek.

— Ci obwiesie zostali skierowani. Grają w scenie uprowadzenia kacyka.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— Nic panu profesorowi nie wiadomo? — zdziwił się Szekspir.

— Nic.

— No, to trzeba ich zapytać.

— Słusznie. Ale niech najpierw wyjdą z Wędzarni. A w ogóle to jest dziwne. Dlaczego oni nie chcą wyjść?

— Prawdopodobnie przestraszyli się pana profesora — powiedział Szekspir — ja ich zaraz wywołam.

To mówiąc, zwrócił się do nas:

— Koledzy, proszę nie robić kawałów. Wasze krycie się może być błędnie zrozumiane przez panów profesorów. Powinniście wyjść i udzielić odpowiedzi na żądane pytania.

Nie byliśmy pewni, czy to nie jakiś podstęp ze strony Szekspira, ale dalsze ukrywanie się nie miało sensu, wyszliśmy więc gęsiego z bardzo niepewnymi minami.

— Jezus Maria! Więc to tak! — wykrzyknęła rozczarowana Więckowska. Cały jej sentyment do nas wyparował z miejsca jak kamfora. — Tak mnie przestraszyć! A niecnoty! Żeby się tak wysmarować na czarno! Tfu! Obrzydliwość!

— Właśnie — powiedział groźnie pan Żwaczek do Szekspira. — Czy musiałeś ich tak wysmarować?

— Ja nie mogę się inaczej wczuć... — próbował tłumaczyć Szekspir, ale Żwaczek przerwał mu ostro:

— Zabraniam stanowczo malowania się na próbach. Wystarczy, jak umalujesz ich przed premierą.

— Tak jest, panie profesorze.

— Kto was skierował do tego przedstawienia? — indagował nas Żwaczek.

Nie umieliśmy wyjaśnić.

— Być może, że zgłosili się z własnej woli — próbował ratować sytuację Szekspir — pan profesor rozumie, że sztuka dramatyczna ciągnie. Być może, obudziły się w nich artystyczne pragnienia. Uważam, że to objaw jak najbardziej pozytywny... takie budzące się zamięłowania u obwiesi, jak pan profesor był łaskaw ich określić.

— Czy naprawdę sztuka dramatyczna was ciągnie? — zapytał Żwaczek.

— Ciągnie nas, panie profesorze — odpowiedzieliśmy.

— To utalentowani chłopcy — pośpieszył z wyjaśnieniem Szekspir — scenę uprowadzenia kacyka odegrali z wielkim wyczuciem.

— Możliwe. Oni do tego są zdolni — powiedział Żwaczek — ale to wszystko nie wyjaśniło mi jeszcze waszych biegów po ogrodzie i barykadowania się w Wędzarni. Czy to też należy do sztuki dramatycznej? — zapytał złośliwie.

— To należy nie tyle do sztuki dramatycznej, panie profesorze, ile do dramatycznych przeżyć — tłumaczył Szekspir. — Ściśle mówiąc, chodzi o mrówki.

— O co?

— O mrówki. Właśnie omawialiśmy w plenerze pewne sprawy, kiedy zaatakowały nas mrówki.

— Chcesz więc powiedzieć, że oni barykadowali się przed mrówkami?

— Mrówki są bardzo dokuczliwe, prawda, chłopcy? — powiedział Szekspir.

— Bardzo dokuczliwe — przyznaliśmy.

Dyr machnął ręką i westchnął zrezygowany.

— Niech pan da spokój, kolego — powiedział do Żwaczka — nie dojdziemy z nimi do ładu.

— Pan dyrektor rezygnuje z dotarcia do prawdy obiektywnej?

— Szkoda naszych nerwów i czasu.

— Jak pan uważa. Ja w każdym razie wpiszę ich do dziennika za samowolne opuszczenie lekcji. A teraz marsz się przebrać i umyć!

Chcieliśmy dać nogę, szczęśliwi, że na tym się to wszystko skończyło, ale Szekspir zatrzymał nas.

— Jeszcze jedno, panie profesorze. Jutro znów mamy próbę, czy pan profesor mógłby ich zwolnić z trzeciej lekcji?

— Próby powinniście robić tylko po lekcjach.

— Po lekcjach mamy kółko polonistyczne.

— A prawda. No, więc dobrze. Zwalniam ich.  
— Nie... My nie chcemy! — przestraszył się nagle Zasepa.  
— Nie chcemy! — powtórzyłem jak echo.  
— Nie chcemy! — wykrzyknęli prawie jednocześnie Słaby i Pędzel.  
— Jak to?! — zdumiał się Żwaczek. — Dlaczego nie chcecie?  
— Jesteśmy zapóźnieni w nauce.  
— A trzecia lekcja to właśnie lekcja polskiego.  
— Nie chcemy, żeby pan profesor miał do nas pretensje...  
Żwaczek spojrział na nas podejrzliwie. Podejrzana musiała mu się wydać nasza nagła pilność. Postanowił więc na wszelki wypadek zrobić nam na przekór.  
— To bardzo ładnie, że obudziły się w was nagle skrupuły — wycedził z krzywym uśmiechem. — Ale jeszcze cenniejsze są dla mnie wasze zainteresowania dramatyczne. Oddaję was w ręce Lepkiego. Życzę sukcesów artystycznych.  
To powiedziawszy oddalił się z Dyrem.  
Spojrzeliśmy po sobie przerażeni. Potem łypnęliśmy zezem na Szekspira. Bestia uśmiechał się złośliwie.  
— Naprawdę chciałbyś, żebyśmy dalej grali?  
— Ma się rozumieć — powiedział Lepki.  
— Dlaczego?  
— Nie życzę sobie, żeby moje cierpienia poszły na marne. A poza tym mam, zdaje się, z wami małe porachunki.  
Powiedział to łagodnym tonem, ale nas ciarki przeszły.  
— Zatem do jutra. A spróbujcie nie przyjść!

## Rozdział V

Wróciliśmy do klasy całkowicie załamani. Nasze sprawy wyglądały coraz tragiczniej. Nie tylko nie zdobyliśmy sposobu, ale — co gorsza — dostaliśmy się w ręce Szekspira i wdepnęliśmy w najbardziej głupi sposób do teatru. Tego tylko brakowało! Gdyby to można jeszcze wierzyć w uczciwe intencje Szekspira, ale czuliśmy, że zemsta jego jest jeszcze nie nasycona i że obmyśla przeciw nam coś straszliwego. Ale co? Gubiliśmy się w domysłach. Jedno było tylko pewne, że nie z wielkoduszności bronił nas przed gogami. Po prostu chciał nas załatwić sam, na własną rękę, i nie życzył sobie, żeby ktoś go w tym wyręczył.  
— U nich taki jest zwyczaj — powiedział ponuro Zasepa.  
Oczywiście ta bolesna porażka nie tylko nie wpłynęła na zmianę naszych planów, ale zdołowała nas jeszcze. Czuliśmy, że grunt usuwa nam się spod nóg.  
Podpadaliśmy coraz bardziej. Należało się więc śpieszyć.  
Nazajutrz jeszcze przed lekcjami udaliśmy się do Kickiego. Zastaliśmy go w stołówce. Otoczony mikrusami rozgrywał właśnie partię tenisa stołowego z mistrzem klasy dziewiątej, Pikulskim.  
— Chodź, Kicki — powiedział Zasepa — musimy z tobą natychmiast pogadać.  
— Boję się — powiedział Kicki, nie patrząc na nas i nie przerywając gry.  
— Czego się boisz? — zdumiał się Zasepa.  
— Że mnie porwiecie.  
— Dlaczego mielibyśmy cię porwać? — zaczerwienił się Zasepa.  
— Podobno porywacie.  
— Porywamy?  
— Porwaliście pewnego kacyka.  
Mikrusy zgromadzone przy sąsiednich stołach zachichotały.  
— Nie wygłupiaj się. Mamy poważną sprawę. — Zasepa zacisnął pięści.  
— Widzicie przecież, że gram.  
— No, to pośpiesz się.  
— Tego nie da się załatwić szybko. To nie to, co łaskotanie jeńca w ucho. Tu trzeba odrobiny sztuki, prawda, Pikulski?  
Malcy znów zachichotali. Musieli widocznie już znać całą historię z Szekspirem. Zdumiewające, jak szybko rozchodzą się te rzeczy po szkole. Upokorzeni patrzyliśmy na Kickiego, jak bez pośpiechu bawił się piłeczką i nic sobie nie robił z naszego zdenerwowania. Nasze przejścia z Szekspirem wprawiły go najwyraźniej w dobry humor. Zaczęliśmy podejrzewać, czy nie umyślnie napuścił nas na Szekspira, żeby ośmieszyć. Po takim łotrze bez czci i sumienia wszystkiego można było się spodziewać.  
— Za dużo sobie pozwalasz, Kicki — mruknął Zasepa — radzę ci, licz się ze słowami i kończ szybko!

— Cicho, żebracy! — zasapał Kicki. — Macie prośbę, to zaczekajcie. Małe ćwiczenie w cierpliwości dobrze wam zrobi.

Drażnił się z nami w sposób widoczny i chciał nas upokorzyć. Patrzyłem z nienawiścią na łobuza. Ze swoimi wybałuszonymi, wpatrzonymi w piłeczkę oczyma, z szeroką, rozdziawioną w uśmiechu paszczką i cofniętym podbródkiem przypominał mi obleśną żabę.

— Chodźmy już — trąciłem w bok Zasępa — to gad.

— Ścisłej mówiąc: płaz. Żaba jest płazem — poprawił mnie Zasępa, ale nie ruszył się z miejsca.

— Co, jeszcze nie poszliście? — szydził głośno Kicki ścinając mistrzowsko piłkę. — Więc jednak ćwiczysz cierpliwość, Zasępa. Słusznie. Ale nie patrz tak zbójcecko, bo, słowo daję, ciarki mnie przechodzą. Porelaksuj się lepiej i przypatrz grze. To ci się przyda, patałachu. Taką rozgrywkę nieczęsto się spotyka... No, powiedz, czy to ci się nie przyda?

— Przyda mi się. Wszystko mi się przyda — powiedział Zasępa.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

— Jak ty to możesz znieść? — szepnąłem oburzony.

— Ja tego nie mogę znieść, ale muszę. Łobuz jest nam potrzebny. Tylko przez niego możemy dojść do sposobów. A zresztą, to nam się naprawdę przyda.

— Co nam się przyda?

— Musisz się, bracie, nauczyć znosić takich typów, jak Kicki.

— Po co?

— Nie zawsze można od razu uruchomić pięści i nie do wszystkiego można dojść przez pięści. Grunt to zimna krew. Opanuj się więc, bracie, i bądź flegmatykiem. Jak przyjdzie czas na wycisk, to damy Kickiemu wycisk.

Wzruszyłem ramionami, ale zostałem. Zasępa czasem zaskakuje mnie czymś takim. Niby zwyczajny chłopak jak inni, trochę łobuz, aż nagle przemówi do ciebie zupełnie jak filozof. Dawno już zauważyłem, że ma takie skłonności. Dlatego trzymam się mimo wszystko Zasępy; on czasem widzi szerzej od innych.

„A swoją drogą — pomyślałem, dławiąc w sobie upokorzenie — musieliśmy upaść strasznie nisko, skoro nawet taki płaz Kicki może z nas drwić swobodnie, a my znosimy w milczeniu zniewagi i czekamy pokornie jak żebracy...”

Jedyne, co nam pozostało, to udawać, że nie słyszymy jego docinków i że w napięciu obserwujemy grę, chociaż nic nas nie obchodziło, kto wygra, i chcieliśmy tylko jednego — żeby jak najprędzej skończyli.

Ale Kicki nie śpieszył się wcale, wprost przeciwnie, przewlekał umyślnie grę i popisywał się zagraniami. Kiedy przyszlismy do stołówki, Pikulski miał nad nim przewagę czterech punktów, ale teraz Kicki wyrównał już i doprowadził do sytuacji remisowej 20:20.

Wstąpił jakby w niego nowy duch. Puszczął podkreśnione szatańsko piłeczki, zbierał najtrudniejsze ścinki daleko za stołem, a wszystko dlatego, że mu się przyglądaliśmy. Pikulski widząc, że nie przelewki, też się wziął w garść. Przez chwilę odbijali obaj spokojnie, nagle Pikulski skrócił piłkę i umieścił ją lekko tuż za siatką. W tym momencie Kicki był daleko za stołem i nie zdążył dobiec. Było 21:20 dla Pikulskiego. Kicki przestał dowcipkować i leniwie odbijał piłkę. Wyglądało na to, że się zmęczył, Pikulski poczuł się raźniej i znów zaatakował. Ale wtedy Kicki zebrał — daleko za stołem — ściętą piłkę, przyhamował i tak ją przy tym podkreślił, że padła w róg stołu, daleko od Pikulskiego. Pikulski chybił. To go rozzłościło. Znów zaryzykował, spróbował wymyślnego serwu, lecz mu nie wyszło. Teraz Kicki miał już nad nim przewagę i Pikulski bał się ryzykować. Drażniący spokój Kickiego wytrącał go z równowagi...

— Ale co? Zrobiłem Pikusia — powiedział chełpliwie Kicki.

Spojrzelismy niecierpliwie na zegarki. Zaraz będzie dzwonek.

— Tak, zrobiłeś go — powiedział Zasępa wyjmując torbę z betelem.

— A teraz skończ go.

— Już go skończę — zadyszał Kicki.

Piłki jego stawały się za każdym odbiciem silniejsze, aż wreszcie ściał straszliwie. Płaska piłka przeleciała nad siatką, potrafiła ją w locie, odbiła się od raketki Pikulskiego, uderzyła w sufit i spadła poza stołem. Kicki rzucił raketkę na stół i podszedł do nas.

— Domyślam się, z czym przychodzicie — powiedział, pakując bezceremonialnie łapę do torby z pestkami — ale nic wam nie poradzę. Sami popsuliście wszystko. Jak mogliście zrobić to Szekspirowi? — mówił pożerając pośpiesznie pestki. — Macie szczęście, że nie wsypał was przed gogami. Nie chciał się plamić i zarezerwował dla siebie wykonanie zemsty.

— Nie mogliśmy inaczej — mruknął ponuro Zasępa. — Nie chciał z nami rozmawiać. W ogóle nie chciał nas dopuścić do głosu.

— Czyżby? To rzeczywiście przykre — uśmiechnął się łobuzersko Kicki i strzyknął łuską pestki w powietrze.

— Nie udawaj greka — odsunąłem się ze wstrętem — przyznaj się, napuściłeś nas na niego dla kawału?

— Ja? Oszalałeś?

— Zrobiłeś z nas umyślnie balona. Wiedziałeś, że on nie powie — nastawałem na Kickiego.

— Co wy? — cofnął się przestraszony nieco. — Sami jesteście winni. Szekspir jest łagodny jak muflon i da się podejść bez pudła, ale kto widział napastować go w czasie gry? To artysta. Kiedy gra, nie widzi świata poza sztuką. Trzeba było poczekać. Wybrać stosowny moment. Niecierpliwość was zgubiła.

— Przystań gderać, stary — uśmiechnął się zimno Zasepa — i przystąpmy do rzeczy. Musisz wykombinować coś nowego.

— Nic się nie da zrobić. Powiedziałem już. — Kicki pożerał błyskawicznie pestki. — Jesteście spaleni. Po tym, co zrobiliście Szekspirowi, nikt z wami nie będzie chciał gadać. To było paskudnie szczeniackie. Mnie samemu wstyd, jak Boga, wstyd mi, że zadaję się z wami — chrząknął niby strasznie zakłopotany, ale łapę znów wraził bezwstydnie do torby.

Stwierdziłem, że w ciągu dwu minut zdążył zeżreć przeszło ćwierć kilo. Krew mi nabiegła do twarzy, ale Zasepa nie przejmował się jego gadaniem.

— Dostaniesz trzy rundki — powiedział spokojnie.

— Trzy rundki na tym trupie? Dziękuję — Kicki zaśmiał się wzgardliwie. — Mnie wystarczyło wczoraj. To trup w stanie rozkładu. Cieknie. Zniszczył mi spodnie. To oszustwo proponować mi na czymś takim rundki.

— Jakby to był trup, toby nie jeździł. Nie opowiadaj. Motor jest na chodzie — rzekłem usiłując zachować godność.

— Rzeczywiście, na chodzie — zadrwił Kicki — jeszcze na jakim! Nie można wyłączyć gazu. Jeśli to nie trup, to w każdym razie chory w przedśmiertnych drgawkach. Ścisłej mówiąc, wariat. Szarpie, podrywa, rzezi, strzyka z różnych miejsc czymś plugawym...

Zasepa chrząknął.

— Motor Pędzla wymaga pewnej... hm... wprawy.

— Naprawy? Nic mu nie pomoże.

— Wprawy — wycedził Zasepa.

— Ach, wprawy?! Też coś! — zaśmiał się złośliwie Kicki.

— Motor Pędzla wymaga pewnej wprawy... — powtórzył Zasepa. — Nie masz jeszcze praktyki. Ale po kilku rundkach się wprawisz.

— Dziękuję. Na nim można zrobić już tylko jedną rundkę. Na cmentarz. A mnie się tam nie śpieszy. Łobuz stanowczo przebrał miarę. Wszystko się w nas zakotłowało. Jeśli ośmiela się drwić w ten sposób z motoru, to czym można go przekupić?! Spojrzeliśmy równie wzburzeni, jak niespokojni na Zasepę. Zasepa wysłuchał szyderstw Kickiego bez mrugnienia powieki, a potem powiedział z niezachwianym spokojem:

— Posiadamy rakiętę.

— Kosmiczną? — zadrwił Kicki.

— Rakiętę do gry — wyjaśnił nie zmieszany Zasepa.

— Rakiętę tenisową? — zapytał z niedowierzaniem Kicki.

— Tak. Rakiętę tenisową.

Spojrzeliśmy na niego ze zdziwieniem. To była także dla nas nowina. Pierwszy raz słyszeliśmy, że mamy jakąś rakiętę.

— Żartujesz chyba — powiedział Kicki. — Wy macie rakiętę tenisową?

— Tak — powtórzył Zasepa.

— Pewnie trupa.

— Rakieta jest na chodzie.

— Pewnie brakuje jej struny.

— Nie brakuje ani jednej.

— Hm — zdumiał się Kicki i w oczach jego pojawiło się zainteresowanie.

— Idziesz na to? — zapytał Zasepa.

— Musiałbym obejrzeć.

— Pytam, czy idziesz.

— Mogę pójść, ale...

— Kiedy chcesz obejrzeć? — przerwał mu Zasepa.

— No, nie wiem.

— Możesz teraz obejrzeć.

— Teraz? Jak to? Gdzie?

— Rakietę jest w oknie.

— W jakim oknie?

— W oknie mieszkania Ciamci.

Chciałem coś powiedzieć, ponieważ mimo głębokiego wysiłku intelektualnego nie mogłem sobie przypomnieć, bym miał w oknie rakietę tenisową, ale Zasepa spojrzął na mnie ciężkim wzrokiem i umilkłem.

— Gdzie mieszka Ciamcia? To daleko? — pytał Kicki.

— Ciamcia mieszka tu zaraz obok, na sąsiednim podwórzu. W suterenie.

Była to dla mnie nowa rewelacja. Chciałem zaprotestować gwałtownie, ale znów napotkałem nieruchome oko Zasepy i dałem spokój.

— Mieszkasz w suterenie? — zdziwił się Kicki i spojrzął na mnie ciekawie.

— Tak — odparłem wściekły na Zasepę. — To bardzo wygodna suterena — dodałem szybko.

— No, dobrze — powiedział Kicki zwracając nam niemal pustą torbę po pestkach. — Teraz już nie zdążymy... ale na drugiej przerwie pójdziemy obejrzeć. Więc mieszkasz w suterenie? — zapytał znowu i obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem.

— Powiedział ci już, że mieszka w suterenie — wmieszał się Zasepa.

— Myślałem, że masz ojca dyrektora, Ciamcia — powiedział Kicki.

— Jego ojciec nie jest już dyrektorem — wtrącił pośpiesznie Zasepa — został zdjęty. Dlatego rakietę jest do zbycia.

— Co ty mówisz — podniecił się Kicki — za co go zdjęli?

— Za niewinność, a teraz cześć, spotkamy się na przerwie.

Zasepa ruszył szybko do klasy.

Dopędziłem go.

— Co to wszystko ma znaczyć? Czemu wycierasz sobie gębę moim starym?! — wybuchnąłem. — Mogłeś mówić o sobie. Ty naprawdę mieszkasz w suterenie.

— Nie mogę mówić o sobie — powiedział Zasepa. — Kicki wie, gdzie ja mieszkam. Poza tym ja nie mógłbym mieć rakiety. A w ogóle zamknij się, Ciamcia. Ty się nie rozumiesz na polityce.

\* \* \*

W niecałą godzinę później wkraczaliśmy z Kickim na sąsiednie podwórko.

— To tutaj — powiedział zatrzymując się Zasepa.

— Gdzie? — zapytał Kicki.

— Widzisz tę oficynę?

— Widzę.

— A drzwi w tej oficynie?

— Widzę.

— Tam na prawo od drzwi siedzi mały staruszek. Widzisz?

— Widzę.

— A na prawo od staruszka jest okno sutereny. Widzisz? To właśnie w tym oknie jest rakietę.

Ostrożnie obchodząc śpiącego staruszka, na palcach podeszliśmy do okna. Kicki, osłaniając dłońmi oczy, przylepił nos do szyby. Ja też nie wytrzymałem z ciekawości i zajrzałem.

Ku mojemu zdumieniu stwierdziłem, że istotnie na parapecie okna stała oparta o szybę rakietę tenisową.

Przeniosłem pełen podziwu wzrok na Zasepę. Mrugnął do mnie porozumiewawczo okiem.

— No jak, Kicki? Przyjrzałeś się?

— Ona jest prawie nowa — wykrztusił z wrażenia Kicki.

— Ona jest zupełnie nowa — powiedział Zasepa. — Teraz kolej na ciebie. Podaj kontakt.

Kicki spojrzął jeszcze raz na rakietę z pożądlivością, a potem powiedział szybko:

— Idźcie do Wątlusza.

— Do Wątlusza? — wytrzeszczyliśmy oczy.

Wątluszowie należeli do najbardziej maniakalnych bokserów w naszej szkole. I nigdy nie przypuszczaliśmy, by mogli mieć coś wspólnego ze sposobem.

— Do którego Wątlusza? — zapytaliśmy, ponieważ było dwu sportowców Wątluszków.

— Do Wątlusza Pierwszego.

— Żartujesz sobie — powiedział Zasepa. — Nie znam bardziej ograniczonego faceta. Skąd on może znać sposób?! Pomyśli, że nabijamy się z niego, i da nam po masce.

— Nie da wam — powiedział Kicki.



— Skąd wiesz, że nam nie da? Taki bokser?!

— Wątlusz Pierwszy nie jest już bokserem.

— Nie jest bokserem? Odkąd to?

— Dziwię się, że nie wiecie. Wątlusz Pierwszy nie jest już bokserem, odkąd został pokonany przez swojego młodszego brata Wątlusza Drugiego, nie mówiąc już o Szlai. Słyszeliście o Szlai?

— Nie. Kto to taki?

— Widzę, że musieliście twardo być przyciśnięci przez gogów, skoro istotne wydarzenia sportowe nie dotarły do waszej zmętniałej świadomości. Szlaja to nowa gwiazda na ringu naszej budy. Ale i jego dni są policzone. Boks teraz wysiada.

— A co wsiada?

— Dżudo. Ten brak perspektywy najbardziej przygnębił Wątlusza Pierwszego.

— Co ty opowiadasz? Wątlusz przygnębiony? — spojrzeliśmy na Kickiego z niedowierzaniem. Jakoś nie mogliśmy sobie w żaden sposób wyobrazić przygnębionego mistrza.

— Wątlusz Pierwszy jest nie tylko przygnębiony — powiedział Kicki. — Wątlusz Pierwszy znajduje się w stanie rozbicia zasadniczego. Najlepszym tego dowodem jest, że został poetą.

— Chcesz powiedzieć, że Wątlusz pisze wiersze? — zapytaliśmy raczej osłupiali. Widok Wątlusza Pierwszego piszącego wiersze przechodził wszelkie pojęcie.

— Tak jest — powtórzył Kicki — pisze wiersze. Niewykluczone jest także, iż będzie próbował swych sił w innych dyscyplinach artystycznych. Niedawno pytał mnie, czy nie wiem, gdzie można by kupić tanio jakiś instrument dęty, obawia się bowiem, że sama poezja nie zdoła go ukoić i że będzie musiał oddać się także muzyce.

— Szkoda, że nie tańcowi — mruknąłem i wszyscy zachichotali. — Albo niech lepiej wstąpi do teatru. Możemy faceta polecić Szekspirowi. To go z pewnością ukoić. Mamy pod tym względem doświadczenie i możemy coś na ten temat powiedzieć.

— Nie jest wykluczone, że Wątlusz wstąpi do teatru — powiedział Kicki. — Widziałem go ostatnio z Szekspirem. Być może, Szekspir chce go wykorzystać. Wątlusz miał zawsze słabość do Szekspira. Na wiosnę uczył go boksu...

— Wiem — skrzywił się Zasepa. — Jeśli z takim wynikiem będzie teraz Szekspir uczył Wątlusza sztuki, to konkurencja nam nie zagraża.

— Mam nadzieję — powiedział Kicki, przerywając ogólną wesołość — a teraz dajcie rakieta.

— Oho, tak ci się śpieszy? Jeszcze nie wiadomo, czy kontakt chwyci.

— Jak to? Miałem dostać tę rakieta.

— Dostaniesz, jak tylko sprawdzimy, czy informacja jest prawdziwa.

— Teraz mi dacie. Taka była umowa.

— Przepraszam, teraz miałeś tylko popatrzeć. Wcale ci nie obiecywaliśmy, że zaraz dostaniesz.

— Szakale! — krzyknął Kicki. — Przecież wykonałem umowę. Macie kontakt, o który wam chodziło?

— Och, dajesz nam jakiegoś Wątlusza, który jest w dodatku przygnębiony. Skąd możemy wiedzieć, czy cokolwiek od niego wydobędziemy?

— Oszuści! Szarlatani i szalbierze! — zaczął krzyżeć Kicki. — Hochsztaplerzy, aferzyści i szwindlarze! Szachraje, krętacze, machlojkarze!

Dosłownie bluzgał wyzwiskami. Cofnęliśmy się zgorzzeni. Kicki objawiał poważne braki kultury. Ostatecznie byliśmy na obcym podwórzu. Niestety, aczkolwiek sen staruszka na krześle pod oknem sutereny okazał się wyjątkowo głęboki, to przecież niekulturalne wrzaski ucznia dotarły wreszcie do jego świadomości.

Staruszek ocknął się, ziewnął, potrząsnął głową i włożył pośpiesznie na nos okulary. Flegmatycznie przeciągając się jak stare kocisko, szukał sprawców wrzasku. Sądziliśmy, że nas skrzyczy. Kicki uspokoił się momentalnie.

Staruszek nie zdradzał jednak żadnych objawów zdenerwowania, złości czy bodaj zdziwienia. Przeciągając się wciąż leniwie jak stare kocisko, zapytał nas spokojnie:

— Czy to wy byliście łaskawi użyć słów „szalbierz i szwindlarz”, czy też należą one do mojego snu? Muszę wam bowiem wyznać, że śnił mi się właśnie proces karny. Z drugiej jednak strony, mój organ słuchowy zanotował, jak mi się zdaje, pewne dźwięki realne. — Dziwna przemowa staruszka zaskoczyła nas, ale upewniła jednocześnie, że nie żywi on względem nas złych zamiarów. Dlatego Kicki przyznał się od razu do użycia słów.

— A... więc to wasz spór mnie obudził — powiedział starzec. — Czy mógłbym znać przedmiot sporu? Może mógłbym was rozsądzić. Z racji mego zawodu często rozsądzam różne sprawy na tym podwórzu.

— Czy pan jest sędzią? — zapytał Kicki.

— Byłem woźnym sądowym. W sądach na Lesznie, mój chłopcze. To ja wołałem: „Proszę wstać, sąd idzie”, kiedy sądzono Szpicbródkę. Moje nazwisko — Duriasz.

— To świetnie! — wykrzyknął Kicki, patrząc z szacunkiem na starego. — Pan w takim razie na pewno powie, po czyjej stronie słusność. Niech pan posłucha. Ja im sprzedałem ważną wiadomość, oni obiecali, że mi zapłacą. A teraz nie chcą płacić.

— Zaraz... my wyjaśnimy — chciał wtrącić Zasepa, lecz woźny Duriasz uciszył go.

— Najpierw zapoznajmy się ze skargą... a raczej z powództwem, gdyż jak widzę, sprawa powstała z umowy cywilnej i nie należy do wydziału karnego. Musisz mi powiedzieć, chłopcze, czy wiadomość, którą sprzedałeś, nie należała przypadkiem do informacji niemoralnych lub karanych przez prawo.

— Dlaczego, proszę pana?

— Gdyż wtedy umowa byłaby z samego prawa nieważna i nie mógłbyś dochodzić swojej należności. Kicki zmieszał się nieco.

— Nie rozumiem, proszę pana.

— Na przykład, gdybyś sprzedał nieuczciwym graczom wiadomość, jak oszukiwać w karty, albo złodziejom, jak dostać się do mieszkania, albo początkującemu bandycie, gdzie może kupić rewolwer, albo gdyby taka sprzedaż wiadomości stanowiła zdradę ojczyzny albo organizacji, albo przyjaciół, którym przyrzekłeś dochować tajemnicy.

Kicki znów chrząknął, tym razem nieco głośniej.

— Ale... ale gdyby... gdyby ta informacja była całkiem przyzwoita, to powinni zapłacić?

— Wtedy powinni.

— Proszę pana — wtrącił Zasepa — ja już nie mówię, czy ta wiadomość jest przyzwoita, ale jak można płacić za wiadomość, kiedy się nie wie, czy ona jest prawdziwa. Czy ona w ogóle istnieje. Najpierw trzeba sprawdzić.

— A ja?! A ja nie muszę sprawdzić?! — wybuchnął Kicki. — Ja też muszę sprawdzić. Skąd ja wiem, czy ta rakietka jest coś warta. Pokazali mi przez okno i myślą, że mi to wystarczy.

— O jakiej rakiecie mówisz, drogi chłopcze? — zainteresował się nagle woźny.

— A o tej na oknie.

— Czy to właśnie o tę rakietę się kłóciliście?

— Tak, proszę pana. Bo oni nie chcą mi jej dać.

— Zupełnie słusznie — powiedział woźny.

— Jak to: „słusznie?!“ — wykrzyknął wzburzony Kicki.

— Nie mogą ci jej dać, bo to jest moja rakietka.

— Co pan opowiada?! — jęknął Kicki. — To nie może być pana rakietka.

— Dlaczego?

— Pan jest przecież woźnym na emeryturze z powodu wieku.

— Istotnie — powiedział starzec — jestem woźnym sądowym na rencie z powodu wieku.

— No, więc dość dziwne mi się wydaje, by woźny na emeryturze z powodu wieku — grał w tenisa.

— To nie ja gram. To moje wnuczki — powiedział woźny. — Ale rakietka należy do mnie. Kupiłem ją za pieniądze uskładane z emerytury i pożyczam wnuczkom, jak chodzą na treningi. Nie stać mnie na kupienie trzech rakiet, więc kupiłem jedną. A nie mogę jej dać żadnej wnuczce, bo pozostałe by jej zazdrościły. To zresztą nie byłoby sprawiedliwe, a ja zawsze służyłem sprawiedliwości, drogi chłopcze. „Sprawiedliwość jest ostoją Rzeczypospolitej” — czytałeś zapewne ten napis na gmachu sądu na Lesznie.

— Tak jest, proszę pana — wykrztusił zbity z tropu Kicki — ale pan przecież nie może tu mieszkać... To jest mieszkanie Ciamci, bo jego ojciec był dyrektorem i właśnie został zdjęty, i wprost do sutereny, proszę pana...

Czułem, że robi mi się gorąco.

Czcigodny starzec sądowy spojrzał na nas z potępieniem.

— Nie mieszka tu żaden Ciamcia, jeśli zaś chodzi o dyrektora, który został zdjęty, to nie wiem, o którego ci chodzi, o tego z trzeciego piętra czy też z pierwszego. W każdym razie żaden z nich nie mieszka poniżej pewnego poziomu. Co za tym idzie, obawiam się, iż padłeś ofiarą oszustwa, co jest przestępstwem przewidzianym w artykule dwieście sześćdziesiątym czwartym Kodeksu Karnego i zagrożonym karą pozbawienia wolności do lat pięciu.

— Łotry! Szubrawcy! Kanalie! Obwiesie! Bez czci i honoru! O, szalbierze! Szarlatani! Żeby tak mnie podejść! Czekajcie, oczajdusze i szwindlarze! Skórę będę darł — pienił się Kicki.

Starzec sądowy przysłuchiwał mu się uważnie i z widoczną przyjemnością, gdyż przypominało to mu sławne sprawy sądowe. Kiedy jednak usłyszał o darciu skóry, pokręcił głową z niesmakiem i powiedział:

— Nie radzę. To ciężkie uszkodzenie ciała zagrożone w artykule dwieście trzydziestym pierwszym karą więzienia do lat dziesięciu.

Rozjuszony Kicki nie zwracał jednak żadnej uwagi na konsekwencje prawne swych czynów i z pewnością byłby wykonał swoje wysoce niekulturalne groźby, gdyby nie nasz jedynie skuteczny w tej sytuacji manewr nożny, czyli oderwanie się od wroga.

\* \* \*

W szkole było już po dzwonku, toteż skutecznie zabezpieczyły nas drzwi klasy. Następną przerwę dla pewności (strzeżonego Pan Bóg strzeże) spędziliśmy zamknięci w wielkiej szafie ściennej na korytarzu, gdzie Więckowska przechowuje pasty, szczotki, miotły, froterki i inny „sprzęt do syzyfowych prac”, jak to określa pan Żwaczek w przystępie nowej fali gorczy, która od czasu do czasu, co mieliśmy już możliwość stwierdzić, zalewa jego gogiczne serce.

Ostrożność nasza okazała się ze wszech miar usprawiedliwiona i bosko przezornie zaaplikowana. Bowiem w kilka sekund później na naszym korytarzu rozległy się okrzyki Kickiego:

— Łotry! Gdzie jesteście? Wychodźcie, tchórze! Niech ja się z wami rozliczę!

— Czemu tak wrzeszczysz? — usłyszeliśmy zirytowany głos Dyra. — Kto to widział tak się miotać!

— Zostałem skrzywdzony przez łotrów, panie dyrektorze!

— Co za łotry?

— Szubrawcy!

— Jacy znów szubrawcy?

— No, szwindlarze, panie dyrektorze!

— Jak ty się wyrażasz?

— Tak jest, panie dyrektorze!

Dyr machnął ręką i poszedł dalej.

Kicki przycichł trochę, ale przez całą przerwę biegał tam i z powrotem po wszystkich korytarzach, wypadał na dwór (prawdopodobnie zaglądał do Wędzarni), znów wracał i szperał we wszystkich zakamarkach i schowkach. Oddychaliśmy ciężko. Ciała nasze pokryły się potem. Już, już zdawało nam się, że zajrzy do szafy. Przebiegł koło niej chyba z pięć razy, a jednak nie przyszło mu, widać, do głowy, że możemy tam siedzieć. Ocaleliśmy szczęśliwie, choć nie ulega wątpliwości, że kosztowało nas to dużo nerwów. Nadto gnębiły nas wyrzuty sumienia.

I to było chyba z tego wszystkiego najgorsze.

— Nie macie się co dręczyć — próbował nas pocieszać Zasepa. — Cel uświęca środki.

My jednak nie byliśmy o tym przekonani.

— Poza tym wiecie, że Kicki jest łobuz. Nabrać łobuza to nic złego.

— Kicki jest wyzyskiwaczem... kapitalistą... sprzedawczykiem, zdrajcą i nieuczciwym graczem — dyszał Zasepa, wyszukując coraz nowe argumenty. — Umowa, którą z nami zawarł, była niemoralna i niezgodna z prawem. Pamiętajcie, co mówił o niej czcigodny starzec sądowy. Takie umowy są nieważne. Można ich nie dotrzymywać...

Czuliśmy jednak, że jeśli tak się rzeczy mają, to nic nam nie ulży takie tłumaczenie. Przecież my także braliśmy udział w tych niegodnych umowach i — tak czy owak — sumienia nasze są niewątpliwie zbrukane, a w każdym razie popryskane brzydko pachnącym brudkiem.

## Rozdział VI

Aby zagłuszyć ten przykry głos sumienia, resztę dnia poświęciliśmy na gromadzenie środków finansowych niezbędnych na zakupienie sposobu. Po otwarciu kasy naszej paczki, czyli sejfu mieszczącego się w mosiężnym brzuchu potężnej staroświeckiej lampy naftowej, którą wyciągnąłem z rupieci i trzymałem w szafie w moim pokoju na poddaszu, okazało się, że cała zawartość kasy wynosi zaledwie siedem złotych. Było jasne, że za tę cenę nie ma co marzyć o kupnie sposobu.

Zarządziliśmy więc doraźną zbiórkę. Ale i jej wyniki były nader żałosne. Październik nie był nigdy łaskawym miesiącem dla naszej kieszeni. W tym miesiącu rodzice — już i tak wypompowani z racji początku roku szkolnego, kupujący odzież na zimę, węgiel i spłacający długi zaciągnięte na sfinansowanie wyjazdów letnich — z reguły wstrzymywali wypłaty kieszonkowego oraz nadzwyczaj niechętnie udzielali doraźnych dotacji na cele kulturalne w rodzaju biletów do kina, na mecze czy do teatrów. W związku z tym z naszych pustych kieszeni wygrzebaliśmy zaledwie sześć złotych, groszy dziesięć. Tak jest, to nie pomyłka, proszę was, lecz miara naszej nędzy. Sześć złotych peerelowskich, groszy dziesięć. W tym stanie rzeczy zastanawialiśmy się poważnie, czy nie lepiej zrezygnować z całej imprezy niż beznadziejnie się ośmieszać, proponując podobne kwoty bądź co bądź tak sławnemu sportowcowi, jak Wątlusz Pierwszy.

Kiedy jednak pomyśleliśmy o nowym kursie Żwaczka, o zniszczonym aparacie Kippa, o groźbach Alibaby, wzburzeniu Dyra, szyderczym śmiechu Dziadzi tudzież o siarce magistra Rączki, kiedy nadto, co gorsza, pomyśleliśmy, iż wszystkie nasze cierpienia, wszystkie przejścia z Szekspirem, udręki z Kickim i dwie torby pestek miałyby pójść na darmo, odrzuciliśmy stanowczo ideę kapitulacji, a nawet jakiegokolwiek zwłoki. I wtedy Pędzel rzucił wielką myśl: „Sprzedać motor”.

Było to wielkie samozaparcie z jego strony i w pełni docenialiśmy to poświęcenie i niesłychaną zupełnie ofiarę. Oczywiście, nie było mowy, żeby tak czcigodną maszynę kupić pierwszy lepszy klient. Kupić mógł ją tylko tak zwany w sferach handlowych stolicy amator.

Maszyna była ściśle amatorska. Dla amatora starożytności, zbieracza okazów muzealnych, w ostateczności dla analityka — jak twierdził, żeby nas pocieszyć, Pędzel.

Zapytałem go, co to znaczy analityk. Odparł, że to taki, co lubi rozbierać maszynę na części.

Niestety, okazało się, że na bazarach stolicy, a nawet na Pańskiej, zbieracze okazów muzealnych są sami rzadkimi okazami, nie znaleźliśmy także uczciwego analityka, który za cenę nędznych pięciuset złotych chciałby zaspokoić szlachetną namiętność rozkładania maszyny na czynniki pierwsze. Zdecydowaliśmy się więc sami podjąć tej czynności, mając nadzieję, że co nie poszło w całości, może pójść w stanie detalicznym. Ostatecznie łatwiej jest sprzedać rąbankę niż tuszę.

I tu spotkało nas rozczarowanie. Z całego motoru udało nam się spieniężyć wyłącznie dętki, które jacyś chłopcy zakupili celem przerobu na gumy do proc.

Otrzymaliśmy z tego tytułu złotych trzydzieści cztery, co razem z poprzednimi zasobami dało łączną kwotę czterdziestu siedmiu złotych, groszy dziesięć.

Zdawaliśmy sobie sprawę z nikłości tej kwoty i z duszą na ramieniu udaliśmy się następnego dnia do szkoły. Należało teraz odszukać Wątlusza. Zaraz na pierwszej przerwie poszliśmy do klasy dziesiątej, lecz tam zamiast na Wątlusza natknęliśmy się na Szekspira, daliśmy więc czym prędzej nogę, bojąc się, by nie zapędził nas znów do sztuki dramatycznej. Szczęściem, na korytarzu spotkaliśmy Wątlusza Drugiego, który powiedział, że jego brat przebywa ostatnio w okolicach Wędzarni.

— Nie radzę wam go niepokoić. On jest w stanie rozbicia.

— Wiemy o tym — powiedzieliśmy.

— A w ogóle z nim jest niezupełnie... dobrze...

— I to jest nam wiadome — oświadczył Zasepa.

— Czego właściwie chcecie od niego? — zapytał ciekawie Wątlusz Drugi, wyraźnie niezadowolony, że zajmujemy się tylko Wątluszem Pierwszym, kiedy wiadomo przecież, że tylko on, Wątlusz Drugi, wart jest zainteresowania. — Jeśli wam chodzi o treningi, to próżno się fatygujecie — wycedził po chwili — mój brat nabrał ostatnio obrzydzenia do boksu.

— Wiemy o tym — powiedział Zasepa. — Zrobiłeś go. To dlatego.

— Tak, zrobiłem go — odrzekł Wątlusz Drugi.

— Wiemy, że go zrobiłeś.

— Skoro wiecie, to powinniście także wiedzieć, że teraz ja prowadzę z młodzikami treningi.

— Nam nie chodzi o treningi — powiedziałem.

— Więc czemu szukacie Wątlusza Pierwszego?

Chrząknęliśmy niewyraźnie.

— Łączą nas zainteresowania artystyczne — odpowiedziałem.

— Co takiego?

— Piszemy razem wiersze — odparł bez mrugnięcia powiekami Zasepa — bijemy pięścią poezji w szczękę nicości!

Po czym odeszliśmy z godnością, zostawiając Wątlusza Drugiego w stanie knock-outu psychicznego i dosyć wyraźnego zamroczenia.

\* \* \*

Na pierwszy rzut oka zdawało się, że to nie żywy człowiek, a posąg. Zza gęstwiny gałęzi prześwitywało martwe, kamienne jakby oblicze z czerwonymi i złotymi liśćmi w rozwichrzonych włosach. Nieruchome oczy patrzyły w ziemię. Przypominał posępnego ptaka marabuta.

— Wątluszu Pierwszy! — zawołał Zasepa.

Kamienna maska drgnęła i zamrugła oczami.

— Kto to?

— Ludzie interesu — odparł Zasepa.

— Jestem nieczynny — powiedział Wątlusz — czy nie wiecie, że jestem nieczynny i znajduję się w stanie rozbicia zasadniczego?

— Słyszeliśmy tylko, że zmieniłeś zawód.

— Istotnie, chyba zostanę poetą — powiedział Wątlusz Pierwszy.

Spojrzelśmy na niego uważnie. Pobladł, jego ptasia twarz wyszlachetniała (wyszpetniał, ale wyszlachetniał, jak mówił Adam Mickiewicz), usta wykrzywiły się boleśnie w podkowę, wzrok przygaśł, oczy zmętniały.

Widząc, że mu się przyglądamy ze współczuciem, podrapał się nerwowo w okolice szczęki dolnej, następnie wyjął lusterko i przyglądał się swojej twarzy.

— Jestem zbyt delikatny — powiedział — mam to już od dziecka, że jestem delikatny. Chorowałem w przedszkolu na świnkę. Od tego czasu jestem delikatny. Poza tym łatwo się wzruszam. Podczas ostatniej walki ze Szląją bardzo się wzruszyłem, bo Szekspir czytał na lekcji wypracowanie o Janku Muzykancie. Pomyślałem sobie, że ja też jestem takim Jankiem Muzykantem i że tylko brak mi skrzypiec, i przez całą walkę żałowałem, że moja pięść nie jest smyczkiem, a nos Szlai kontrabasem. — To mówiąc Wątlusz Pierwszy spojrzał na swoje muskularne łapska z pewnym rozrzewnieniem. — Czy nie uważacie, że marnowałem się w boksie?

— Z pewnością się marnowałeś — powiedziałem, żeby go nastroić jak najlepiej.

— Tak, marnowałem się, ale teraz postanowiłem już się nie marnować. Kupię sobie nuty i będę grał. Zostanę muzykiem, o ile nie zostanę przedtem poetą. Twój stary, Zasepa, jest w orkiestrze, prawda? — zapytał nagle.

— Tak, w orkiestrze tramwajarzy — powiedział Zasepa.

— Czy nie mógłbyś pożyczyć od niego dla mnie skrzypiec, przynajmniej raz w tygodniu? Nowe skrzypce są bardzo drogie.

— Mój stary nie gra na skrzypcach — powiedział Zasepa.

— A na czym?

— Na flecie. Czy to ci odpowiada? Myślę, że subtelny i żaloszny płacz fletu doskonale wyraziłby twój nastrój.

— Nie... nie... nie wspominaj mi o flecie — zatrzęsł się Wątlusz — nie mógłbym grać na flecie. Rozpłakałbym się od razu, jestem zbyt wrażliwy.

— Czy musisz koniecznie grać? Może wystarczyłoby ci słuchać muzyki z płyt? — powiedział Zasepa.

Ale Wątlusz Pierwszy pokręcił smutno głową.

— Nie, ja jestem Jankiem Muzykantem. Mój talent marnuje się nędznie z powodu braku instrumentu. Chyba, że zostanę poetą.

— Przyszliśmy ci pomóc — powiedział Zasepa.

— W poezji czy w muzyce?

— No, jak sobie życzysz — chrząknął Zasepa.

— Potrzebuję rymu do „żałosny”.

— Miłosny! — krzyknął bez namysłu Zasepa.

Ale Wątlusz Pierwszy potrząsnął głową niezadowolony.

— To jest ubogi rym częstochowski. Nie mogę go użyć. To by mnie skompromitowało.

— Kto ci powiedział, że to rym częstochowski?

— Szekspir.

— Zadajesz się z Szekspirem? Więc to prawda, co mówił Kicki...

— Zbliżyła nas sztuka. Ale nie zbaczaj z tematu. Szukaj rymu.

— Do żaloszny?

— Tak, do żaloszny.

— Wiosny! — zawołałem.

— Może być — powiedział Wątlusz Pierwszy — ty, Ciamcia, też powinienesz zostać poetą.

— Nie chciałbym ci robić konkurencji — powiedziałem.

— Ale może znajdziesz jeszcze rym do „zbrzydła”.

— O, takich rymów jest mnóstwo — odpowiedziałem.

— Mnóstwo? — zdziwił się Wątlusz. — mógłbyś mi je powiedzieć?

— Oczywiście. Stale mógłbym ci pomagać... no, to znaczy przez tydzień.

— Tak za nic?

— Nie handluje się rzeczą tak świętą jak natchnienie — odparłem.

— To byłoby świetnie, Ciamcia. Będę ci wdzięczny do śmierci.

— Naprawdę? — zapytałem.

— Słowo sport... — ugryzł się w język — słowo poety, chciałem powiedzieć. Do samej śmierci.

— Mnie wystarczy do jutra.

— Jak to? — zdziwił się zaskoczony Wątlusz.

— Bo chciałbym, żebyś nam jutro zdradził sposób.

Nachyliłem się do jego ucha i wyszeptalem, o co chodzi. Na twarzy Wątlusza odbiło się przerażenie.

— Więc jak? — zapytałem.

— Najpierw... najpierw, powiedz mi te rymy do „zbrzydła”.

— Powidła, stawidła, mydła, kropidła, straszidła, bydła, szydła, sidła, mazidła, prawidła, mamidła, kadzidła, liczydła... — wyrecytowałem jednym tchem.

Wszyscy, nie wyłączając Zasepy, spojrzeli na mnie zaskoczeni.

— Pasuje? — zapytałem Wątlusza pochylonego nad kartką.

— Nie... — westchnął — te słowa są obrzydliwie prozaiczne. Tu musi być coś lekkiego, porywającego...

— Skrzydła! — rąbnąłem bez namysłu.

Wątlusz wytrzeszczył z podziwu oczy.

— Masz nadzwyczajne zdolności — powiedział do mnie, po czym zapisał słowo na kartce. — A teraz wam odczytam cały wiersz — zaproponował.

— Czekaj no, bracie, ale co ze sposobem? — zapytałem niespokojnie. — Miałeś okazać wdzięczność.

— Mam chyba jeszcze trochę czasu. Obiecałem przecież wdzięczność do śmierci.

— Uważaj, bracie — powiedziałem — bo możemy ci skrócić ten termin.

— Niech odczyta — powiedział Zasepa mrugając do mnie okiem.

Wątlusz odchrząknął i przeczytał natchnionym głosem:

Zachodzi słońce nad Wędzarnią krwawo,  
 Słychać krzyk drobiu Więckowskiej nieświeży,  
 Sezon skończony, żegnaj sławo!  
 Na zwiędłych liściach znokautowany bokser leży.  
 Twarz mu wykrzywia uśmiech żaloszny.  
 Byle do wiosny!  
 Kiedy ci walka na pięści zbrzydła,  
 Poezji rozwiń skrzydła!  
 Wątlusz schował kartkę.

— Jak wam się podoba? — zapytał.

— Całkiem niezłe — powiedział Zasepa — tylko dlaczego „nieświeży”?

— Co nieświeże? — zapytał Wątlusz.

— Napisałeś „słychać krzyk drobiu Więckowskiej nieświeży”. Czy krzyk może być nieświeży?

Wątlusz Pierwszy spojrział na Zasepę z politowaniem.

— Nie znasz się na poezji, bracie. Ale ja ci to wytłumaczę. Krzyk jest dlatego nieświeży, bo już długo krzyczą, bo jest już jesień, i w ogóle... więc nic nie może być świeże.

Umilkliśmy wobec takiego argumentu.

— Dobra, Wątlusz — powiedziałem — a teraz pomówmy o sposobie.

— O jakim sposobie? — Wątlusz zamrugał oczami i chciał udawać greka.

— Nie wykręcaj się — powiedziałem — chodzi o sposób na gogów.

— Tego nie mogę zrobić — powiedział Wątlusz.

— Przecież obiecałeś.

— Obiecałem ci wdzięczność, Ciamcia, ale nie obiecywałem, że zdradzę sposób. Namawiacie mnie do czynu niegodnego, wręcz obrzydliwego.

Wymieniłem spojrzenie z Zasepą. Było jasne, że na tanie zdobycie sposobu nie ma co liczyć. Fuks nie przeszedł. A ci, co liczą na wdzięczność ludzką, podobni są do zaklinaczy wiatru. Należało sięgnąć po brzęczące argumenty.

— Pomówmy poważnie, Wątlusz — powiedział rozwlekając słowa Zasepa i leniwie począł macać się po kieszeni — zapomniłeś, że jesteśmy realistami. Jako realisci możemy zaofiarować ci także pomoc realną, namacalną, a nawet brzęczącą.

— Brzęczącą? — w głosie Wątlusza pojawiła się nuta głębokiego zainteresowania, a oko jego śledziło uważnie manipulacje Zasepy koło kieszeni.

— Tak jest, brzęczącą — powtórzył niedbale Zasepa — innymi słowy: w zamian za koleżeńską przysługę gotowiśmy wyłożyć pewną sumę na rozwój twego talentu poetyckiego, świadomi, iż zaspokajanie potrzeb poety jest rzeczą kosztowną.

— Bardzo kosztowną — zgodził się Wątlusz Pierwszy.

— Gotowi więc jesteśmy wspomagać cię finansowo.

— W gotówce? — zapytał pośpiesznie Wątlusz.

— Jak najbardziej gotówkowo. — Zasepa wydstał z kieszeni pugilares.

— Trzeba było od razu tak mówić. A więc po prostu chcecie kupić sposób?

— Jeśli chcesz to tak nazwać... — powiedziałem, acz z wyraźnym niesmakiem. Bezceremonialny sposób wysławiania się poety raził nasze poczucie przyzwoitości.

— To będzie kosztowało pięć.

— Rybaków? — zapytałem.

Wątlusz roześmiał się.

— Wesoły jesteś, Ciamcia — powiedział i chciał mnie pogłaskać „pod włos”.

— Kościuszków? — zapytałem, uchylając się od pieszczoty.

Wątlusz pokręcił głową, tym razem ponuro.

— Pięć anielek?

— Nie.

— Zielonych?

— Nie, pięć czerwonych.

— Ile?!

— Pięć czerwoniaków, czyli tatusiów.

— Masz chyba grypę — powiedziałem.

— Nie mam grypy. To ma tyle kosztować!

— Uszczypnij się w łędźwie — zaproponował wzburzony Zasepa.

— To ty się uszczypnij — powiedział niewzruszony Wątlusz.

— To jest paskarstwo, czarny rynek! — wybuchnął Słaby.

— A ty myślałeś, że Delikatesy? — powiedział Wątlusz. — To jest czarny rynek.

Spojrzelśmy po sobie. Istotnie. Co tu dużo gadać. Kupowaliśmy przecież nielegalnie.

— Powinieneś jednakże, Wątlusz, liczyć się z naszymi możliwościami. Kto w tych czasach może wybulić pięciu czerwonych tatusiów?

— Czy to jest drogo? — zaśmiał się Wątlusz. — Po jednym tatusiu od goga. Za bezcen się sprzedaje. Gdyby się Żwaczek dowiedział, że go sprzedają za stówę, byłby obrażony, słowo daję.

— Być może to jest warto — powiedział Zasepa — ale dla kolegów powinieneś zastosować taryfę ulgową. Nawet na kolejach państwowych ma się trzydzieści trzy procent zniżki.

Wątlusz zmarszczył brwi, myślał przez chwilę, wreszcie powiedział:

— Zgoda, dostaniecie trzydzieści trzy procent zniżki.

— Trzydzieści trzy procent?

— Tak i ani grosza więcej.

— To nas jeszcze nie urządza.

— Nie mogę inaczej. Muszę się dożywiać — powiedział Wątlusz. — Poezja, bracie, to nie boks, to wymaga wysiłku. Praca umysłowa mnie męczy. Zobaczcie, jak wyglądam — to mówiąc obciągnął sobie skórę pod oczami i wygiął usta w podkówkę.

Istotnie wyglądał źle. Miał sińce pod powiekami.

— Nie słyszałem, żeby poeci zyskiwali na żarłoczwie — wtrącił Pędzelkiewicz. — Tatusi mówi, że głód wyszlachetnia artystów.

— Twój tatuś ma przestarzałe poglądy — rzekł zdenerwowany Wątlusz — głodni poeci pisali bardzo smutne wiersze i umierali młodo. A ja chcę żyć i chcę pisać na wesoło. Tak, chcę pisać na wesoło, tymczasem Szekspir powiedział, że moje wiersze są pesymistyczne i zniechęcają do życia. Tak zniechęcają do życia, że Szekspirovi odechciało się zjeść drugiego śniadania.

— Tak, to przykre — powiedział Zasepa — ale czy nie mógłbyś przerzucić się do muzyki?

— Mógłbym — powiedział Wątlusz — ale instrument też kosztuje. Porządny instrument dęty kosztuje z tysiąc złotych.

— O jaki instrument ci chodzi?

— Myślę o tubie — powiedział Wątlusz.

— A czy nie mógłbyś się zadowolić czymś skromniejszym? — zapytałem. — Na przykład harmonijką ustną?

Wątlusz potrząsnął głową.

— Obawiam się — powiedział — że moje zale są tak ogromne, że wyrazić je może tylko duża trąba, a przynajmniej waltornia.

— W takim razie lepiej trzymaj się już wierszy — powiedziałem.

— Tak, lepiej trzymaj się wierszy — powiedział smętnie Zasepa. — Twoja ostatnia cena?

— Jak dla was, niech będzie trzech tatusiów — westchnął Wątlusz.

Zaśmialiśmy się gorzko.

— Czemu się śmiejecie? — powiedział z niesmakiem Wątlusz. — Czy wiecie, ile nas kosztowało stworzenie i wypróbowanie sposobów? Myślicie, że to przyszło łatwo? To mnie osobiście kosztowało dodatkowy rok budy.

— Dodatkowy rok? — zdziwiliśmy się.

— Wypróbowanie sposobów to pełna poświęcenia praca. Przez to zostałem na drugi rok w dziesiątej. A wy się jeszcze targujecie!

Zrobiło nam się przykro.

— Słuchaj, Wątlusz — powiedział Zasepa — powiemy ci prawdę, jak rzeczy stoją. Mamy tylko czterdzieści siedem złotych i dziesięć groszy.

— Co takiego?! — Wątlusz wytrzeszczył oczy.

Myśleliśmy, że się rozłości, ale on tylko się zaśmiał. Teraz on z kolei zaśmiał się gorzko.

— Idźcie... — powiedział — zmiatajcie szybko, bo jeszcze pękne ze śmiechu. Czterdzieści siedem złotych i dziesięć groszy! Za moje poświęcenie, za moje drugoroczne męki!

Tak więc nasze długotrwałe pertraktacje zakończyłyby się kompletnym i haniebnym fiaskiem, gdyby nie przytomność umysłu Zasepy.

— Poczekaj, Wątlusz — chrząknął — o ile się nie mylę, chciałeś nam sprzedać komplet sposobów.

— Komplet sposobów? — nie od razu połapał się Wątlusz.

— No, to znaczy, sposoby na wszystkich gogów — wyjaśnił spokojnie Zasepa.

— A tak... oczywiście — przytaknął Wątlusz — chciałem wam sprzedać komplet sposobów.

— A co byś powiedział, gdybyśmy kupowali sposoby na sztuki?

— Na sztuki?

— No, powiedzmy, na razie jeden tylko sposób. Na przykład na Żwaczka.

— To jest możliwe, ale nie za czterdzieści siedem złotych i dziesięć groszy — odparł Wątlusz. — Żwaczek wart jest co najmniej półtora tatusia.

— A Dziadzia?

— Dziadzia tyle samo.

— Oszalałeś chyba?! Chciałeś nam przecież sprzedać komplet za trzech tatusiów, a teraz żądasz za jednego goga półtora tatusia.

— Od sztuki liczy się więcej — powiedział niewzruszony Wątlusz — komplet zawsze idzie taniej.

— Wiesz, że możemy dać tylko czterdzieści siedem złotych i dziesięć groszy.

— Nie ma o czym mówić — wzruszył ramionami Wątlusz. — Za tę śmieszłą kwotę nie kupicie żadnego sposobu.

— Nawet na Farfałę?

— Ho! Ho! Na Farfałę! Farfala to nie byle kto!

— Nawet na panią Kalino?

— Pani Kalino warta jest co najmniej dwa razy tyle. Inni też.

— Więc na nikogo?

— Na nikogo... To znaczy... — Wątlusz zawahał się i uśmiechnął pogardliwie — za te pieniądze mógłbym wam najwyżej sprzedać sposób na Alcybiadesa.

Milczeliśmy. Propozycja była równie śmieszna, jak upokarzająca. Wystarczyło wiedzieć, kim był w naszej budzie Alcybiades. Postać starego profesora historii, Misiaka, zwanego Alcybiadesem, o pobruźdzonej łysinie, obwisłych ramionach i wiecznie wygniecionym ubraniu, patrzącego w milczeniu zza grubych okularów, była w naszej szkole uosobieniem niezaradności i poczciwości gogicznej.

Kiedy zaczął nas uczyć na początku roku szkolnego, wiedzieliśmy już o nim wszystko prócz jednego: skąd mu się wzięło takie przezwisko i co ono właściwie znaczy.

Z ciekawością zajrzeliśmy do encyklopedii. Pod odnośnym hasłem znaleźliśmy podobiznę osobnika z grzywką, z jakimś płótnem (prawdopodobnie ręcznikiem) przewieszonym przez ramię. Twarz typa była nalana i nie ogolona. Poniżej przeczytaliśmy, co następuje: „Alcybiades — przywódca ateński w starożytnej Grecji. Uczeń Sokratesa. Zdolny, lecz zepsuty moralnie. Wygnany z Aten zginął z rąk mordercy”.

Nic nam to, rzecz jasna, nie wyjaśniło. Przezwisko nie pasowało w żaden sposób do pana Misiaka. Dopiero raz na lekcji historii, kiedy dobrotliwie zwrócił Zasepie uwagę, że czeka go los Alcybiadesa, zrozumieliśmy. Wzburzony naszą niewiedzą zasadniczą i gruntowną powiedział wtedy:

— Niech wam się nie zdaje, iż wystarczy być moim uczniem, aby nabyć mądrości. Alcybiades też był uczniem Sokratesa, a jednak pozostał lekkomyślny i zepsuty.

Zrozumieliśmy wtedy, że biedak uważał siebie za Sokratesa, lecz nadzwyczajna złośliwość i małpia przekora jego uczniów ochrzciła go Alcybiadesem właśnie dlatego, iż nie cierpiał tego męża greckiego. Oczywiście wiedział o tym przezwisku i z pewnością napełniało go ono goryczą. Jednakże nie dawał tego po sobie



poznać. Było ogólnie znaną rzeczą, że nasz Alcybiades zachowywał formę nawet w najgorszych przeciwnościach życiowych. Być może świadczyło to o jego sile moralnej, my jednak byliśmy raczej skłonni widzieć w tym zwykłą obojętność na sprawy współczesnego świata i niechęć do jakiegokolwiek działania.

Nie byliśmy odosobnieni w tych poglądach. Również Dyr uważał Alcybiadesa za psora, który się minął z powołaniem. Powołaniem Alcybiadesa, według powszechnej opinii, miała być praca naukowa w gabinecie, medytacje filozoficzne, ewentualnie zacisze klasztorne i habit mnicha.

Niektórzy wyobrażali go sobie w roli antykwariusza, czyli handlarza starożytności, lecz my uśmiechaliśmy się tylko pod nosem na takie wyobrażenia. Alcybiades nie mógł być handlarzem starożytności, ponieważ nawet do tego potrzeba pewnej dozy energii i umiejętności chodzenia po ziemi, której to umiejętności Alcybiades zupełnie nie posiadał.

Alcybiades umiał za to bujać w obłokach. Dał temu wyraz nieznany artysta-grafik, malując na ścianie gabinetu historycznego fresk przedstawiający Alcybiadesa w jego rozwianym płaszczu i szaliku, latającego między chmurkami z napisem „Spiritus flat ubi vult”<sup>1</sup>. Było to ulubione powiedzenie Alcybiadesa. Słyszając je na początku naszej kariery szkolnej, podejrzewaliśmy Alcybiadesa o alkoholizm, lecz potem starszy brat Pędzelkiewicza, czyli — jak to się popularnie mówiło — Duży Pędzel, wyjaśnił nam, że „spirytus” oznacza po łacinie „duch”, a dokładne obserwacje trybu życia Alcybiadesa tudzież badanie jego oddechu z bliska (co wprowadzało go w niejakie zakłopotanie) stwierdziły ponad wszelką wątpliwość, że przemysł spirytusowy nie ma z nim nic wspólnego i że jedyną rzeczą powodującą stan upojenia zacnego pedagoga były „szampańskie myśli i różne nadużycia intelektualne”, jak to określił Duży Pędzel.

Fresk na ścianie gabinetu historycznego nie przetrwał nawet trzech dni, gdyż z rozkazu wzburzonego Dyra uległ bezwzględnej dewastacji, mimo protestów samego Alcybiadesa, który, jak mogliśmy zauważyć, z niewiadomych powodów był zadowolony z niego. Zachowały się jednak szkice i kopie, a także zdjęcia fotograficzne.

Sprawa fresku pogorszyła i tak już nie najlepsze stosunki między Dyrem a Alcybiadesem. Alcybiades podobno miał się wyrazić, iż w wymazaniu fresku widzi zamach Dyra na swoją popularność wśród uczniów oraz pogwałcenie eksterytorialności gabinetu historycznego.

Z drugiej strony Dyr stwierdzał, że Alcybiades, tolerując podobne gryzmoły na ścianach, obniża autorytet Ciała, stwarza niebezpieczne precedensy. „A w ogóle — zakończył — cała sprawa sprowadza się do tego, że profesor Misiak, nasz czcigodny kolega, minął się z powołaniem. Profesor bez poczucia godności i bez energii, profesor wewnętrznie sflaczały nie powinien poświęcać się działalności wychowawczej”. Po czym na twarzy Dyra ukazał się wyraz głębokiego przygnębienia. Gdyż nie ulegało żadnej wątpliwości, że Alcybiades przygnębiał Dyra. Było też publiczną tajemnicą, iż Dyr od paru lat starał się o nowego historyka. Niestety, bezskutecznie. Sprawa polegała na tym, że Dyr starał się o historyka w ścisłym, także biologicznym, tego słowa znaczeniu, tymczasem stale proponowano mu tylko pedagogów płci słabej, czyli historyczki. Dyr bronił się przed historyczkami, gdyż chciał kultywować czysto męskie tradycje szkoły. Zresztą miał przykre doświadczenia z kobietami pedagogami w naszej szkole. Za naszych czasów było ich tylko dwie — pani Lilkowska i pani Kalino. Obie zapadły na ciężkie choroby nerwowe. Pani Kalino wprawdzie wciąż jeszcze była na chodzie, lecz snuła się po naszej sławnej szkole jak chodzący wyrzut sumienia i apteczka szkolna, a zwłaszcza wszelkie środki uspokajające wciąż były w robocie. Tak więc, choć co rok mówiono, że Alcybiades ma odejść do pracy naukowej, rok za rokiem mijał, a on nie odchodził, doprowadzając do rozpaczdy dyrektora swoim niedołęstwem pedagogicznym, co jednak nie przeszkadzało Dyrowi przy każdej okazji wyręczać się Alcybiadesem. Gdy tylko chodziło o poprowadzenie młodzieży do muzeum, do teatru, na wycieczkę, gdy tylko chodziło o zastępstwo pedagogiczne czy o uspokojenie młodzieży na korytarzach i inne tego rodzaju niewdzięczne funkcje, Dyr wysyłał zawsze na pierwszy ogień Alcybiadesa. Rzecz jasna, Alcybiades padał we wstępnym boju, co z kolei znów wyzwalalo u Dyra falę goryczy, przygnębienia i narzekania. Cóż bowiem wart był gog, którego się nie bano, na którego lekcji, jak wieść głosiła, grywano w makao i pokera lub odpisywano od kolegów inne „ważniejsze lekcje”? Cóż jest wart gog, który nie podnosi nigdy głosu i nie usuwa z klasy?

Prawda, gwoli sprawiedliwości należy dodać, że Alcybiades stawiał czasem lufy. Nie mogło być inaczej, skoro był przeniknięty poczuciem klasycznej sprawiedliwości.

Nikt jednak z bractwa nie brał na serio lufy z historii. Wiadomo było, że Ciało niezbyt się liczyło z wymiarem sprawiedliwości Alcybiadesa. Jeśli z innych przedmiotów nie miałeś luf, lufa z historii nie wywoływała żadnych niebezpiecznych konsekwencji. Inna rzecz, jeśli miałeś lufy z innych przedmiotów, wtedy dodatkowa lufa z historii mogła być dla ciebie przysłowiowym ostatnim gwoździem do trumny. Lecz wtedy to już jest obojętne, iloma gwoździami cię zabiją. I tak już leżysz.

---

<sup>1</sup> duch dąży, dokąd chce

To wszystko stało nam przed oczyma i to było powodem, że propozycja Wątlusza napelniła nas goryczą, niezdrową zadumą, a nawet melancholią. Czy warto w ogóle kupować sposób na Alcybiadesa?  
— Przepraszamy cię — powiedział wreszcie do Wątlusza Zasepa — ale musimy się namyślić. Damy ci odpowiedź na drugiej przerwie.  
— Dobrze, namyślcie się — rzekł zrezygnowany Wątlusz — dla mnie to i tak nie będzie wielki interes. To powiedziawszy zanurzył się z powrotem w zarośla i oddał medytacjom poetyckim.

## Rozdział VII

— Myślę, że nie mamy wyboru — powiedziałem po powrocie do klasy — robiliśmy, co się dało, próbowaliśmy i tak, i siak, ale za te pieniądze nikt nam nie sprzeda lepszego sposobu.  
— Lepiej sposób na Alcybiadesa niż żaden — powiedział Słaby — zawsze to nas trochę podniesie.  
— Honor będzie uratowany — dodał Pędzel — odegniemy się przynajmniej na Alcybiadesie.  
— Tak jest — powiedział zamyślony Zasepa — na razie odegniemy się na Alcybiadesie, zawsze to nas trochę podniesie na duchu, a potem kupimy także sposoby na poważniejszych gogów.  
— A więc kupujemy? — powiedziałem.  
— Kupujemy — odpowiedział niewyraźnie, bez specjalnego zapału Zasepa.  
— Kupujemy — westchnął Słaby.  
— Kupujemy — dodał jak echo Pędzel.  
Próbowaliśmy się uśmiechnąć i zrobić dobrą minę, ale zamiast tego jakiś szczurzy grymas wypełził nam na twarze.  
Bo gdy tylko pomyśleliśmy o Alcybiadesie, o jego bezradnym spojrzeniu, długich rękach, okularach, gdy stanął nam przed oczyma cały żalony obraz filozofa zapędzającego bezskutecznie młodzież do klasy, ogarnęła nas litość nad sobą i nad nim.  
— Ech, biednemu zawsze wiatr w oczy, panowie — mruknął Zasepa.  
Na następnej przerwie udaliśmy się zaraz do ogrodu. Z zarośli wychyliła się ptasia twarz Wątlusza na długiej szyi.  
— Czy już namyśliliście się?  
— Tak jest — powiedział Zasepa i wyciągnął z kieszeni pugilares. — Oto twoje honorarium — powiedział i skrupulatnie odliczył umówioną cenę, to jest czterdzieści siedem złotych, groszy dziesięć.  
Wątlusz wyciągnął ciężką, bokserską łapę, ale Zasepa cofnął rękę.  
— To, bracie, musi iść z ręki do ręki. Jeszcze nic nie powiedziałeś o sposobie.  
— Słusznie, jeszcze nic nie powiedziałem — skinął głową Wątlusz. — No, więc słuchajcie...  
— Notuj, Ciamcia — powiedział Zasepa.  
Pośpiesznie, drżącą z emocji ręką wyciągnąłem notes z kieszeni.  
— Gadaj! — powiedział Zasepa.  
Wątlusz zmarszczył brwi.  
— Zaraz... muszę sobie przypomnieć — przygryzł nerwowo palec, następnie, gdy przygryzienie palca nie pomagało, usiadł na zwałonym pniu i począł myśleć drapiąc się rytmicznie za uchem.  
Czekaliśmy cierpliwie.  
— Co ja to miałem wymyślić? — odezwał się nagle Wątlusz.  
Spojrzelśmy po sobie zaniepokojeni.  
— Miałeś przypomnieć sobie sposób na Alcybiadesa — powiedziałem.  
— Prawda! — powiedział Wątlusz i zabrał się znów do myślenia.  
— Czy długo jeszcze będziesz myślał? — zapytał zniecierpliwiony Zasepa.  
Wątlusz jakby ocknął się, przetarł powieki i zaczął mrugać śmiesznie oczyma.  
— Zaraz... ale o co chodzi? — zapytał.  
— Nie rób z siebie głupka — powiedział Zasepa.  
— Ja naprawdę zapomniałem.  
— Jak można zapomnieć takie rzeczy... przecież cały czas o tym mówiliśmy.  
— O czym? — wybałuszył oczy Wątlusz.  
— O sposobie.  
— Aaa, o sposobie, trzeba było od razu tak mówić — ożywił się Wątlusz — niestety, nie mogę wam powiedzieć sposobu. Zapomniałem.  
— Zapomniałeś?! — wykrzyknął wzburzony Zasepa. — To po co tyle czasu zawracałeś nam głowę? Kto to widział! To jest nieuczciwe. To skandal!  
— Nie złość się — powiedział Wątlusz — kiedy z wami rozmawiałem, nie wiedziałem jeszcze, że zapomnę.

— Ale potem... Potem wiedziałeś już, że zapomniałeś.  
 — Wiedziałem, ale myślałem, że sobie przypomnę.  
 — O Boże... — uniósł do góry oczy Zasepa — co za człowiek!  
 — Bardzo cię przepraszam, i kolegów wszystkich też — powiedział szczerze zmartwiony Wątlusz — to wszystko z tego powodu, że cierpię na zaćmienia umysłowe. To straszne nieszczęście! Co trochę coś zapominam.  
 — Dawno tak cierpisz? — zainteresowałem się ze współczuciem.  
 — Od czasu jak dostałem cios w szczękę od Szlai.  
 — To przecież poważna historia! Powinieneś iść do lekarza.  
 — Byłem. Doktor powiedział, że mi to przejdzie, jak nie będę się boksował.  
 Zasepa schował pieniądze.  
 — Niestety, my nie mamy czasu czekać, aż ci przejdzie. Choroba, chorobą, bracie, ale tak się nie robi w porządnym towarzystwie. Mogłeś od razu uprzedzić, że cierpisz na te... te jak im tam... zaćmienia umysłowe.  
 — Zaćmienia umysłowe — poprawił spokojnie Wątlusz.  
 — Wszystko jedno. Powinieneś uprzedzić. Nie rozmawialibyśmy z człowiekiem, któremu pamięć nawala.  
 — Pewnie, jeszcze gotów nam sprzedać lipny sposób z powodu luk w pamięci — ziewnął Słaby, u którego zmęczenie przejawiało się wzmożonym ziewaniem.  
 — Chodźcie, chłopak! — powiedział — tu się robi sennie.  
 — Cześć, Wątlusz — powiedziałem — powinieneś się leczyć. Te zaćmienia mogą ci zostać.  
 Ruszyliśmy ku ścieżce.  
 — Nie odchodźcie... Poczekajcie! — krzyknął za nami Wątlusz. — To się da załatwić! Wszystko będzie dobrze!  
 Zatrzymaliśmy się.  
 — Jak to chcesz załatwić? — zapytał Zasepa.  
 — Pójdę do jednego kolegi, z którym zaprzyjaźniłem się ostatnio na płaszczyźnie sztuki — powiedział Wątlusz — przyprowadzę go tutaj i on wam zdradzi sposób, w imię tej przyjaźni.  
 — Sądzisz, że robi to dla ciebie?  
 — Na pewno. Zaprzysięgliśmy sobie wzajemną pomoc aż do śmierci.  
 — Kto to jest? — zapytałem.  
 — Szekspir — odparł niewinnie Wątlusz.  
 Ciała nasze pokryły się gęsią skórą.  
 — Co takiego? — wykrztusiliśmy.  
 — Szekspir. Mam u niego dług wdzięczności.  
 — Daj spokój — wykrztusiłem — tylko nie Szekspir!  
 — A to dlaczego?  
 — Więc ty nic nie wiesz?  
 — Nie wiem. A co się stało? Odkąd poświęciłem się sztuce, szukam samotności i wydarzenia szkolne nie docierają do mojej świadomości.  
 — Może docierają, tylko ty zapominasz, skoro masz to zaćmienie.  
 — To też jest możliwe — odparł Wątlusz — więc o co chodzi?  
 — Teraz nie będziemy ci wyjaśniać. W każdym razie sprowadzaj, bracie, kogo chcesz, byle nie Szekspira.  
 — Nie mogę sprowadzić kogo innego, bo tylko u Szekspira mam dług wdzięczności. Niepotrzebnie się obawiacie, gdyż Szekspir spełni z pewnością wszelkie moje życzenia i zrobi wszystko, o co go poproszę. Przynrękł mi.  
 — Hm... — chrząknęliśmy pełni wątpliwości.  
 — Widzę, że mi nie bardzo wierzycie — powiedział Wątlusz — więc przeczytajcie. To mówiąc wyciągnął z kieszeni portfel, a z portfela fotografię okazałych rozmiarów.  
 — Obejrzyjcie sobie — powiedział.  
 Fotografia przedstawiała naszego przyjaciela Szekspira w sandałkach na gołych nogach i kusej spódnicy, z rękawiczką przewieszoną przez ramię. Z natchnionym wyrazem twarzy trzymał w ręku lutnię.  
 Na drugiej stronie widniał podpis:  
 „Mojemu druhowi serdecznemu, Wątluszowi Pierwszemu w dowód wdzięczności za uratowanie mnie z rąk opryszków. Nigdy nie użyto pięści w bardziej szlachetnym celu... Marzący, by mógł szybko spłacić dług wdzięczności Juliusz Lepki (w roli Orfeusza)”  
 Spojrzeliśmy z respektem na Wątlusza.  
 — Co to były za opryszki? — zapytałem.

— Opryszki balowe — odparł Wątlusz. — Szekspir z racji swych umiejętności choreograficznych, aktorskich i rozweselających bywa często zapraszany na rozmaite prywatki, „fajfokłoki”, herbatki towarzyskie oraz potańcówki. Jego sukcesy towarzyskie, a w szczególności powodzenie u babek, wywołują zazdrość u niekulturalnych elementów balowych, w następstwie czego Szekspir bywa często atakowany, napadany i zagrożony biciem. Otóż udało mi się rozpedzić jeden z poważniejszych zamachów na jego nietykalność cielesną — chrząknął skromnie Wątlusz Pierwszy.

— To bardzo było szlachetne z twojej strony — zauważył kwaśno Zasepa — nie wiem jednak, czy nie jesteś naiwny, licząc na pomoc Szekspira. Artyści często rzucają słowa na wiatr.

— Możecie być o to spokojni — powiedział z przekonaniem Wątlusz. — Sam przecież napisał, że marzy o szybkim spłaceniu długu wdzięczności, a jeszcze dzisiaj rano pytał mnie, co może dla mnie zrobić.

— Niezwykły człowiek — powiedziałem z przekąsem — wydaje nam się jednak...

Wątlusz już nie słuchał. Machnął ręką i pobiegł po Szekspira. Chciałem go zatrzymać, ale ledwie zrobiliśmy kilka kroków, on sam zawrócił gwałtownie, tak, że wpadliśmy na niego i zderzyliśmy się głowami.

— Przepraszam, panowie — rzekł Wątlusz trzymając się za rozbite czoło — z pewnością zdziwił was mój niespodziewany odwrót, a raczej zawrócenie z drogi, lecz znów zapomniałem. Małe zaćmienie umysłowe.

— Czego zapomniałeś?

— Pobrać honorarium.

— Czy nie za wcześnie żądasz?

— Nie chciałbym tego robić w obecności kolegi Lepkiego. To dość krepująca czynność. Obawiam się nadto, iż Lepki nie byłby zadowolony widząc, że handluję sposobem. Powiem mu, że do przekazania wam sposobu skłoniło mnie serce, to znaczy serce, które mi okazaliście. Czy nie sądzicie, że tak będzie lepiej? Szlachetniej jakoś i bardziej poetycko?

— Sądźmy — odparł Zasepa, po czym nie bez wahania wyciągnął pugilares i wręczył Wątluszowi sumę złotych czterdzieści siedem i dziesięć groszy. — Tylko pamiętaj, w razie gdyby Szekspir odmówił wskazania sposobu lub, co gorsza, próbował na nas wyrzucić zemstę, kwota podlega zwrotowi, uiścisz nadto dopłatę w wysokości dziesięciu procent z tytułu strat czasu i szkód moralnych. W razie zaś, gdyby Szekspirovi udało się wyrzucić zemstę i gdybyśmy ponieśli obrażenia cielesne, uiścisz grzywnę w wysokości jednego tatusia, chyba, że uda ci się obronić nas przed furią Szekspira.

— Nie bardzo rozumiem, o co chodzi — powiedział Wątlusz — ale niech tak będzie.

Wobec takiego oświadczenia układ uznaliśmy za zawarty i Wątlusz pobiegł po Juliusza Lepkiego.

Ale ledwie pobiegł, zdjęły nas wątpliwości, czy dobrze zrobiliśmy, i poczęło ogarniać nas przerażenie na samą myśl spotkania z Szekspirem.

— Na czym się właściwie opieramy, panowie — zauważył niespokojnie Pędzel — na majaczeniach eks-boksera, który skretyniał na skutek ciosu do tego stopnia, że począł pisać wiersze?

— Czekaj no, Ciamcia — zauważył nagle Słaby — skąd ty właściwie znałeś tyle rymów?

Zmieszałem się.

— Bo ja też piszę wiersze — wyznałem wstydliwie, ale mężnie.

— Ty? — zdumiał się Słaby. — Przecież ty nie otrzymałeś ciosu w szczękę?

— Masz ciężkie pojęcie o sztuce — skrzywiłem się. — Czy sądzisz, że wiersze mogą pisać tylko eks-bokserzy?

— Mniejsza z tym — wtrącił zdenerwowany Zasepa — ale boję się, że ten poeta zrobił z nas balona. Tyle czasu nie wraca.

— Bardziej możliwe, że znów zapomniał — westchnął Pędzel — on jest gorzej zrobiony, niż na to wygląda. To nieszczęście, bracie, w jego wieku być tak zrobionym.

— Krótka jest sława sportowca — powiedziałem.

Na szczęście nasze obawy odnośnie solidności eks-boksera okazały się płonne. W tym bowiem właśnie momencie pojawił się wśród zarośli, wiodąc z sobą Szekspira we własnej osobie.

Szekspir uśmiechał się do nas zagadkowo i patrzył jakoś dziwnie. Pod wpływem tego wzroku zrobiło nam się nagle bardzo głupio. Cofnęliśmy się odruchowo i z trudem przewyciężyliśmy przemożne pragnienie ucieczki, gdzie pieprz rośnie.

— Oto chłopcy, o których ci mówiłem — powiedział Wątlusz. — Poznajcie się.

— My się już znamy — wycedził Szekspir, wciąż patrząc na nas swym przenikliwym wzrokiem, od którego nas mdliło — odbywaliśmy razem próby teatralne.

— A to świetnie! — ucieszył się Wątlusz. — W takim razie łączą nas wszystkich zainteresowania artystyczne.

— O, tak — powiedział Szekspir, nie przestając się uśmiechać diabolicznie — łączą nas wspólne zainteresowania, a także przeżycia dramatyczne. Pamiętajcie o nich chyba dobrze, przyjaciele?

Na wspomnienie tych scen znów nogi same zerwały nam się do biegu. Wątlusz — wyraźnie zawstydzony naszym zachowaniem — uznał za wskazane usprawiedliwić nas przed Szekspirem.

— To u nich takie nerwowe. Jak zdążyłem zauważyć, już sam dźwięk twego imienia ich onieśmiela.

— Przypuszczam — wycedził Szekspir — ale to rozumiały odruch. Przystąpmy jednak do rzeczy...

— Czy... naprawdę byłbyś skłonny?... — wyjąkał Zasepa.

— I owszem — powiedział Szekspir — czy to was dziwi?

— Nieco — wykrztusił Zasepa — przecież wtedy nie chciałeś. Mimo naszych... hm... perswazji.

— O, to zupełnie inna historia — uśmiechnął się Szekspir. — Nie lubię takich perswazji.

— A teraz?

— Teraz robię to dla mojego przyjaciela Wątlusza, z którym łączy mnie głęboka więź artystyczna i pokrewieństwo duchowe. Zresztą zaimponowała mi wasza wytrwałość w dążeniu do tego szlachetnego celu. W naszym zawodzie artystycznym to nieoceniona zaleta.

— W każdym razie nam głupio — powiedziałem.

— Nie ma o czym mówić. A zatem, gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać? Mamy pół godziny czasu, bo właśnie przyjechali higieniści w sprawie walki z decybelami i będzie pogadanka dla całej szkoły.

— Najlepiej w Wędzarni — zaproponowałem.

— Zostawię was samych — rzekł Wątlusz — nie jestem już chyba potrzebny.

Ruszyliśmy w kierunku Wędzarni. Szekspir szedł przodem, my kilka kroków za nim.

— Boję się, że on coś knuje — mruknąłem.

— Tak, to jest zupełnie niepojęte, że się zgodził — szepnął Zasepa.

— Czy widzieliście, jak patrzył? — zauważył Słaby.

— A ten jego uśmiech? — niepokoił się Pędzel.

— Ale jaki miałby w tym interes? — zastanawiał się Zasepa.

— W każdym razie jest zbyt ugrzeczniony i gładki.

— Tak, to podejrzane.

— Musimy się mieć na baczności.

Szekspir rozejrzał się ciekawie po Wędzarni. Widać było, że dawno tu nie zachodził.

— Rozłóżcie się wygodnie — powiedział — to trochę potrwa.

Na wszelki wypadek zajęliśmy miejsca bliżej wyjścia.

— Oczywiście to ściśle tajne, co powiem. Obowiązuje was służbowa tajemnica. I ani słowa nikomu, że ja maczałem w tym palce.

— To rozumiałe — potwierdziłem pośpiesznie — a teraz mów szybko.

— Na wstępie chciałbym zaznaczyć — zaczął Szekspir — że Sposób na Alcybiadesa nie jest dostatecznie wypróbowany, a to z tego powodu, że historia w ujęciu Alcybiadesa wydawała nam się rzeczą zajmującą... tak... dość zajmującą i nie było konieczności stosowania systematycznie Sposobu. Sposób zatem był wypróbowany raczej dla rozrywki czy — jeśli wolicie — sportu, niemniej Sposób istnieje... tak, istnieje... jest nawet dokładnie opracowany, gdyż Alcybiades był osobistością szczególnie wdzięczną do opracowań naukowych i studiów. Dzięki temu wypracowano cztery warianty zasadnicze oraz kilkanaście wariantów szczegółowych Sposobu. O jaki wariant wam chodzi?

Trochę nas zaskoczył.

— Więc są różne warianty? — tego nie przewidzieliśmy.

— Oczywiście. Jest „Sposób na Alcybiadesa typu P”, czyli Pe-SPONAA, następnie dysponujemy De-SPONĄ, Em-SPONĄ oraz SPONĄ specjalną, czyli wariantem NUPUM.

Spojrzeliśmy po sobie zdezorientowani.

— Może najpierw wyjaśnisz nam, na czym polegają te warianty — zaproponowałem.

— Wariant Pe-SPONAA jest to „Sposób na piątki”, Em-SPONAA jest „Sposobem na przeciętność”, bardzo popularny i wygodny.

— Na przeciętność? Nie bardzo rozumiemy.

— Jest to, proszę was, innymi słowy „Sposób na pływanie”. Aurea mediocritas, czyli medium.

— Takie od hipnotyzera? — bąknął Pędzel.

— Nie, od łaciny. Medium znaczy środek. Innymi słowy jest to „Sposób na uzyskiwanie wyników przeciętnych”. Wariant ten stosują przeważnie dobrzy uczniowie, którzy z pewnych powodów chcą mieć z jakiegoś przedmiotu tylko notę dostateczną, a grozi im stopień lepszy.

— Śmieszne — zauważyłem — czy istnieją takie powody?

— Istnieją — odparł Szekspir. — Na przykład kolega z mojej klasy, Tolek Kolasiński, wystrzega się jak ognia piątki z chemii, chociaż chemię ma w małym palcu, ponieważ jego ojciec, inżynier chemik, chce go

kształcić na chemika, a Tolek pragnie zostać aktorem. Z kolei dysponujemy także De-SPONA, to znaczy „Sposobem uzyskiwania wyników niedostatecznych”, czyli luf, czyli bomb.

— Luf?! — wykrzyknął Zasepa. — Żartujesz chyba! Komu może zależeć na dwóch?

— Owszem, są takie wypadki. Nawet dość częste. Niejaki Dendroń z klasy dziewiątej, którego starzy wyrabiają w domu zabawki odpustowe, ilekroć przynosił stopnie lepsze od dwójek, był zmuszony do wielogodzinnej produkcji tychże zabawek, ponieważ rodzice uważali, że skoro nie jest zagrożony w nauce, może pracować zarobkowo. Dopiero, gdy przynosił dwóje, dawali mu spokój. Biedak starał się więc przynosić stale jakąś bombę. A znów niejaki Kopeć z klasy siódmej starał się umyślnie przynosić dwóje, żeby zniechęcić rodziców do dalszego kształcenia go, ponieważ wolał występować jako grajek sierota w pociągach podmiejskich, gdzie świetnie zarabiał, grając na skrzypcach i na litości ludzkiej. Pamiętam, jak skarżył mi się, że przymusowe siedzenie w szkole odbiera mu życiową szansę, ponieważ, jak mówił: „Czas leci, rosnę i potem nigdy nie będę już mógł być sierotą”. Podobnie, acz z nieco innych powodów, zabiegał niegdyś o lufy Deprymowicz z klasy ósmej, który dzięki bogatej rodzinie za granicą miał już w domu wszystko, czego dusza zapagnie: skuter, jacht, psa, aparat filmowy, narty, łyżwy, w ogóle wszystko z wyjątkiem czasu, żeby korzystać z tych rozkoszy. Stosował więc rozpaczliwie SPONĘ De, żeby udowodnić, iż dalsze zabieranie mu czasu nauką szkolną nie ma sensu. Po długich i ciężkich wysiłkach dopiął swego. Jako piękny, choć unikalny, przykład stosowania SPONY De w imię przyjaźni przytoczę wypadek Antosia Fąfały, który, gdy się dowiedział, że jego serdeczny przyjaciel Mitropek nie przejdzie do następnej klasy, sam też szybko postarał się o odpowiednią liczbę niedostatecznych, by pozostać razem z przyjacielem. W szkołach koedukacyjnych, jak mnie informują, podobne wypadki zdarzają się wśród zakochanych kolegów odmiennej płci. Sądzę, że te przykłady przekonały was dostatecznie o istnieniu zapotrzebowania także na „Sposób De”?

Spojrzelśmy po sobie oszołomieni.

— No tak... rozumiemy, że komuś może zależeć na bombie, ale...

— Ale co?

— Czy to tak trudno oberwać bombę? Mnie się zdaje, że do tego nie trzeba żadnego sposobu.

Szekspir uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Mylisz się, ulegasz dość powszechnemu, lecz jakże mylnemu pogładowi. Łapanie lufy — zwłaszcza nie jakiejś tam przypadkowej i mało ważnej, ale takiej zasadniczej, jak to mówimy: „okresowej” — przedstawia zawsze pewne trudności. Po pierwsze, sami nauczyciele nie chcą stawiać zbyt dużo dwój i robią wszystko, żeby cię wyciągnąć, bodaj za uszy. Rzecz więc polega na tym, żeby uniemożliwić im tę żalosną czynność. Po drugie, zdobycie upragnionej lufy wymaga od amatora siły woli i samozaparć, gdyż nieraz trzeba tu działać wbrew zdrowym skłonnościom, powiedzmy otwarcie: wbrew naturze, zwłaszcza, gdy nie jest się imbecylem, co w cytowanych przeze mnie przypadkach nie miało miejsca, gdyż pragnieniu łapania lufy hołdują zazwyczaj osobnicy zdolni... Oczywiście, wy, ze zrozumiałych powodów, nie macie o tym pojęcia, ale wiercie mi, że jest naprawdę wielką sztuką odpowiadać źle, kiedy się umie i kiedy na usta ciśnie się właściwa odpowiedź. Wymaga to opanowania, dyscypliny wewnętrznej, talentu aktorskiego, specjalnych manewrów i zagrań — jednym słowem — sposobu. A już zupełna tragedia się zaczyna, jeśli przedmiot cię interesuje i umiesz, nie wiadomo skąd. Wtedy bez sposobu w ogóle nie dasz rady. A jeśli będziesz próbował sobie radzić po partacku, bez naukowej metody, jeśli będziesz udawał nieudolnie nieuka lub idiotę, chytrzejszy gog od razu cię zdemaskuje i zamiast upragnionej bomby łapiesz kompromitację, karne zapędzenie do prac w kółku naukowym, a często nieprzyjemne zabiegi domowe. Jeszcze gorzej wyglądasz, gdy na skutek nieudolnie stosowanej metody wywołasz mniemanie, że jesteś chory lub niedorozwinięty, lub cierpisz na zaburzenia umysłowe. Zapędzą cię wtedy do lekarza lub psychologa albo, co gorsza, odeślą do zakładu specjalnego dla niedorozwiniętych, a to, rzecz jasna, zupełnie pokrzyżuje ci plany. Zasłużony absolwent naszej szkoły, magister Rączka, wyraził to w maksymie: „Nie umieć to pestka, ale udawać, że się nie umie, to dopiero sztuka”. Istota rzeczy polega więc na tym, aby obrywać bomby w sposób nie rażący, nie budzący podejrzeń, pseudonaturalny i bezpieczny, kierując się naukową znajomością psychiki danego goga i ogólnymi zasadami w tym zakresie — jednym słowem, używając patentowanego „Sposobu De”.

— To nas nie interesuje — rzekł, wyraźnie znudzony, Zasepa.

Szekspir skinął głową.

— Domyślam się. Wystarczy na was spojrzeć — mrugnął okiem — aby się domyślić. Wyjaśniłem tylko dla porządku.

— Nie żartuj, Szekspir... Chyba rozumiesz, że nam chodzi o coś innego.

— Mianowicie, o co?

— No... rozumiesz... po prostu, żeby się nie maglować.

— Nie maglować?

— To znaczy nie wysilać się, a mimo to jakoś... no, rozumiesz... — Zasepa ugryzł się w język.

— Rozumiem — wycedził Szekspir, przyglądając się nam uważnie. — Chodzi wam o SPONĘ specjalną, czyli wariant NUPUM? „Nic uczyć się, a pozornie umieć”. Robić wrażenie, że się umie, i dawać sobie radę z profesorem... Dążenie bardzo rozpowszechnione wśród młodzieży. Szczególnie dobre efekty uzyskuje się stosując ogólne zasady WAB-u.

— Wabu? Cóż to znaczy?

— To skrót naukowy oznaczający „Wielki Asocjacyjny Bluff”. Czy o to wam chodzi? Chrząknęliśmy niewyraźnie, nieco zawstydzeni, ale oczy nam się zaświeciły pożądliwie.

— Czy o to wam chodzi? — powtórzył oschle Szekspir.

— Tak — mruknąłem. — Mniej więcej coś w tym stylu. No nie, Zasepa?

Zasepa skinął głową.

— No, to dogadaliśmy się. Postaram się zaspokoić wasze życzenia — odparł Szekspir. — Teraz tylko będę musiał poszperać w kartotece Sposobów i jutro przyniosę wam odpowiednią instrukcję.

— Nie możesz od razu?

— Od razu? — zaśmiał się Szekspir. — Widać, że nie zdajesz sobie sprawy z rozmiarów kartoteki. Któż by spaścił to wszystko.

Od strony szkoły rozległ się gwar... Uczniowie wybiegli na boisko. Widać higieniści już poszli.

Szekspir wstał.

— Muszę już iść. Spotkamy się jutro po lekcjach.

— Tutaj? — zapytał Zasepa.

— Wolałbym w Obserwatorium. Moja obecność tutaj może budzić podejrzenia.

## Rozdział VIII

Kiedy Szekspir odszedł, odezwały się w nas wątpliwości. No, bo czy to możliwe, żeby Juliusz Lepki, czyli sławny Szekspir, z którym w dodatku postąpiliśmy tak niegodnie, wtajemniczał nas ochoczo w tajniki systemu? Ta zdumiewająca łatwość, a nawet gorliwość, z jaką zaofiarował nam usługi, ta widoczna przyjemność, którą mu sprawiało roztoczenie przed nami całego wachlarza wariantów, napędzała nas podejrzliwością.

Czy można to było wytłumaczyć tylko chęcią popisania się i olśnienia nas? Czy też kryło się za tym coś więcej?

Do końca nie byliśmy pewni, czy nie padliśmy ofiarą jakiegoś wyrafinowanego oszustwa. Przypomnieliśmy sobie, że groził nam zemsta. Może nie było żadnego Sposobu, a on tylko nabijał się z nas?

To uczucie dręczącej niepewności nie opuściło nas nawet wtedy, gdy nazajutrz po lekcjach wspinaliśmy się po krętych schodach do Obserwatorium. Nie bardzo nawet wierzyliśmy, że go tam zastaniemy. Ale, o dziwo, czekał już na nas. Nie uspokoiło to nas jednak, lecz przeciwnie — pogłębiło nasz niepokój. Szekspir spojrział na zegarek.

— Musimy się spieszyć, mam za pół godziny zebranie kółka teatralnego.

To mówiąc otworzył teczkę i wydobyl z niej gruby brulion w czarnej okładce oraz podwójny arkusz kancelaryjnego papieru podobnego do tych, na których w biurze mego ojca sporządza się bilanse handlowe. Znajdowały się na nim różne mniej lub bardziej ciasno zapisane rubryki.

— Oto potrzebne nam materiały, które wyciągnąłem z kartoteki. Ten duży arkusz to tablica personalna zawierająca naukowe dane o Alcybiadesie. Wnioski i wskazania praktyczne, które wynikają z tych danych znajdują się w brulionie... Proszę... obejrzyjcie sobie... — wręczył nam tablicę.

Obawy, że padamy ofiarą oszustwa, zbladły. Dokładność tablic budziła zaufanie. Wlepiliśmy w nie chciwie oczy. Rzeczywiście była to dokładna, naukowa i — o ile mogliśmy się zorientować — trafna charakterystyka Alcybiadesa.

Słaby począł sylabizować głośno:

IMIE: Tymoteusz

NAZWISKO: Misiak

PRZYDOMEK: Alcybiades

DATA URODZENIA: 18.VIII.1899

STAN CYWILNY: kawaler

WZROST: 181

POCHYŁOŚĆ: 5-15°

OCZY: czarne (aksamit)

WŁOSY: 0

UBIÓR: CDT (cecha charakterystyczna: ma prasowane spodnie)

Szekspir chrząknął niecierpliwie i odebrał nam tablicę.

— Nie ma sensu czytać wszystkiego. Pominę cechy, które służą raczej do badań naukowych teoretycznych, i zwrócę waszą uwagę tylko na te dane, które mogą mieć dla was znaczenie praktyczne. A więc:

ZASIEG WZROKU: 5 pulpików

To znaczy, że dopiero w szóstej ławce jesteście bezpieczni.

DREŃTWOŚĆ GOGICZNA: poniżej średniej

WSPÓŁCZYNNIK NUDZENIA: 0,2

Dość niski. Lekcje raczej ciekawe.

KRZYKLIWOŚĆ: 0,1 decybel

Czyli praktycznie — żadna.

OSTROŚĆ: 0,5 drakona

A więc, jak widzicie, zupełnie znikoma.

SPRAWIEDLIWOŚĆ: 0,9 salomona

Zwróćcie na to uwagę. Nota bardzo wysoka.

REPRESYJNOŚĆ: wyrafinowana

TYP KAR: dręczenie psychiczne, zagładanie w oczy

NOŚNOŚĆ NERWOWA: brak danych, pomiary nie zostały przeprowadzone

ODRUCHY NIEKONTROLOWANE: nie zauważono

USPOSOBIENIE: łagodne

TEMPERAMENT: umiarkowany, refleksyjny, skłonności filozoficzne

OGÓLNY STAN ZDROWIA: niezadowolający (serce)

STOPIEŃ POCZUCIA HUMORU: 0,7 leca

SPECJALNOŚĆ: historia

NAMIĘTNOŚĆ: historia

PUNKT WRAŻLIWY: historia

TYP UWARUNKOWANIA PEDAGOGICZNEGO: meteorologiczny, niskociśnieniowy

WSKAŹNIK KRYTYCZNY: 720

To znaczy, że pyta na stopnie, gdy ciśnienie spada poniżej siedmiuset dwudziestu milimetrów.

Uwaga! Typ rzadki, podlega ścisłej ochronie.

— Chciałbym, żebyście o tym pamiętali — zakończył Szekspir. — Czas ochronny dla Alcybiadesa trwa cały rok.

— Nie rozumiem — zaniepokoił się Zasepa.

— Zaraz wyjaśnię — rzekł Szekspir. — Czas ochronny jest to okres, w którym zabrania się stosowania względem profesora wszelkich kawałów, działań przekornych, sofizmatów, wyczerpujących ćwiczeń intelektualnych, wstrząsów i szerzenia wątpliwości gogicznych, jak również grania na nerwach, nakłuwania bolesnych miejsc, napełniania goryczą, odginania się i tym podobnych zabiegów higienicznych. Czas ochronny może być zwyczajny i nadzwyczajny. Każdy profesor ma swój czas ochronny zwyczajny o określonej porze roku. Na przykład w stosunku do Żwaczka stosujemy czas ochronny w maju.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Bo w maju Żwaczek zdaje egzaminy. Zapewne nie wiecie, że Żwaczek studiuje orientalistykę.

— Orientalistykę? — zdziwiłem się.

— Tak jest, i w tym czasie zdaje egzaminy na uniwersytecie. Dziadzia Ejdziatowicz ma natomiast swój czas ochronny w listopadzie, ponieważ wtedy bierze kąpiele lecznicze oraz specjalne naświetlania, i to go osłabia. U pani Kalino czas ochronny przypada na marzec. W tym miesiącu pani Kalino nie wytrzymuje już dłużej nerwowo, nachodzą ją czarne myśli i nosi się z zamiarem porzucenia czynnej pracy gogicznej. Przeciwdziałamy temu skutecznie stosując czas ochronny, w wyniku czego pani Kalino odzyskuje równowagę psychiczną, nabiera wiary w młodość i w sens swojego posłannictwa gogicznego. Pan Nierucha, gimnastyk, ma swój czas ochronny w kwietniu, ponieważ wtedy rozgrywa finał wyczerpującego turnieju brydżowego jako zawodnik Sparty i musi mieć zapewnione warunki. Podtrzymujemy więc jego kondycję. W stosunku do wszystkich gogów stosujemy zawsze zwyczajny czas ochronny w okresie poprzedzającym sesje nauczycielskie, aby przychylnie usposobić Ciało do uczniów. Prócz tego ogłasza się nadzwyczajny czas ochronny w razie potrzeby. Na przykład choroby, nieszczęścia rodzinnego, przeprowadzki i innych wydarzeń losowych.

Powtarzam, że w stosunku do Alcybiadesa czas ochronny trwa zawsze, ponieważ Alcybiades podlega ochronie zasadniczej i należy do rezerwatu gogicznego.

— Dlaczego?



— Po pierwsze dlatego, że jest rzadkim unikatem wśród gogów. Alcybiades jest jedyny na świecie. On jest wielki.

— Wielki? Jak to: „wielki”?

Szekspir spojrział na nas z pobłażliwym uśmiechem.

— Teraz tego nie rozumiecie. Ale przyjdzie czas, że przeniknie to do waszej nędznej świadomości. Zresztą, nawet gdyby nie był unikatem, podlegałby ochronie ścisłej z tej racji, że jest gogiem dryfującym. Widzę po waszych minach, że znów nie rozumiecie, lecz wyjaśnimy to wkrótce...

— Dobra — powiedziałem — niech on będzie wielki i dryfujący, ale jeśli on jest stale pod ochroną, to... to jak można stosować Sposób?

— Co innego są przykre kawały i dręczenie gogów, a co innego poważnie stosowany Sposób. Sposób nie szkodzi gogom i zapewnia im dobre samopoczucie. Nie chwytaacie jeszcze tej różnicy jako nowicjusze, lecz to wam przyjdzie z czasem. Ale wracajmy do rzeczy, bo musimy się spieszyć — Szekspir znów spojrział na zegarek.

— Przejdźmy do wskazań praktycznych, które trzydzieści roczników uczniów wysnuło z danych naukowych zebranych w tablicach ogólnych. Koledzy, o ile mnie pamięć nie myli, reflektowali na SPONĘ specjalną, czyli NUPUM, czyż nie tak?

— Tak — rzekł zboliałym głosem Zasepa, ponieważ byliśmy przygnębieni i oszołomieni skomplikowaną problematyką Sposobu.

— Koledzy reflektowali na NUPUM z jednoczesnym zastosowaniem WAB-u, czyli Wielkiego Asocjacyjnego Bluffu. Proszę zatem notować.

Wyjeliśmy notesy.

— Omówimy najpierw sprawę WAB-u. — Szekspir wy dostał z kieszeni kredę i na starej, pękniętej tablicy zaczął pisać.

— WAB składa się z elementów wstępnych, ogólnych i szczegółowych.

Nie potrzebuję bliżej objaśniać wam, na czym polegają zagrania wstępne. Powiem wam tylko, że chodzi o ogólne zdezorientowanie Alcybiadesa oraz o zwrócenie jego uwagi na was... Jak do tego dochodzimy? Dochodzimy do tego Uczynkami Dezorientującymi, które sprawiają, że przestaje traktować was jak niesforne, groźne i kłopotliwe stado i zaczyna patrzeć na was jak na uczniów nietypowych. Jakie to są Uczynki? Jeśli spotkacie go przed szkołą i odpowiednio zdradzicie życzliwe zainteresowanie dla jego osoby, będzie to z pewnością Czynnikiem Dezorientujący, ponieważ Alcybiades nie jest przyzwyczajony do takich postępów. Jeśli pomożecie mu nieść jakiś ciężki przedmiot, jeśli pomożecie mu ustawić niesforną młodzież w szereg, jeśli zabezpieczycie go przed normalnymi objawami żywotności młodzieży, będą to niewątpliwie Uczynki Korzystnie Dezorientujące, przygotowujące wstępnie grunt pod stosowanie Sposobu.

Z kolei możemy przystąpić do bardziej szczegółowych elementów WAB-u. Zaczniemy od sytuacji w klasie. Alcybiades znajduje się w rezerwacji i podlega stałej ochronie, nie znaczy to jednak, że został zabezpieczony przed normalnymi objawami żywotności młodzieży. Wyliczenie wszystkich tych objawów zaprowadziłoby nas zbyt daleko, nie mamy zresztą zbyt wiele czasu, skoncentrujemy się więc na jednym z nich. Mam na myśli dźwięki.

— Jakie dźwięki?

— Dźwięki nieartykułowane, a specjalnie krzyk pospolity. Wiadomo, że ogólne właściwości charakteru Alcybiadesa, a zwłaszcza jego nikła ostrość sięgająca, jak pokazałem, za ledwie pół drakona, powodują, iż w jego obecności, czy to na lekcji, czy w innych okolicznościach, młodzież ćwiczy struny głosowe utrzymywane w stanie niezdrowego bezruchu przez innych gogów. Innymi słowy, jego lekcje, dyżury gogiczne na korytarzu oraz wycieczki, mówiąc delikatnie, nie należą do najcichszych. Faktem sprawdzonym naukowo jest, że dźwięki te pobudzają niezdrowo Alcybiadesa, podniecają go pedagogicznie i utrzymują jego umysł w stanie niebezpiecznego napięcia i czujności. Otóż pierwszy element naszego Wielkiego Asocjacyjnego Bluffu, koledzy, polega na dostarczeniu podnieconemu umysłowi Alcybiadesa Narkotyku lub, jeśli wolicie, Haszyszu. Na oszołomieniu go, a następnie na uśpieniu jego gogicznej czujności. Zanotujmy więc ten pierwszy element szczegółowy: „1. Haszysz”.

Zastanówmy się z kolei, koledzy, co może być Haszyszem dla takiej jednostki, jak Alcybiades. Jeśli będziemy mieć przed oczyma jego kartotekę i wyniki badań wielu roczników, bez wątplenia przyjmujemy, iż Haszyszem dla Alcybiadesa będzie cisza.

Proszę zanotować. Rzecz jasna, sama cisza nie załatwi nam jeszcze niczego... Wprowadzi ona wprawdzie umysł Alcybiadesa w oszołomienie wynikające z braku dźwięków nieartykułowanych, do których jego ucho było przyzwyczajone, lecz nie odniesiemy jeszcze przez to bezpośredniej korzyści, gdyż Alcybiades może nasze nagłe uspokojenie, proszę kolegów, wytłumaczyć sobie zupełnie dowolnie i nietrafnie jako zastąpienie chwilowe organów głosowych młodzieży, a więc jako ciszę przed burzą... A nawet —

zważywszy, iż żaden gog nie jest wolny od miłości własnej — może dojść do zupełnie fałszywego poglądu, iż wasze milczenie jest wyrazem strachu przed jego osobą, co byłoby oczywiście bardzo niepożądane i szkodliwe. W tym celu, nim Haszysz ciszy przestanie działać, należy szybko przejąć inicjatywę. Posługujemy się wtedy metodą Dryfu. Czy wiecie, kiedy w żegludze mamy do czynienia z dryfem?

— Kiedy statek nie jest sterowany, lecz unoszą go swobodnie prądy morskie — odparłem.

Szekspir skinął głową.

— Otóż zadanie wasze, proszę kolegów, będzie polegało na nakłonieniu Alcybiadesa do Dryfu. Profesorowie dzielą się na dryfujących i nie dryfujących. Goga dryfującego rozróżniamy łatwo, rzucając mu w czasie lekcji przynętę w postaci Węża Morskiego, czyli Elementu Dygresyjnego.

Poruszyliśmy się niespokojnie.

— Jak głosi legenda — ciągnął dalej Szekspir — sławny żeglarz Sindbad podczas jednej ze swych podróży, chcąc ujść zemsty okrutnego kapitana piratów, krzyknął: „Wąż morski!” Odwrócił tym uwagę piratów i wymknął się szczęśliwie. Na tej zasadzie oparta jest nasza akcja, znana pod kryptonimem „Wąż Morski”, a służąca do zbawiennego odwracania uwagi profesora.

Na początku lekcji zarzucamy przynętę w postaci Węża Morskiego i obserwujemy. Jeśli gog chwytą przynętę, należy do gogów dryfujących. Gog taki chętnie zbacza z kursu, daje się swobodnie unosić prądowi i chętnie razem z nami ściga Węża Morskiego. Nie potrzebuję wyjaśniać, jak cenny jest dla nas ten typ gogów. Dlatego właśnie podlega on ścisłej ochronie. Do gogów takich należy właśnie Alcybiades.

Ale musimy już przerwać naszą miłą konferencję — rzekł Szekspir wstając — nie mogę się spóźnić na zebranie kółka. Dokończymy jutro po lekcjach.

\* \* \*

Nie mieliśmy zamiaru czekać dłużej, tym bardziej, że już nazajutrz wypadała lekcja z Alcybiadesem.

Postanowiliśmy natychmiast zastosować metodę WAB-u. Sprawa wydawała się prosta.

Mieliśmy już pewne doświadczenie z panią Lilkowską. Przypomnę bliżej, żeby nasza śmiała decyzja nie mogła nikogo zadziwić. To, co robiliśmy na lekcjach biednej nauczycielki, nie było przecież niczym innym jak Dryfem, a Węża Morskiego zapuszczaliśmy też niezgorzej.

Nie, pod tym względem Szekspir nie mógł nam wcale imponować.

Od dawna już stosowaliśmy pokrewną metodę, zostawiając tego rodzaju prymitywne zagrania, jak głośne rozmowy na lekcjach i krzyk pospolity, mikrusom z niższych klas. My znaleźliśmy sobie coś lepszego i ciekawszego. Nasza zabawa polegała na przerażaniu anioła. Zdarza się nieraz w szkole, że młodzież nie zdąży załatwić na przerwie ważnych spraw, na przykład, no... na przykład nie dokończy handlu wymiennego znaczkami, gry w cymbergaja, partyjki ping-ponga lub dyskusji, a tu nagle zabrzmiał dzwonek.

Otóż w takim wypadku niewyrobyony mikrus wpada w popłoch i leci na złamanie karku do klasy, żeby się nie spóźnić. W naszej klasie załatwialiśmy to zupełnie inaczej. Nikt się nie spieszył, nikt nie wpadał w szkodliwą dla nerwów młodzieży panikę. Gra toczyła się dalej, handel kwitnął aż do zawarcia niezbędnej transakcji, a dyskusja spokojnie zmierzała do końca. Spóźnialscy byli pewni, że nic im nie grozi. Sprawę załatwiał bardzo prosty sposób.

Kiedy biedna nauczycielka z ufnym i życzliwym uśmiechem przestępowała próg naszej klasy, witały ją posępne miny i śmiertelna cisza. Pani Lilkowska patrzyła na nas niespokojnie.

— Czy coś się stało?

— Nie. Nic takiego, proszę pani — odpowiadaliśmy.

Pani Lilkowska spostrzegła brak Słabego i Zasepy.

— A gdzie Słabiński i Zasepa?

— Oni trochę się spóźnią — odpowiadałem wstając — bo Słabiński źle się poczuł.

— Co mu się stało?

— Nic takiego, proszę pani, tylko boi się, czy nie zjadł żyletki z masłem.

— Żyletkę z masłem? Co ty opowiadasz, moje dziecko — pani Lilkowska patrzyła na mnie z troską.

— Nic nie wiadomo, proszę pani. On miał bułkę grubo posmarowaną masłem i zachodzi taka możliwość, proszę pani. Pani profesorka słyszała już o tym wypadku w mleczarni? Bo właśnie wujek Pędzelkiewicza miał niedawno wypadek. O mało co nie utonął. To się zdarzyło w mleczarni mokotowskiej. Tam są wielkie kotły ze śmietaną, takie na parę metrów i właśnie wujek Pędzelkiewicza wpadł do takiego kotła.

Pani Lilkowska patrzyła na nas z niedowierzaniem.

— Tak, proszę pani... w dodatku nie było nikogo w pobliżu, maszyny głuzyły krzyk, a ściany kotła były śliskie i nie mógł się wydostać. Całe szczęście, że wujek Pędzelkiewicza ma kartę pływacką, więc nie poszedł na dno, tylko pływał.

— Pływał?

— Tak, pływał, proszę pani. Najpierw kraulem, a potem, jak się zmęczył, to grzbietowym, i to go uratowało...

— To straszne... — mówiła pani Lilkowska — ale nie rozumiem, jaki to ma związek z żyletką.

— No ma, bo z tej śmietany zrobili masło.

— Zrobili masło — skrzywiła się pani Lilkowska.

— No pewnie, przecież szkoda było tej śmietany...

— O Boże, co my jemy!

— Nie ma się czego brzydzić. Wujek Pędzelkiewicza kąpie się obowiązkowo raz na tydzień, proszę pani, a ręce to nawet myje co dzień, to czysty człowiek, miał zresztą biały fartuch i buty też świeżo wyczyszczone. Nie byłoby o czym mówić, proszę pani, gdyby nie to, że wujek miał w kieszeni żyletkę Gerlach wtedy, kiedy pływał, i ta żyletka wyleciała mu z kieszeni razem z ołówkiem i piórem wiecznym Waterman ze złotą stalówką.

— No i co?

— No nic, wujek mówi, że na szczęście strata niewielka, bo pióro, proszę pani, wyłowili. Więc strata niewielka...

— Ależ dziecko... chyba nie chcesz powiedzieć przez to, że ta żyletka została w śmietanie.

— Niestety, została, proszę pani.

— Jak to, i nie próbowali jej wyciągnąć?

— Nie, proszę pani, bo wujek o tej żyletce przypomniał sobie dopiero na drugi dzień, kiedy chciał zatemperować ołówek. Masło było już zrobione i poszło do sprzedaży...

— Powinni wstrzymać sprzedaż.

— Nie udało się, bo już je rozwieźli do sklepów i ludzie wykupili. Pani wie, że masło długo nie leży...

— To okropne.

— Tak, proszę pani, ale wujek mówi, że ta żyletka była dość tępa, bo wujek jej używał do ostrzenia ołówka.

— Ładna pociecha, moje dziecko.

— A poza tym wujek mówi, że chyba ktoś pozna, jak będzie smarował chleb tym masłem, bo przecież ludzie cienko smarują, proszę pani. Co innego, jak ktoś posmaruje zbyt grubo... I właśnie Słabiński posmarował sobie grubo, i źle się poczuł... I myśli, że to od tej żyletki...

Roztrzęsiona pani Lilkowska chciała natychmiast dzwonić na pogotowie, ale w tej właśnie chwili Słabiński w towarzystwie Zasepy wkraczał do klasy.

— Jak się czujesz, dziecko? — pytała pani Lilkowska.

— Już mu lepiej, proszę pani — oświadczyliśmy — to chyba jednak nie było z powodu żyletki...

Uszczęśliwiona pani Lilkowska nie pytała już o nic więcej. Ledwie jednak zabrała się do prowadzenia lekcji i zaczęła na przykład wyjaśniać zjawisko tarcia, już Pędzelkiewicz podnosił rękę do góry.

— Czego chcesz, Pędzelkiewicz?

— Ja właśnie w sprawie tarcia, proszę pani.

— Mów, tylko szybko, bo straciliśmy masę czasu.

— Proszę pani, czy to prawda, co pisało w „Szpilekach”, że jeden pan tak zatarł ręce z radości, jak wygrał w „Totka”, że rozszedł się swąd i trzeba było wietrzyć pokój?

Pani Lilkowska wzdychała ciężko i wyjaśniała cierpliwie:

— Nie, to niemożliwe. To tylko żart „Szpilek”.

Wtedy podnosił palec do góry Zasepa.

— Ale jakby ten pan miał ręce umoczone w benzynie, to mogłyby mu się zapalić?

— Co też ci przyszło do głowy?

— A bo u nas był właśnie wypadek. Jeden sąsiad z trzeciego piętra prał spodnie w wannie i mu wybuchło.

— Co mu wybuchło?

— No, benzyna. Bo on prał te spodnie w benzynie.

— No tak... to się mogło zdarzyć — wyjaśniała pani Lilkowska. — Nie zachował pewnie ostrożności z ogniem. Zapalił papierosa albo piecyk gazowy.

— Nie, proszę pani, tam nie było piecyka i on był niepalący.

— No, to dosyć dziwne.

— Ludzie mówili, że to od tarcia. Bo on miał płamę od smaru i strasznie tarł, a że był sztangista, proszę pani, więc miał tę siłę. Ja nie wiem, czy można tym ludziom wierzyć, proszę pani.

— Dosyć dziwny wypadek — pani Lilkowska była trochę zdezorientowana. — Nie spotkałam się z czymś takim. A czy temu... temu sztangiście coś się stało?

— Nic takiego, proszę pani, miał chłop szczęście, bo wyrzuciło go przez okno.

— I ty to nazywasz szczęściem?

— Tak, bo upadł na wóz z meblami... a tam był na tym wozie tapczan sprężynowy. I on wprost na ten tapczan upadł. Więc mówią, że miał szczęście.

— No, to już chyba zmyślasz. Siadaj. — Pani Lilkowska próbowała być surowa. — Bierzemy się do lekcji. Ale ledwie zaczęliśmy robić własne doświadczenia w zakresie tarcia, zadzwonił dzwonek.

I tak powtarzało się w różnych odmianach prawie na każdej lekcji. Stale mieliśmy w zapasie jakąś sensacyjną wiadomość. Tak, nie ulegało wątpliwości, że byliśmy dostatecznie doświadczeni, żeby móc samodzielnie przystąpić do Dryfu. Zaznajomiliśmy się z kartoteką ogólną Alcybiadesa oraz z podstawowymi zasadami WAB-u, to powinno wystarczyć. Od jutra zaczynamy Wielki Bluff.

## Rozdział IX

Czyhaliśmy we czwórkę na Alcybiadesa na rogu ulicy, nie opodał szkoły, by rozpocząć działania wstępne paroma Uczynkami Dezorientującymi, w myśl wskazań WAB-u.

Było chłodno, lecz deszcz nie padał. Pamiętaliśmy, że w wypadku Alcybiadesa mamy do czynienia z typem uwarunkowanym meteorologicznie, ze wskaźnikiem krytycznym 720 mm. Niestety, nie wiedzieliśmy dokładnie, jak przedstawia się tego dnia ciśnienie. Żaden z nas nie dysponował barometrem. Wprawdzie rano słuchaliśmy prognozy pogody, ale komunikat był wyraźnie mętny: „Zatoka niżowa ogarniająca swym wpływem dzielnicę północną kraju, zachmurzenie zmienne... w godzinach popołudniowych w Warszawie możliwe opady...”. Dokładnego ciśnienia nie podano. Sprawa zatem nie była wyjaśniona, ale na wszelki wypadek postanowiliśmy być ostrożni. Alcybiades może pytać i zapobiegawcze nakłanianie go do Dryfu było ze wszelkich miar wskazane.

Na zegarku Zasepy była za dziesięć ósma, kiedy zza rogu ulicy ukazała się charakterystyczna, pochylona sylwetka Alcybiadesa, w starym kapeluszu z obwisłym rondem i jesionce w jodełkę. Pod pachą ścisnął wyładowaną jak zwykle teczkę. W rękę trzymał gazetę.

Jak na komendę zdjęliśmy czapki, ale Alcybiades nas nie zauważył. Ukłoniliśmy się powtórnie, niestety, i tym razem bez rezultatu. Alcybiades minął nas pogrążony w sobie tylko wiadomych myślach.

Zasepa dał rozpaczliwy znak. Dogoniliśmy szybko roztargnionego nauczyciela. Zasepa złapał za teczkę, Słaby za gazetę.

— Poniesiemy, panie profesorze.

Alcybiades zatrzymał się zdumiony.

— Co wy wyrabiacie? Czemu zabrałeś mi teczkę? — zapytał Zasepę.

— Poniesiemy, panie profesorze...

— Po co?

— Te... teczka jest ciężka... Tak mi się wydaje. Odprowadzimy pana profesora...

Alcybiades wytrzeszczył oczy.

— Co powiedziałaś?

— Chcemy odprowadzić pana profesora... — wykrztusił Zasepa, oglądając się i dając rozpaczliwe znaki mnie i Pędzelkiewiczowi.

Podskoczyliśmy i uchwyciliśmy Alcybiadesa, ja pod lewą, a Pędzelkiewicz pod prawą rękę... może nieco zbyt gwałtownie ze zdenerwowania.

— Co to ma znaczyć, chłopcy? — zasapał wystraszony Alcybiades.

— Nic, odprowadzimy pana profesora.

W pierwszej chwili myśleliśmy, że nas przepędzi, ale jego łagodność zwyciężyła. Nasze nieszczęsne oblicza musiały wzbudzić jego współczucie, bo zaprzestał oporu i tylko wciąż patrzył na nas oszołomiony.

Szliśmy tak parę kroków z nieszczęśliwymi minami, czerwoni ze wstydu i świadomi swej śmieszności, bo wszystko jakoś wyszło sztucznie i głupio... Na przedzie Zasepa z teczką, potem my trzymając pod rękę Alcybiadesa, a na końcu Słaby z gazetą... Jednak nie przypuszczałem, że Bluff kosztuje tyle trudu i nerwów. Chłopcy spieszący do szkoły przystawali i gapili się na nas ze zdumieniem. Spojrzałem na okno szkoły. Zdawało mi się, iż z wszystkich okien muszą patrzeć szydercze gęby. Ale nie. Tylko w jednym oknie ujrzeliśmy znajomą twarz Szekspira... Przyglądał się nam spokojnie, jakby wszystko było na miejscu i w porządku.

To nam dodało nieco otuchy. Zwolniliśmy nasz kurczowy uścisk. Zasepa odchrząknął i już gotował się do następnego punktu programu, to znaczy do puszczenia próbnego Węża Morskiego, gdy nagle słowa zamarały mu na ustach. Ku naszemu przerażeniu tuż pod samą szkołą zauważyliśmy Żwaczka. Stał wyprostowany sztywno i obserwował nas zaskoczony.

Ukloniliśmy się pospiesznie.

— Dzień dobry, panie kolego — powiedział wyciągając rękę do Alcybiadesa. — Czy pan zasłabł?... — zapytał zaniepokojony.  
Alcybiades zmieszał się.  
— Nie. Dziękuję.  
— To cóż się oni pana tak uwiesili? — zapytał podejrzliwie Żwaczek. — Puśćcie pana profesora.  
Oswobodzony z naszego uchwytu Alcybiades uściśnął dłoń polonisty. Po czym odebrał Zasepie teczkę, a Słabemu gazetę i wciąż zakłopotany ruszył z polonistą.  
W drzwiach szkoły Żwaczek obejrzał się na nas, a nam się zdawało, że domyślił się wszystkiego, i opanował nas strach.  
Na lekcji baliśmy się, by nie wspomniał sceny przed szkołą i nie zażądał wyjaśnień, jednakże Żwaczek o nic nie pytał, ograniczył się tylko do uważnego obserwowania nas w czasie lekcji.  
— Strach ma wielkie oczy — roześmiał się po lekcji Zasepa. — Żwaczek nie mógł się niczego domyślić. Był tylko po prostu zdziwiony.  
— Jeśli tak, to czeka go wkrótce jeszcze większe zdziwienie — powiedziałem. — W każdym razie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby kontynuować Bluff.  
— Tak jest — powiedział Zasepa. — Jak tylko Alcybiades wejdzie do klasy, zapuszczamy Węza.  
— O wypadku w mleczarni czy o tarcu?  
— Spróbujemy najpierw o tarcu.  
Niestety, znów mieliśmy pecha. Lekcja historii wypadła tego dnia po dużej pauzie. Mimo jednak, że upłynęło kilka minut po dzwonku, tak punktualny zwykle Alcybiades nie zjawił się. Usłyszeliśmy za to podejrzliwy gwar na dziedzińcu szkoły. Wyjrzelśmy przez okno.  
Na dziedzińcu kłębili się chłopcy z klasy dziesiątej. Trzymali w rękach jakieś duże paczki. Pomiędzy nimi uganiał się w rozpiętej jesionce Alcybiades, usiłując prawdopodobnie ustawić ich w szereg. Ledwie jednak zrobił porządek w jednym końcu szeregu, już przeciwny rozsypywał się bezładnie. Łobuzy wypychali jeden drugiego z szeregu i rzucali w siebie paczkami.  
Jedna z paczek rozleciała się i wypadły jakieś książki. To spowodowało jeszcze większe zamieszanie. Wychyliłem się przez okno i zawołałem do najbliższego dziesięcioklasisty:  
— Hej, ty, Duży, chodź no tu!  
Dryblas podszedł niechętnie.  
— Czego?  
— Wyływacie gdzieś?  
— Na Bielany.  
— A Alcybiades?  
— Jedzie z nami. Dyr go obarczył konwojem.  
Spojrzelśmy po sobie. Czyżby z lekcji nici?  
— Po co na Bielany? — zapytaliśmy.  
— Do Domu Młodzieży.  
— Z jakiej okazji?  
— Na jubileusz Domu. Dwudziestopięciolecie czy coś takiego. Będzie akademie ku czci, a po akademii występy artystyczne. Mamy odegrać naszą sztukę.  
— Przecież jeszcze nie gotowa.  
— To nic, ugotuje się po drodze — roześmiał się i odbiegł.  
Na boisku pojawił się Szekspir, rozglądał się chwilę dookoła, a potem podbiegł do naszego okna.  
— Murzyni, na boisko! — krzyknął.  
— Po co?  
— Jedziemy ze sztuką.  
— My nic nie wiemy.  
— To spytajcie się Żwaczka.  
Pobiegliśmy do kancelarii. Żwaczek pił herbatę pomiędzy dwiema stertami zeszytów z klasówką.  
— Co, jeszcze nie pojechaliście? — zapytał.  
— Nie wiedzieliśmy. Nikt nam nie mówił.  
— Kazałem przecież Lepkiemu, żeby wam powiedział.  
Nie pytając o nic więcej, przebraliśmy się pospiesznie w szatni i wybiegliśmy na boisko. Tutaj zastaliśmy gorszący sceny, z szeregu nie zostało już ani śladu, chłopcy ganiłi po boisku, a paczki walały się, porzucone w nieładzie na ziemi obok Alcybiadesa. On sam z dwiema paczkami w ręce kręcił się bezradnie, nawołując zachrypłym głosem:  
— Chłopcy... chłopcy... już czas wymaszerować... ustawiać się... Chłopcy... chłopcy...

Ale głos jego ginął w gwarze i śmiechu. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Patrzyliśmy na to zjawisko z dziwnym smutkiem. Uświadomiło nam ono bowiem pogładowo, dlaczego Sposób na Alcybiadesa był taki tani. Pomyślałem, że Alcybiades też nie ma sposobu i że jemu też przydałby się sposób. Czy nigdy nie myślał, żeby go zdobyć? Dlaczego, nie zdobył? Nie mógł czy nie chciał?

Z tego zamyślenia wyrwał mnie głos Zasepy.

— Słuchaj, Szekspir — mówił do Lepkiego — mówiłeś, że Alcybiades jest pod specjalną ochroną. Ładna ochrona!

— To nie należy do ochrony — mruknął Szekspir.

— Jak to... przecież to męczy Alcybiadesa.

— Z pewnością — westchnął Szekspir — jednak na to nie ma rady. Oni przecież nie robią tego umyślnie i na złość Alcybiadesowi. Oni w ogóle nie myślą w tej chwili o Alcybiadesie. Po prostu się bawią.

— Ale przecież to na jedno wychodzi.

— Nie rozumiecie się na tych rzeczach — powiedział Szekspir — to zbyt subtelne dla was.

— Chyba zbyt subtelne. Mógłbyś jednak ich uspokoić i kazać im wziąć te paczki.

Szekspir uśmiechnął się.

— Oczywiście. Innym razem bym tak zrobił.

— Dlaczego nie dziś?

— Ponieważ chcę wam ułatwić przeprowadzenie Wielkiego Bluffu.

— Nie rozumiem — bąknąłem.

— To chyba jasne. Wy weźmiecie te paczki.

Byliśmy w rozterce. Szekspir przyglądał nam się ciekawie. Właściwie należało wziąć chyba te paczki i stanąć równo do szeregu. To z pewnością należało do Sposobu. Z drugiej strony baliśmy się ośmieszenia. Bo to zupełnie co innego robić te rzeczy w klasie, a co innego na oczach Dużych. Nie rozumieją przecież, że to należy do Wielkiego Bluffu, i mogą sobie pomyśleć, że boimy się Alcybiadesa albo, że jesteśmy najzwyczajniejszymi lizusami pod słońcem.

Spojrzałem na Zasepę. On spojrzał na mnie.

— Nie ma rady, Ciamcia — mruknął — robimy Bluff, jak myślisz?

— Robimy — powiedziałem.

— No to jazda.

Zasepa podbiegł do oniemiałego Alcybiadesa, wyjął mu z rąk paczki, a my zebraliśmy pozostałe z ziemi.

— Gotowe, panie profesorze, możemy maszerować. Nie ma co czekać na tych łobuzów. Oni sami dołączą.

Alcybiades spojrzał na nas, jakby chciał coś powiedzieć, ale nic nie powiedział i ruszył pospiesznie za nami.

Obejrzałem się. Dziesiątacy przerwali od razu zabawę, oczywiście popsuliśmy im wszystko. Rozległo się parę gwizdów. Spojrzałem na Szekspira. Pokiwał z aprobatą głową.

Swoją drogą byłem wściekły na niego. Paczki ważyły chyba po dziesięć kilo każda. Mógł kazać dziesiątacom pomóc. A on nic. Nie wiedziałem, co o nim myśleć. Czy naprawdę chciał nam pomóc w naszym WAB-ie, czy też po prostu nie chciał się narażać Dużym. I znów zaświtała mi myśl, czy Szekspir przypadkiem nie robi z nas balona i czy cały ten Wielki Bluff nie jest zwykłym małym bluffem Szekspira.

Może zemstą?

Nie było jednak możliwości wycofania się. Spoceni i ledwie żywi dowlekliśmy się do przystanku tramwajowego na ulicy Mickiewicza. Z tyłu za nami maszerowali dziesiątacy... Chichotali i żartowali. Byłem przekonany, że na nasz temat.

Na przystanku trzymali się od nas z daleka. Gdy tylko tramwaj nadjechał, odepchnęli nas i wsiedli. My z naszymi ciężkimi paczkami nie zdążyliśmy. Alcybiades próbował interweniować, ale bezskutecznie. Przecież jego ostrość wynosiła tylko pół drakona. Byliśmy wściekli na niego za te pół drakona. Boże, i my na takiego profesora kupiliśmy sposób? Czuliśmy się upokorzeni do głębi i temu też należy przypisać fakt, iż zaraz potem popełniliśmy poważne uchybienie z punktu widzenia WAB-u. Mianowicie, kiedy Alcybiades uśmiechnął się do nas zakłopotany i zapytał: — Wy zdaje się jesteście z ósmej A? — nie odpowiedzieliśmy ani słowem. A przecież odezwanie się Alcybiadesa wskazywało, iż umysł jego wyszedł z filozoficznej zadumy i zaczynał nas rozpoznawać pośród nicości świata.

W Domu Młodzieży zdarzył się jeszcze jeden wypadek.

Następnym punktem programu po okolicznościowych uroczystych przemówieniach miało być odegranie naszej sztuki. Szekspir kazał nam iść do umywalni i przemalować się na Murzynów. Sam poszedł ustawiać dekoracje na scenie za kurtyną. Ucharakteryzowaliśmy się pośpiesznie i chcieliśmy wyjść na korytarz. I wtedy — przykra niespodzianka. Okazało się, że ktoś nas zamknął na klucz od zewnątrz... Niewątpliwie sprawka Dużych.

Jednocześnie doszły nas przeraźliwe krzyki z sąsiednich umywalni. Szarpania za klamkę nie dały żadnego rezultatu. Na szczęście okazało się, że w oknie lufcik jest otwarty. Przez ten lufcik, pomagając sobie wzajemnie, wypełzliśmy na dwór... i tu wpadliśmy prosto w ręce Alcybiadesa. Zbliżał się właśnie zdenerwowany w towarzystwie wychowawcy z Domu Młodzieży, tęgiego pana z brzuszkiem, o łagodnym spojrzeniu. Na widok czarnych ciał spuszcających się z lufcika obaj stanęli osłupiali i zgorzeleni.

— Jak wy się zachowujecie?! — jęknął Alcybiades. — W obcym miejscu takie figle!

Zrobiło nam się głupio. To mogło przecież pogrzebać cały, z takim trudem i ofiarnością rozpoczęty WAB. W pierwszej chwili chciałem powiedzieć, że dziesiątacy nas zamknęli, ale powstrzymałem się. Z Alcybiadesem był przecież ten tutejszy wychowawca. Nie chcieliśmy rzucać cienia na dobre imię naszej szkoły. Lepiej już zwalić winę na usterki techniczne Domu.

— Nie mogliśmy otworzyć drzwi — wykrztusiliśmy zmieszani. — Coś się zacięło w zamku, proszę pana.

— To niemożliwe... Musieli was zamknąć nasi chłopcy. Oni mają czasem głupie pomysły — powiedział wychowawca z Domu Młodzieży.

— Nie, raczej nie oni... — odparliśmy.

Alcybiades spojrzał na nas dziwnie. Z pewnością podejrzewał nas o łobuzerstwo.

— Gdzie jest reszta? — zapytał. — Właśnie ich wszędzie szukamy.

— Byli w drugiej umywalni.

Poszliśmy razem z profesorem i wychowawcą Domu do umywalni. Była pusta. Ubrania leżały rzucone w nieładzie. Na ścianach widniały ślady czarnej farby.

— Już się chyba ucharakteryzowali — powiedziałem. — Panowie profesorowie poczekają, a my ich znajdziemy.

Zostawiwszy zdenerwowanych nauczycieli, ruszyliśmy w kierunku sali. W korytarzu spotkaliśmy dwu zadyszanych chłopaków: Szekspira i Wąłusza.

— Widzieliście aktorów? — zapytaliśmy.

— Nie, właśnie ich szukamy.

— Nie ma ich na sali?

— Nie.

— To co się z nimi stało?

— Właśnie, co się stało? Po prostu zaginęli.

W tym momencie koło nas przemknęło dwu Murzynów w gimnastycznych spodenkach.

— To oni! — krzyknął Szekspir.

— Hej, panowie! — zawołałem.

Niestety, ku naszemu niekłamanemu zdumieniu, czarnuchy na nasz widok wydały tylko przeraźliwy okrzyk i rzuciły się do ucieczki.

— Stój! — krzyknęliśmy i pognaliśmy za nimi.

Murzyni przelecieli koło umywalni z krzykiem... Z umywalni wychyliły się głowy Alcybiadesa i wychowawcy.

Wychowawca spojrzał na Alcybiadesa pytająco.

— Co im się stało? — zapytał zdumiony.

— Nic, to próba przed przedstawieniem — zawstydzony zachowaniem aktorów Alcybiades próbował ratować sytuację.

— Ale dlaczego tak krzyczą?

— To sztuka z dość silnymi efektami akustycznymi — odparł Alcybiades.

— Ale oni jakoś dziwnie krzyczą... to jest krzyk przerażenia.

— Uważa pan? — chrząknął Alcybiades.

W tym momencie nadbiegł jeszcze jeden Murzyn. Kiedy nas zauważył, zatrzymał się zadyszany, chwilę rozglądał rozpaczliwie to w jedną, to w drugą stronę, wreszcie desperacko dopadł do poręczy i zjechał po niej na dół.

— Czy to też należy do próby? — zapytał osłupiały wychowawca.

Alcybiades usiłował roześmiać się.

— Pan wie, to są dość ruchliwi chłopcy.

— Tak, dość ruchliwi — wychowawca spojrzał na niego z przerażeniem.

Na korytarzu pojawiła się zaniepokojona dyrektorka Domu.

— Panowie, co z tym przedstawieniem? Wszyscy czekają.

Alcybiades otarł chusteczką łysinę.

— Chwila cierpliwości, właśnie przygotowujemy się...

— Doszły nas jakieś krzyki. Na sali panuje zdenerwowanie. Czy coś się stało?

— Nic... nic, po prostu próba — rzekł Alcybiades. — Na razie niech chóry śpiewają.

— Chóry miały śpiewać potem.

— Niech już teraz śpiewają — rzekł zbolałym głosem Alcybiades.

— Co?

— To, co mają najgłośniejszego.

— Może „Helo” z repertuaru „Śląska”?

— Niech będzie „Helo”.

Podczas gdy w sali rozległy się pienia, my szukaliśmy zrozpaczeni aktorów. W pewnej chwili zauważyliśmy, że Szekspir daje nam jakieś znaki. Zbliżyliśmy się cicho. Szekspir pokazał na umywalnię w drugiej stronie korytarza, dochodził stamtąd plusk wody.

— Tam chyba są — szepnął.

Zajrzeliśmy przez dziurkę od klucza. Istotnie widać było dwa namydlone czarne ciała.

— Myją się? — spojrzeliśmy po sobie zaskoczeni.

— Którzy to? Poznajesz ich? — zapytał Wątlusz Szekspira.

— Nie mogę dobrze rozpoznać. Ten jeden jakby podobny do Kickiego, a drugi do małego Babasa.

Wątlusz wtargnął do umywalni.

— Panowie, co z wami?! Po co zmywacie charakteryzację?

Na nasz widok Murzyn podobny do Babasa rzucił się do okna, a ten drugi... Kicki chyba... zatkał palcem kran, puścił nam prysznic wprost w oczy i, korzystając z naszego zaskoczenia, wybiegł na korytarz.

— Kicuś, stań! — krzyknął za nim Szekspir. — Człowieku, co ty wyrabiasz?!

— Oni chyba powariowali — zauważyłem.

— Z nimi się dzieje naprawdę coś dziwnego — mruknął Zasepa.

— Coś niedobrego — rzekł Wątlusz. — Oni nas w ogóle nie poznają.

— Nie ma rady. Trzeba ich jakoś wyłapać — powiedział Szekspir. — Babas chciał uciec przez okno. Zobaczcie, co z nim. Gotów się jeszcze zabić.

Podbiegliśmy do okna. Babas zdołał już przejść po gzymisie do sąsiedniego balkonu. W momencie kiedy wyjrzelśmy, wspinał się właśnie na balustradę.

Wybiegliśmy na korytarz i zaczailiśmy się za drzwiami sąsiedniej sali... Po chwili drzwi uchyliły się i wyjrzała z nich ostrożnie czarna twarz Babasa. Nie zauważył nas, bo byliśmy zasłonięci skrzydłem drzwi. Uspokojony wybiegł na korytarz wyscielony długim chodnikiem. Wtedy Zasepa błyskawicznie pociągnął za chodnik. Babas upadł. Nim się zdążył zerwać, już go dopadł Wątlusz. Doskoczyliśmy i my. Nagle Wątlusz cofnął się zmieszany.

— O rany! — wykrztusił. — To nie Babas!

Istotnie, z bliska można było wyraźnie stwierdzić, że ujęty osobnik nie miał nic wspólnego z Babasem. — Poza pewną ogólną puciołowatością nic się nie zgadzało.

— No tak, to nie jest nasz człowiek — rzekł zdumiony Szekspir, obejrzawszy dokładnie jeńca.

— To z pewnością tubylec — powiedziałem.

— A ty łobuzie! Co to wszystko ma znaczyć?! — krzyknął Wątlusz.

Chłopak milczał. Z czarnej gęby patrzyły na nas obce, przerażone oczy. Ze strachu nie mógł wykrztusić ani słowa. Jego hebanowa skóra lśniła od potu.

W tym momencie podszedł do nas Alcybiades z wychowawcą Domu.

— Panie profesorze. Zagadnienie częściowo wyjaśnione. To nie jest nasz człowiek. To chyba tubylec... to jest... chciałem powiedzieć, chłopiec stąd.

Alcybiades odetchnął, co prawda, jak się potem okazało, grubo przedwcześnie.

— Panie kolego — zwrócił się do wychowawcy Domu — ten czarnuch nie jest moim uczniem. Pan będzie łaskaw zidentyfikować to indywiduum.

Wychowawca obejrzał jeńca i osłupiał.

— Kargulewicz? Jak mogłeś...

— To nie ja... — wybelkotał chłopak.

— Nie zapieraj się! — powiedział wychowawca Domu. — Rozpoznaję twoje rysy.

— Ja nie mówię, że to nie jestem ja — wykrztusił chłopak — ja tylko mówię, że to nie ja się usmarowałem...

— A kto?

— Ci chłopcy od Lindego.

Alcybiades zachwiał się.

— Nie opowiadaj głupstw! — ściągnął brwi wychowawca.

— Słowo daję. Myśmy tylko się przyglądali, jak oni się przebierają i ha... harakirują...

— Charakteryzują.



— Tak, charakteryzują.  
 — Byliście z nimi w umywalni?  
 — No nie, my z drugiej strony...  
 — Jak to: „z drugiej strony”?  
 — Przez dziurkę od klucza.  
 — Ach, więc podglądaliście ich?  
 — No... tak... bo byliśmy ciekawi, jak oni się harakirują.  
 — Charakteryzują.  
 — Tak, charakteryzują. I wtedy oni otworzyli drzwi. Chcieliśmy uciec, ale oni mówią: „No, chodźcie, chodźcie, nie bójcie się, przypatrzcie się z bliska”. A jak myśmy podeszli, to złapali nas i nasmarowali pastą. Alcybiades w tym miejscu wydał głośny jęk, co było tym bardziej znamienne, że zwykle słynął z opanowania i filozoficznego spokoju, właściwego mędrcom starożytnym.  
 — No, tak — powiedział wychowawca Domu do swojego pupila — teraz wszystko jasne, nie rozumiem jeszcze tylko, dlaczego uciekałeś przed tymi oto chłopcami.  
 — Bałem się, że znów zaczną smarować...  
 — Czy to ci smarowali? — zapytał słabym głosem Alcybiades.  
 Chłopak przyjrzał nam się uważnie.  
 — Nie, tamci byli chyba trochę więksi, ale z daleka trudno rozróżnić. Jedni i drudzy czarni.  
 — Nie wiem doprawdy, jak pana przeproszać... za ten smutny incydent... — mówił załamany Alcybiades do wychowawcy Domu.  
 — No cóż, jak to młodzież — westchnął wychowawca — zwłaszcza tacy ruchliwi chłopcy.  
 — Zostaną natychmiast surowo ukarani — rzekł Alcybiades.  
 — Profesorze, na litość boską... Błagam, tylko nie natychmiast — przeląkł się wychowawca. — Najpierw zrealizujemy program. Pan słyszy. Chóry już zachryły, gonią resztkami sił. Prosimy szybko na scenę.  
 — A gdzie są aktorzy?  
 — Aktorzy już dawno czekają — usłyszeliśmy głos Babasa.  
 Tym razem był to nareszcie autentyczny Babas. Pobiegliśmy za kulisy.  
 Istotnie, za kulisami oczekiwał nas komplet Dużych. Siedzieli na ławkach ze znudzonymi minami. Nim zdążyliśmy się odezwać, zasypali nas pretensjami:  
 — Gdzie się podziewaliście?! Wszyscy dawno czekają. Chór już zachrył, a was jeszcze nie ma. Pan profesor powie tym małym do słuchu! Żadnego poczucia obowiązku i szacunku dla sztuki! Wstydu za nich musimy się najeść... Żeby na gościnnych występach takie hece!  
 Alcybiadesowi opadły ręce na widok takiej przewrotności.  
 — Boże, czemu nie dałeś mi sił Herkulesa, przebiegłości Odysa i męstwa Achillesa...

\* \* \*

Występ artystyczny zrehabilitował nas nieco i wzbudził entuzjazm wychowanków Domu łącznie z nieszczęsnymi czarnuchami, którzy — nie domyśli jeszcze — przyłączyli się do ogólnej klaki. Dostaliśmy jako aktorzy kwiaty. Wręczono nam także mały bukiet róż dla naszego Dyra.  
 Jednakże Ciało Gogiczne Domu patrzyło wciąż na nas podejrzliwie i na wszelki wypadek natychmiast po występie zabrało swych pupilów z sali.  
 My też zwinęliśmy pośpiesznie manatki i, nie zwlekając, wycofaliśmy się z Domu. Droga powrotna minęła spokojnie. Wszyscy już byli zmęczeni. Nawet dziesięcioklasiści jakoś oklapli zasadniczo i gapili się w milczeniu na płyty chodnika pokryte lepkiem błotem. Siąpił deszcz.  
 Obserwowaliśmy ukradkiem Alcybiadesa. Chyba jeszcze bardziej zestarzał się w ciągu tych trzech godzin. W nie dopiętej jesionce, pochylony bardziej niż zwykle, ciężko powłóczył nogami. Okulary zaszyły mu mgłą, a po pobrużdżonej twarzy spływały krople deszczu.  
 — Pobluffujemy trochę? — zapytał mnie Zasepa.  
 Potrząsnąłem głową.  
 — Patrzyłeś na niego — mruknął Zasepa — więc myślałem...  
 Zmieszałem się.  
 — Ja tylko tak, ogólnie.  
 — On jest smutny — powiedział — powinniśmy coś pobluffować.  
 — Nie widzę możliwości — odparłem.  
 Po powrocie do szkoły zastaliśmy klasę w przygnębieniu. Okazało się, że w czasie naszej nieobecności Dziadzia urządził prawdziwą rzeź niewiniątek i postawił szesnaście łuf. Prócz niego srożył się Farfala, biorąc odwet za zniszczenie aparatu Kippa. Drugoroczny dryblas Bem podszedł do nas.

— Czy nabyliście sposób?  
 — Sposób? — spojrzeliśmy na niego zaskoczeni.  
 — Mieliście przecież kupić sposób.  
 — Skąd wiesz, Bemie?  
 — Mieliście przecież coś wykombinować. Widziałem, że rozmawialiście z Kickim.  
 — Owszem — odparł zmieszany Zasepa — prowadzimy na ten temat pertraktacje.  
 — Klituś bajduś... Nie dadzą rady. Kto im sprzedaje sposób. Nawet Kicki nie chciał z nimi rozmawiać! — wtrącił gruby Babinicz. — Mówię, jedyny sposób to wkuwać!  
 Zasepa spojrział na niego pogardliwie.  
 — Nie jest tak źle — wycedził — sprawa posuwa się naprzód, ale wymaga rozwagi. W szkole roi się od oszustów, którzy sprzedają lipne sposoby. Musimy zasuwać bezpiecznie, żeby nie było wpadki.  
 — Na razie wzięliśmy jeden mały sposobik do wypróbowania — dodałem skromnie.  
 — Co to za sposobik? — zapytał Bem.  
 — SPONAA. — Zasepa strzepnął sobie niedbale pyłek z rękawa.  
 — Spona? Co to takiego?  
 — Och, nie warto mówić... Uśmiejesz się...  
 — Ale co?  
 — Sposób na Alcybiadesa — oświadczył Zasepa.  
 Baliśmy się, żeby Bem nie parsknął śmiechem, ale on spojrział na nas ożywiony.  
 — Naprawdę, kupiliście?  
 — Tak... Jutro zaczynamy — powiedział Zasepa obojętnie. — Możesz zawiadomić klasę.  
 — Na czym to polega?  
 — Och, głupstwo, wpadnij do mnie po lekcjach. Pogadamy.  
 — A to byczo! — wykrzyknął Bem.  
 — Z czego się tak cieszysz? To przecież tylko na Alcybiadesa.  
 — To nic... to nic! Choćby na Alcybiadesa, to już coś jest... Zawsze to będzie lżej... takiej hańby nie będzie... byle się pocieszyć, bo już człowiekowi żyć się nie chciało. Zobaczycie, wszystkim od razu humor poprawi! Odbiegł podniecony. Byliśmy pewni, że zaraz rozbębni całą klasę. Popatrzyliśmy za nim z satysfakcją.  
 — Od razu się rozprostował duchowo — zauważył Zasepa. — Może to i dobrze, że kupiliśmy ten Sposób.  
 — Tak, to będzie miało poważne znaczenie moralne dla klasy — powiedziałem.

## Rozdział X

Nazajutrz znów podjęliśmy próbę Wielkiego Bluffu. Tym razem, ledwie tylko na ulicy uchyliliśmy czapki, Alcybiades poznał nas z daleka. Na jego twarz wypełził jakiś grymas, który od biedy i przy dużej dozie dobrej woli można było wziąć za cień uśmiechu.

Oprócz teczki i gazety niósł tego ranka również jakiś ciężki pakunek. Oczywiście, podskoczyliśmy od razu w celu dokonania Uczynku Dezorientującego.

— Poniesiemy, panie profesorze.

Ja i Zasepa pochwyciliśmy paczkę, Słaby porwał teczkę, Pędzel gazetę. Tym razem wypadło to o wiele naturalniej, może dlatego, że Alcybiades nie stawiał oporu, lecz z widoczną ulgą oddał nam pakunek. Był on naprawdę diabło ciężki i sznurek wpijał nam się w rękę.

— Tylko ostrożnie, żeby znów się nie stukło — Alcybiades zdjął kapelusz i otarł czoło.

— Czy to Katon, panie profesorze? Już sklejony?

— Tak, chociaż, prawdę mówiąc, niosę go z pewnym lękiem — zasapał Alcybiades

— Czemu?

— Obywatel ten, jak wiecie, nie grzeszy pięknnością i pan dyrektor nie uważa go za ozdobę gabinetu.

— To po co go trzymał?

— To stary posąg — powiedział Alcybiades. — Kiedy zacząłem uczyć w tej szkole, on już był. Trzymano go na zasadzie pamiątki. Niestety, teraz wygląda jeszcze gorzej niż przedtem.

— A czy nie można go było przy sposobności odnowić, oszlifować i wygładzić?

— Owszem, konserwator chciał mu nawet dokleić kawałek brakującego nosa i ucha, lecz sprzeciwiłem się temu.

— Dlaczego?

— Ponieważ na nosie naszego Katona zapisała się historia. Nie wiem czy wiecie, ale nos ten utracił mu nasz sławny wychowanek, generał, na rok przed maturą. Podobnie sprzeciwiłem się zabiegom konserwacyjnym ucho. Ucho to bowiem stracił nasz Katon w czasie oblężenia Warszawy w tysiąc dziewięćset trzydziestym

dziewiątym roku. Nasz niezapomniany woźny Więckowski ewakuował go właśnie w bezpieczne miejsce kiedy wybuch bomby rzucił ich na ziemię i w ten sposób Katon stał się obiektem historycznym. Muszę wam także zdradzić w tajemnicy, że nie wszystkie kawałki z rozbitego przez pana dyrektora popiersia dałem do sklejenia.

— Jak to?

— Chciałem, by pozostała szczerba w okolicy szczęki dolnej, która, jak wiecie, uległa odłupaniu. Konkretnie naszemu Katonowi brakuje obecnie kawałka wargi.

— Czy pan profesor chciał w ten sposób upamiętnić ten ostatni wypadek?

— Tak.

— Czy... czy pan profesor sądzi, że to było aż tak ważne zdarzenie?

— O tym rozstrzygnie historia. Nie można jej w każdym razie uprzedzać. Nie jest bowiem wykluczone, że któryś z was stanie się sławnym człowiekiem i wtedy wypadek, jaki miał miejsce w ubiegłym miesiącu, zainteresuje historyków.

— Pan profesor ma nadzieję? — pociągnął nosem Zasepa.

— Zawsze się z tym liczę, patrząc na moich uczniów.

Niestety, nie mogliśmy ciągnąć dalej tej interesującej rozmowy, ponieważ właśnie weszliśmy na korytarz szkolny i słowa historyka zagłuszyła wrzawa. Tabuny młodzieży przewalały się tam i z powrotem, tarasując zupełnie przejście.

Sądząc po tym, że niektórzy z moich kolegów występowali w roli koni i dźwigali na ramionach osobników dziko wyjących, chodziło tutaj zapewne o odtworzenie którejś z bitew historycznych. Alcybiades wyciągnął rękę, coś mówił do młodzieży, usiłował przedrzeć się przez zgiełk bitewny, ale tłuszczka nie zwracała na niego zupełnie uwagi. Stał wreszcie zrezygnowany, zagubiony i bezradny wśród wyjącej hordy.

— Nie ma rady, trzeba pobluffować — szepnął Zasepa, po czym krzyknął nad uchem Alcybiadesowi. — Niech pan będzie spokojny, panie profesorze, utworzymy panu drogę wśród tłuszczki. Dalej, chłopaki! Metodą kozła. Słaby i Pędzel naprzód.

Pochyliwszy głowy, chłopaki jak tarany wbili się w tłuszczkę, wywracając jakiegoś „konia”. Ja i Zasepa natychmiast skorzystaliśmy z wyrwy, popychając oszołomionego Alcybiadesa. Po kilkunastu sekundach wyładowaliśmy szczęśliwie pod drzwiami kancelarii.

— Zrobione, panie profesorze — odetchnął Zasepa. — Front przełamany.

Alcybiades otarł czoło.

— Coś podobnego zdarzyło się chyba tylko Cydowi pod Zamorą... Ale powiedz mi, chłopcze, dlaczego użyłeś słowa „tłuszczka”?

Zasepa nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Czytaliśmy w jednej historycznej książce — wyręczyłem go pospiesznie.

— Czytujecie historyczne książki? — zapytał Alcybiades, jakby to było bardzo dziwnym zjawiskiem.

— Historia magistra vitae, panie profesorze — przyszła mi szczęśliwie do głowy maksyma, którą słyszałem często z ust ojca.

Alcybiades spojrział na nas spod okularów.

— Zdumiewające — powiedział i uśmiechnął się po raz pierwszy. Potem spojrział na drzwi gabinetu Dyra.

— Teraz czeka mnie gorsza przeprawa — zażartował. — Boję się, że pan dyrektor usunie mnie razem z Katonem. Wszystko będzie zależało od tego, czy zastaniemy go w stanie perypatetycznym.

— Co to znaczy?

— To znaczy, czy będzie chodził po gabinecie. Pan dyrektor jest perypatetykiem w chwilach zdenerwowania.

Niestety, po ostrożnym uchyleniu drzwi od razu stało się widoczne, iż pan dyrektor jest w groźnym stanie perypatetycznym. Co więcej, znajdował się u niego Żwaczek.

Szurnęliśmy zamasyżycie nogami, postawiliśmy Katona na krześle, po czym ściągnęliśmy pospiesznie z Alcybiadesa jesionkę. Był wyraźnie zażenowany tym zabiegiem. Następnie ja zaniósłem jesionkę do wieszaka, a Pędzelkiewicz i Słaby zabrali się do rozkręcania Alcybiadesa z szala.

Dyrektor przerwał swój perypatetyczny spacer i wraz ze Żwaczkiem patrzył na nas zdziwiony. A my znów szurnęliśmy nogami. Chyba za dużo szuraliśmy, ale to z nerwów. Potem wręczyliśmy jeszcze Alcybiadesowi teczkę i gazetę.

— Czy odpakować? — pokazaliśmy na paczkę.

— Dostyc tego — rzekł dyrektor — już was nie ma.

Wobec tak stanowczego postawienia sprawy nie pozostało nam nic innego, jak szurnąć jeszcze raz i wybiec z gabinetu.

Oczywiście, nie poszliśmy do klasy, lecz wybiegliśmy na dwór i stanęliśmy pod oknem gabinetu.

Słyszeliśmy głos Dyra i jego przyspieszone kroki. Był widać wciąż w groźnym stanie perypatetycznym.

— To niesłychane! Wzorowe liceum! Szkoła z taką tradycją. I taki skandal! W dodatku na uroczystości typu pedagogicznego, że tak powiem! Jak pan mógł dopuścić, a — co gorsza — nie powiadomić mnie o tym! Pan mnie postawił w śmiesznej sytuacji. Pod wpływem pana zapewnień, że wszystko przebiegło jak należy, chcę podziękować za kwiaty, dzwonię do pani dyrektor Domu wesoło, żartobliwie, powiedziałbym nawet... tak, żartobliwie: „Jakże pani się czuje po jubileuszu?” A to w jej uszach zabrzmiało jak brzydki żart i szyderstwo! I dopiero się dowiaduję, panie kolego, że tam był skandal! Tam były jakieś gonitwy, wycia, atakowanie wychowanków Domu, znęcanie się nad pupilami...

— Przepraszam, panie dyrektorze — chrząknął Alcybiades — to jest wersja wyolbrzymiona, smarowali tylko pastą.

— Tylko? — grzmiał dyrektor. — To się nazywa „tylko”?! Przykro mi, ale muszę panu powiedzieć, że od dawna wystawia pan na bolesne próby moje zaufanie pedagogiczne. Zresztą trudno się dziwić, skoro zajmują pana bardziej martwe posągi niż młodzież. Po co mi pan przyniósł tę skorupę?

— Posąg został sklejonny...

— Ja nie chcę tego widzieć u siebie. Pan mi zaśmiesza gabinet.

— Ośmielę się zauważyć, iż posąg ten związany jest z chlubnymi dziejami szkoły. Przetrwiał dwie wojny i pięćdziesiąt roczników wandalów. To chyba coś znaczy.

— Nie, nie... Niech pan mi go zaraz zabierze.

— Cóż on przeszkadza?

— Ośmiesza. W tym stadium zniszczenia już tylko nas ośmiesza. Nigdy nie traktowaliśmy go jak dzieło sztuki. Traktowaliśmy go jak sprzęt. Sprzęty zniszczone usuwa się.

— Jednakże sam wzgląd, że to Kato...

— Kato nie był osobistością postępową... Wszyscy wiemy, co on wypisywał o traktowaniu niewolników.

— Jednakże był symbolem pewnych cnót starorzymskich.

— Nie, kolego, nie widzę żadnych względów, ani moralnych, ani estetycznych... ani politycznych, by osobnik ten przebywał tutaj, przeciwnie — względy te przemawiają za usunięciem gipsu czy, jak słusznie wyraziła się pani Kalino, truchła z gabinetów pedagogicznych. Patronat tej śmiesznie okaleczonej figury wprowadza tylko element dystrykcji i zakłóca powagę naszych obrad. Wystarczy, że musimy znosić rzenie konia za oknem.

Istotnie, Cycero znów się przedostał na teren szkoły i rżał smętnie, prawdopodobnie na skutek niedostatku jesiennej trawy na wydeptanym boisku.

— Kolego Żwaczek, niech pan przymknie okno — usłyszeliśmy głos Dyra.

Nie chcąc ryzykować zdemaskowania, czmychnęliśmy pospiesznie. Przez pierwsze trzy lekcje byliśmy pod wrażeniem tego, co usłyszeliśmy. Na dużej przerwie udaliśmy się do pokoju nauczycielskiego.

W drzwiach natknęliśmy się na Żwaczka.

— To znowu wy?! Czego chcecie?

— My do pana profesora Misiaka.

— O co chodzi? — Alcybiades zbliżył się do nas ze szklanką herbaty w ręce.

— Chcieliśmy wziąć mapy.

— Mapy... Przecież lekcję mamy dopiero za dwie godziny.

— To nie szkodzi. Powtórzylibyśmy tymczasem materiał.

Nauczyciele spojrzeli na nas ciekawie.

— I może zabierzemy jakiś film... — dodałem szybko. — Chłopcy mówili, że jest film o piramidach.

— Niestety. Aparat do projekcji jest zepsuty...

— To nic. Naprawi się... Ojciec Bema ma warsztat tele- i radiotechniczny, to chyba i to naprawi — powiedział Zasepa — a na razie wzięlibyśmy te mapy i może te tablice egipskie, o których chłopcy mówili.

— Dobrze... coś wybierzemy... — powiedział po chwili Alcybiades.

Dopił resztę herbaty, po czym poszedł z nami na górę do magazynu. Kiedy wybraliśmy mapy i plansze historyczne, Pędzelkiewicz zapytał nagle:

— Czy udało się panu profesorowi zainstalować z powrotem Katona?

— Niestety, moje obawy się sprawdziły — rzekł spokojnie Alcybiades. — Pan dyrektor nie życzy sobie, by Katon wrócił do gabinetu.

— I co teraz?

— Nic. Trzeba go będzie usunąć.

— Pan go wyrzuci?

— No nie, umieszczę go u siebie.

— Czy nie można by w sali historycznej?

— Nie mamy sali historycznej. Została całkowicie zaanektowana przez panią Kalino na potrzeby geografii.

— Pan profesor się zgodził?

— Nie zawierałem w tej sprawie żadnego traktatu, mój chłopcze. Nikt nigdy by mnie nie zmusił do zawarcia podobnie haniebnego traktatu.

— W takim razie zachował pan w dalszym ciągu prawa.

— Oczywiście, ale w tej chwili umieszczanie tam głowy Katona byłoby czynem wysoce nieroztropnym, gdyż, o ile mi wiadomo, pani Kalino należy do wrogów Katona i obawiam się, że Rzymianin nie przeżyłby tam nawet godziny. Dlatego muszę usunąć Katona, przynajmniej chwilowo.

— To nie może być — powiedziałem — on przecież należy do szkoły.

— Tak, on należy do szkoły — rzekł Pędzelkiewicz. — Brat mi mówił, że gdy zaczął chodzić do szkoły, Katon już tu był, a znów znajomi brata, starsi chłopcy mówili, że jak oni zaczęli chodzić, to Katon też tu już był. On wciąż tu był.

— Istotnie — rzekł Alcybiades — ale taka jest kolej losu starych rzeczy.

— Panie profesorze — powiedziałem — niech pan profesor nam go da.

Alcybiades znieruchomiał.

— Wam? Po co?

— Będzie stał w naszej klasie.

— Tak, panie profesorze — poparli mnie gwałtownie Pędzelkiewicz i Słabiński. — Przechowamy go aż do matury.

Alcybiades milczał przez chwilę, patrząc na nas uważnie.

— Dobrze, możecie go wziąć — powiedział wreszcie. A potem szybko odszedł.

— Czy nie za mocno zabluffowałeś? — zapytał mnie Zasepa. — Po jakie лихо nam ten gips?

— Ja tylko tak... po prostu. Uczynek Dezorientujący...

Zasepa spojrział na mnie podejrzliwie.

— Myślałem, że się naprawdę przejąłeś losem tego truchła.

— Ja? — zaśmiałem się. — Skąd! Mówię ci, że to w ramach Bluffu.

— No pewnie, że w ramach Bluffu — powtórzyli pospiesznie Pędzel i Słaby patrząc w podłogę.

\* \* \*

Jeszcze na tej samej przerwie zabraliśmy Katona z gabinetu i zainstalowaliśmy w kącie naszej klasy, po lewej stronie katedry.

Równo z dzwonkiem jak zwykle Żwaczek wszedł do klasy. Oczywiście, od razu spostrzegł żalostnego Katona.

Uniósł do góry brwi.

— Dyżurny! Co to jest? — zapytał Słabego, który był tego dnia dyżurnym.

— To jest Katon — oświadczył Słaby.

— Ta nieszczęsna maska nie jest ozdobą klasy.

— Z pewnością — odrzekłem — ale jest to maska zasłużona. Rzeźba ta przetrwała dwie wojny i pięćdziesiąt roczników normalnych wandalów, nie licząc czwororocznych. To chyba coś znaczy?

Żwaczek spojrział na mnie zdumiony.

— Zdumiewa mnie twoja mowa, Ciamciara. Nie podejrzewałem was o kult tradycji.

— Nigdy nie wiadomo, panie profesorze, co drzemie w młodzieży — rzuciłem ogólną uwagę typu filozoficznego.

— Czy wy przynajmniej wiecie, kim był Katon?

— Mamy pewne wiadomości — odparłem.

— W każdym razie to dziwne — rzekł z ironicznym uśmiechem — że Katon znalazł przytułek właśnie w tej klasie. Nie pielęgnujecie raczej cnót.

— Pielęgnowanie cnót w szkole jest rzeczą trudną, często wręcz niemożliwą — odparłem — ale w naszym wieku czasem próbuje się rzeczy niemożliwych.

Żwaczek nastroszył się.

— Kpisz sobie chyba.

— Przykro mi, że pan profesor tak sądzi. Czyżby poprawne formułowanie myśli było aż tak rzadkim zjawiskiem w tej szkole?

— Tak, raczej rzadkim, zwłaszcza w waszej klasie. Twoja nagła elokwencja mnie zdumiewa, Ciamciara.

— Ćwiczę wymowę.

— Albo błazenadę.

— Być dobrym błaznem to też sztuka.

Polonista uznał w tym miejscu, że najlepiej będzie obrócić wszystko w żart. Toteż poczochnął mi głowę i roześmiał się.

— Siadaj!

O Katonie już nie wspominał. Natomiast zauważyliśmy, że od tego dnia nieco się zmienił. Przyglądał nam się uważnie i często wyciągał nas na rozmowy.

## Rozdział XI

Z niepokojem oczekiwaliśmy na lekcję z Alcybiadesem. Przejrzeliśmy jeszcze raz notatki dotyczące SPONY i stwierdziliśmy, iż grunt do Dryfu został bez zarzutu przygotowany. Alcybiades znajdował się wyraźnie w stanie oszołomienia, nie tylko odróżniał nas z tłuszczy, ale nawet zaczynał kochać. Incydent z Katonem powinien go rozbroić do reszty. Należało więc teraz tylko szybko zapuścić Węża Morskiego i Sposób zacznie wydawać plony.

Jak było do przewidzenia, pierwsze spojrzenie po swoim wejściu do klasy Alcybiades skierował na szafę, gdzie widniał posąg Katona. Z kolei skierował wzrok na nas i choć nic nie powiedział, zauważyliśmy, iż jego pochylenie zmalało do pięciu stopni, a może i jeszcze mniej...

Siedzieliśmy w milczeniu, w ciszy tak głębokiej i zasadniczej, że słyhać było dalekie rżenie Cycerona za oknem i „krzyk drobiu Więckowskiej nieświeży”, jakby powiedział Wątlusz. Szekspir miał rację. Ta cisza nadzwyczajna, niespodziewana, której ucho Alcybiadesa nie doświadczało od dziesiątków lat, wprowadziła Alcybiadesa w stan dziwnego oszołomienia. To był naprawdę Haszysz. Organ słuchu Alcybiadesa nie dowierając zjawisku poruszył się najpierw niespokojnie raz i drugi, a następnie znieruchomiał. Historyk zastygł jak posąg.

Trąciłem Zasepę w bok. Zgodnie z instrukcją należało teraz szybko „wprowadzić Element Dygresyjny”. Zasepa podniósł palce do góry.

— Czego chcesz? — zapytał go Alcybiades nieswoim głosem.

— Panie psorze, ja bardzo przepraszam, ale nie odrobiłem lekcji z powodu wypadku.

— Co takiego się stało?

— Nic takiego, wybuchło tylko u nas w domu.

— Wybuchło? Co wybuchło?

— Jak pan psor sobie życzy, to ja mogę opowiedzieć.

— Jeśli to naprawdę ciekawe... — powiedział Alcybiades.

— Bardzo ciekawe, panie psorze. To są skutki tarcia...

Westchnąłem ciężko i spojrzałem z wyrzutem na Zasepę. Znów nas czekało, po raz nie wiadomo który, wysłuchanie opowiadania o ciężarowcu, który prał w wannie spodnie. Swoją drogą mógł Zasepa wysilić się na coś nowego.

Alcybiades wciąż jeszcze oszołomiony wysłuchał cierpliwie opowiadania. Kiedy Zasepa skończył, zapanowała cisza.

— Czy to już koniec? — zapytał Alcybiades.

— Tak, koniec, proszę pana. Sztangista Mnożek wyleciał przez okno.

Alcybiades nie wydawał się zupełnie poruszony tragicznymi dziejami prania. Z dziwną troską spojrzał natomiast na Zasepę.

— Czy te spodnie to były jakieś historyczne spodnie?

— Nie, skądże! — zaśmiał się Zasepa i spojrzał zdziwiony na Alcybiadesa. — To były spodnie zwyczajne, chociaż w bardzo dobrym gatunku.

— Ale wanna była zapewne zabytkowa? — zapytał Alcybiades.

— Nie, dlaczego?

— Nie rozumiem więc, po co nam opowiedziałeś o tym wszystkim, chłopcze — powiedział Alcybiades, patrząc ze szczerym zdziwieniem na Zasepę.

Zasepa zmieszał się.

— No... zdawało mi się... że...

— Że co?

— Że to ciekawe...

Alcybiades zaśmiał się wtedy. Po raz pierwszy widzieliśmy śmiejącego się Alcybiadesa i zrobiło to na nas wielkie wrażenie. Zdawało mi się przy tym, że był to śmiech szyderyczy. Nigdy nie przypuszczałem, że Alcybiades zdolny jest zaśmiać się szyderyczo.

— Ty to nazywasz ciekawym zdarzeniem? Nie bluźnij, chłopcze. W obliczu historii to zdarzenie jest niczym. Cóż znaczy bowiem spalenie spodni Mnożka wobec spalenia Biblioteki Aleksandryjskiej? Czy spalenie spodni Mnożka można nazwać faktem historycznym?

— Raczej nie, panie psorze.

— Po cóż więc zaprzątasz tym sobie głowę? Umysł twój, chłopcze, dysponuje ograniczoną ilością szarych komórek, nie warto więc zaśmiewać ich byle jakim ciuchem.

— Ja przepraszam, ale to były spodnie z „setki” — zauważył nieco urażony Zasepa.

— To jest bez znaczenia. Znaczenie czyichś spodni, mój chłopcze, polega nie na tym, czy są one z setki, czy z zerówki, ale czy miały wpływ na bieg historii... Powinny cię zatem interesować tylko te przedmioty, które były godne wejść do historii. Mało jest takich przedmiotów. Znamy wprawdzie historię koszuli Dejaniry, lecz nie jesteśmy pewni, czy fakt ten podano w ścisłej wersji. Jeśli już, drogi chłopcze, interesują cię różne elementy ubioru, wolę, byś zamiast interesować się spodniami jakiegoś tam Mnożka, zainteresował się podwiązkami hrabiny Salisbury.

Przez klasę przebiegł szmer, na niektórych twarzach pojawiły się głupawe uśmiešky. Alcybiades podniósł do góry palec.

— Honni soit qui mal y pense! — powiedział uroczyście.

Umilkliśmy zaintrygowani dziwnym brzmieniem słów. Alcybiades powiódł okiem po klasie.

— Zasepa, czy możesz wskazać bliżej, o co chodzi?

Zasepa zmieszał się. Oczywiście, nie mógł wskazać, nie tylko bliżej, ale w ogóle, o co chodzi. Z ust Alcybiadesa wydobyło się westchnienie.

— A więc nie wiesz, Zasepa, czemu wołałbym, żebyś interesował się raczej podwiązkami pani Salisbury?

— Nie wiem, panie profesorze.

— Bo te podwiązki weszły do historii, ale nie wiem, czy to ma dla ciebie znaczenie, że coś wchodzi do historii.

— Oczywiście, panie profesorze — przytaknął pospiesznie Zasepa. — To ma znaczenie, zapewniam pana profesora.

— Cieszę się — odparł Alcybiades.

— My wszyscy interesujemy się historią — podniosły się głosy. — My tak uwielbiamy historię.

— Istotnie, zauważyłem w waszej klasie historyczną odmianę — rzekł Alcybiades. — Można powiedzieć: renesans. Czy ty wiesz, co znaczy renesans? — zapytał

Zasepę, a mnie się zdawało, że słyszę w jego głosie szyderstwo, ale może mi się tylko zdawało.

Zasepa miotał na boki rozpaczliwe, bezradne spojrzenia, a nas zaczął ogarniać coraz większy niepokój, by nie rzec strach. Dryf nie wychodził. Alcybiades odrzucił pogardliwie przynętę w postaci spodni Mnożka i przechodził najwyraźniej do kontrataku gogicznego.

Mój mózg pracował gorączkowo. Coś trzeba zrobić, coś kombinować.

— Panie profesorze — wstałem z prawdziwym przerażeniem w oczach — panie profesorze, to może by pan profesor najpierw o tych podwiązkach — rzekłem błagalnie, widząc w tej części garderoby ostatnią szansę nakłonienia Alcybiadesa do Dryfu.

— Tak! O podwiązce! — rozległy się chóralne prośby. — Panie psorze, o podwiązce!

Alcybiades wyciągnął rękę. Gestem Cezara uciszył klasę, a potem rzekł:

— Jest to historia powstania sławnego Orderu Podwiązki. Order ten został ustanowiony w roku tysiąc trzysta osiemdziesiątym czwartym... A propos przyjacielu — kiwnął na mnie — może mi powiesz, kto panował w tym czasie w Polsce?

Milczałem, przeklinając moment, w którym zachciało nam się dryfować, i całą metodę Węża Morskiego. Na szczęście Alcybiades zniósł moje tragiczne milczenie z filozoficznym spokojem, nie wydawał się nawet zbyt strapiiony moją ignorancją, widocznie nie spodziewał się niczego innego.

— W czasie, kiedy w Anglii ustanowiono Order Podwiązki, w Polsce panowała królowa Jadwiga — oznajmił łagodnie. — Ale to oczywiście nie miało żadnego wpływu na ustanowienie Orderu Podwiązki. Przyczyną ustanowienia tego orderu był wypadek, który przytrafił się hrabinie Salisbury na balu. Nieszczęsna owa dama zgubiła w tańcu podwiązkę. Król Edward Trzeci podniósł zgubę i wręczył ją właścicielce. Oczywiście, wywołało to uśmiechy wśród dworzan. Król zauważył je i powiedział: „Honni soit qui mal y pense... Niech się wstydzi, kto źle o tym myśli. Ten, kto się dziś z podwiązki śmieje, jutro będzie uważał za zaszczyt ją nosić”. I natychmiast ustanowił Order Podwiązki. I rzeczywiście, noszenie go jest do dziś uważane w Anglii za największy zaszczyt. Notabene obawiam się, że ten zaszczyt wam w każdym razie nie grozi, ale dla porządku powiem, że jest to jedyny order na świecie, który nosi się na nodze. Ścisłej, w okolicy lewego kolana. Damy zaś noszą ten order na ramieniu.

Widząc, że opowieść wywołała nasze nieklamane zainteresowanie, dodał wskazując na Pędzelkiewicza:

— Czy mógłbyś mi wymienić inne sławne „przedmioty”, które stały się przyczyną aktów historycznych? Pędzelkiewicz nie mógł jednak nic wymienić z przyczyn zasadniczych.

— Chyba słyszeliście o jabłku, które było przyczyną wojny trojańskiej, albo o nosie Kleopatry lub o uchu niejakiego Jenkinsa, a może o owcach angielskich, które pożerały ludzi i stały się przyczyną rewolucji? Niestety, okazało się, że żaden z nas nie miał pojęcia ani o tragicznym jabłku, ani o nosie Kleopatry, cóż dopiero mówić o uchu Jenkinsa czy owcach-ludożercach.

Zostaliśmy zagięci gruntownie.

Próbowaliśmy się jeszcze ratować, nakłaniając Alcybiadesa do opowiedzenia nam o tych rzeczach, ale on potrząsnął głową.

— To nie jest aż takie ważne. Te rzeczy same przez się nie miały wielkiego znaczenia. Mówi się o nich raczej jak o symbolach pewnych zjawisk i niekiedy używa w żartach, ale to tylko piana na fali historii. Prawdziwa rzeka płynie głębiej. Pomówmy lepiej o kulturze egipskiej.

W rezultacie takich zagrań odechciało nam się gruntownie SPONY i Alcybiades powrócił spokojnie do bieżącej lekcji. A na zakończenie począł pytać na stopnie Bema i Kocha z ostatnio przerabianego materiału. Bem i Koch oczywiście nic nie umieli i oberwali lufy do dziennika. W ten sposób cały tak pięknie zapowiadający się Dryf zakończył się katastrofą.

\* \* \*

Po lekcji obaj poszkodowani delikwenci mieli do nas pretensje.

— Wypchajcie się z takim Sposobem — mówili rozgoryczeni.

— Sposób! Jaki tam oni mieli Sposób. Tylko tacy kretyni, jak wy, mogli uwierzyć, że ktoś sprzedał im Sposób — skrzeczał złośliwie Babinicz. — Trzeba było mnie słuchać. Od razu mówiłem, że wstawiają lipę.

— Zamknij paszczę! To była tylko próba — rozżościł się Zasępa.

W odpowiedzi ten drań Babinicz włożył palce do ust i zagwizdał przeraźliwie. Razem z nim gwizdało chyba pół klasy. To była straszna kompromitacja i upokorzenie dla naszej paczki.

Zastanawialiśmy się, gdzie tkwił błąd, ale nie mogliśmy dociec. Ponure podejrzenie, że padliśmy ofiarą zemsty Szekspira, znów nas opanowało.

Po lekcjach czatowaliśmy na niego w korytarzu. Gdy tylko wyszedł, poprosiliśmy go do Obserwatorium.

Myśleliśmy, że będzie się wykręcał, ale on poszedł bez bicia, a nawet chętnie.

W Obserwatorium nakreślił nam cały obraz klęski, która dzisiaj stała się naszym udziałem na skutek stosowania SPONY.

Ku naszemu zdumieniu Szekspir wysłuchał spokojnie, a potem powiedział krótko: — KRETYNI.

Nic, tylko tyle. Krótko, ale dobitnie.

Rzecz jasna, urażeni, zażądaliśmy natychmiast wyjaśnień i satysfakcji. Szekspir powtórzył jeszcze raz, że jesteście kretynami, ponieważ zabraliśmy się do stosowania SPONY w sposób dyletancki i partacki, nie zapoznawszy się z całą instrukcją.

— Jak mogliście marzyć o wynikach, skoro nie przerobiliśmy pełnego kursu uświadamiającego: nie stawiliście się na następnym wykładzie, jak było umówione!

— Trzeba było doprawdy upaść na tył czaszki — powiedział — by sądzić, że nędzne spodnie Mnożka mogą skłonić do Dryfu takiego goga, jak Alcybiades. Zanutujcie sobie raz na zawsze, Alcybiades nie jest uczulony na każdego Węża Morskiego. Jedyne Wąż, że tak powiem, Historyczny może go skłonić do Dryfu. To zresztą wynika z kartoteki, gdyż jedyną namiętnością i słabym punktem Alcybiadesa jest HISTORIA. Rzadko się zdarza, by przedmiot wykładany przez goga był jego życiowym hobby. Niestety, w przypadku Alcybiadesa zachodzi akurat to rzadkie zjawisko. Historia i tylko historia to jego słaby punkt. W ten punkt musicie uderzyć, inaczej wszelkie wasze wysiłki spełzną na niczym. Alcybiades nie będzie dryfował. Zanutujcie więc w punkcie drugim systemu WAB-u: „Dryf historyczny”.

Zmarkotnieliśmy.

— A toś nas pocieszył — mruknął Zasępa. — To się ładnie mówi: „Dryf historyczny”, ale żeby dryfować historycznie, trzeba przynajmniej coś wiedzieć...

— No, coś trzeba wiedzieć — rzekł Szekspir — ale to ułatwiają dyżurni. Ustanowi się dwu dyżurnych do każdej lekcji, którzy przygotowują Dryf, a reszta klasy ma spokój. Alcybiades dryfuje łatwo i nigdy wtedy nie pyta na stopnie. Tak więc dzięki instytucji dyżurnych osiągniecie, panowie, pełną swobodę ruchów i bezpieczeństwo. Dyżurni będą dryfować z Alcybiadesem, a wy zajmiecie się bardziej przyjemnymi rzeczami. Zanutujcie więc w punkcie trzecim: „Instytucja Dyżurnych”. Uprzedzam tylko, dyżurni muszą solidnie wykuwać temat, żeby nie dać się zepchnąć na boczny tor, ponieważ, jak zdążyliście chyba zauważyć, Alcybiades lubi przechwytywać inicjatywę, zapuszczać własnego Węża Morskiego i zmuszać młodzież do dryfowania po terenie nieznanym, najeżonym, że tak powiem, rafami podwodnymi i wybitnie niezdrowym dla młodzieży.



— A czy nie ma takiego sposobu, żeby się w ogóle nie uczyć? — jęknął Słaby.  
Szekspir spojrział na nas z wyraźnym obrzydzeniem.  
— Pierwszy raz widzę tak leniwy rocznik. Jak tak dalej pójdzie, to nasza sławna buda zejdzie na psy. Coś niecoś trzeba się uczyć, choćby dla higieny.  
— No, a jeśli Alcybiades zapyta mimo wszystko na stopnie, tak jak dziś zapytał Bema i Kocha?  
— Jeśli będziecie dryfować bez zarzutu, nie zapyta.  
— A jeśli jednak?...  
— Jesteście zabezpieczeni nawet na ten wypadek. Nie odkryłem wam jeszcze wszystkich kart. Rzecz zresztą nie w tym, by Alcybiades w ogóle nie pytał, ale w tym, żeby jego pytania nie były niebezpieczne i groźne. Otóż jego pytania nie będą dla was niebezpieczne i groźne po pierwsze dlatego, że będziecie zawsze wiedzieć, kiedy może zapytać. Macie przecież to zanotowane. Przypomnij kolegom, Ciamcia. Sięgnąłem po notes, przebiegłem szybko wzrokiem zapiski i wydukałem:  
— Uwarunkowanie typu meteorologicznego, pyta, gdy ciśnienie spada poniżej siedmiuset dwudziestu milimetrów słupka rtęci...  
— No tak — powiedziałem — ale skąd wiedzieć, kogo zapyta?  
— Właśnie tym zajmuje się szczegółowa część Sposobu NUPUM. Sprawa jest prosta dzięki rozszyfrowaniu systemu pytań Alcybiadesa.  
— To on ma system?  
— Niestety, tak. Przeważnie każdy stary gog ma system. System Alcybiadesa należy do szczególnie skomplikowanych, jednak udało nam się szczęśliwie go rozszyfrować.  
Zamieniliśmy się w słuch. Szekspir począł wyjaśniać:  
— Alcybiades dzieli nazwiska na cztery grupy. Do pierwszej zalicza nazwiska historyczne, do drugiej — nazwiska przyrodnicze, do trzeciej — nazwiska techniczne, a do czwartej i ostatniej — pozostałe. Najpierw pyta osobników z pierwszej grupy; kiedy skończy pytać pierwszą grupę, zabiera się do drugiej, potem do trzeciej i do czwartej...  
— A w jakiej kolejności pyta w poszczególnych grupach? Alfabetycznej?  
— Tak było początkowo, lecz kiedy trzydzieści lat temu rozszyfrowano ten sposób, Alcybiades wymyślił coś innego. Porządkuje nazwiska według ilości liter i zaczyna pytać od najkrótszych.  
— A jeśli nazwiska mają tę samą ilość liter?  
— Wtedy rozstrzyga ilość spółgłosek.  
— A jeśli mają tę samą ilość spółgłosek?  
— Wtedy dopiero rozstrzyga kolejność alfabetyczna. Musicie więc sporządzić listę i ułożyć nazwiska według kolejności. Jakie są u was nazwiska historyczne?  
Zastanawialiśmy się długo.  
— Dąbrowski — powiedziałem.  
— Dalej?  
— Chyba już nie ma.  
— Zimny i Pietrzykowski — odpowiedział Pędzel.  
— Jaki znów Zimny i Pietrzykowski — westchnął Szekspir.  
— A co, może nie sławni?! — zaperzył się Pędzel.  
— Alcybiades nie uznaje sław sportowych. Ruszcie dalej głową.  
— No, to już nikogo nie ma.  
— Tylko jeden Dąbrowski? — zdziwił się Szekspir. — Musicie mieć więcej.  
— Nie. Nie ma u nas ani Kościuszki, ani Kopernika! — wybuchnął Zasepa. — A w ogóle skąd możemy wiedzieć? Nie jesteśmy mocni w historii. Jakbyśmy byli mocni w historii, to byśmy nie potrzebowali Sposobu.  
— Zróbcie więc listę klasy — rzekł zrezygnowany Szekspir.  
Gdy lista była gotowa, przebiegł ją uważnie oczyma.  
— Macie osiem nazwisk sławnych — oświadczył. — Bem, Buczek, Czarniecki, Dąbrowski, Koch, Olszewski, Piłat i Żółkiewski.  
Słuchaliśmy z niedowierzaniem. Niektóre z nazwisk istotnie jakby kojarzyły nam się z kimś znanym, ale dlaczego inne są sławne, absolutnie nie mogliśmy zrozumieć.  
— Czy jesteś pewien, że to są nazwiska znane i historyczne? — zapytał Zasepa.  
— Tak.  
— I wsypy nie będzie?  
— Za kogo mnie masz? — rozżościł się Szekspir. — Czy myślisz, że każdy jest takim nieukiem, jak wy? Macie osiem nazwisk sławnych, i koniec.

— Myśmy nie słyszeli.  
— To nie ma znaczenia.  
— A ten facet Olszewski? Słowo daję, nasz Tynio Olszewski zdziwi się, jak mu powiem, że nosi sławne nazwisko.  
— Ten facet Olszewski wspólnie z facetem Wróblewskim pierwszy w historii skroplił powietrze.  
— Możliwe — odparł Zasepa — sprzeczać się nie będę.  
— Dziękuję ci — powiedział Szekspir. — Teraz te nazwiska trzeba uporządkować według systemu Alcybiadesa, tak jak powiedziałem. Zapiszcie chłopaków w kolejności, w jakiej będą pytani. Zapisaliśmy. Wyszła nam następująca kolejność: BEM, KOCH, Piłat, Buczek, Dąbrowski, Olszewski, Czarniecki i Żółkiewski.  
— Do licha — powiedział Zasepa — to się nawet zgadza. Przecież dziś byli pytani Bem i Koch! Szekspir uśmiechnął się dumnie.  
— Widzicie, że to działa bez pudła. Od razu można przewidzieć, kto będzie pytany w następnej kolejności.  
— PIŁAT i BUCZEK! — wykrzyknęliśmy.  
— Tak, Piłat i Buczek — powiedział Szekspir.  
Uporządkowaliśmy jeszcze według podanego klucza pozostałe nazwiska w grupie przyrodniczej, technicznej i ostatniej.  
— To byłoby wszystko — powiedział Szekspir wstając. — Życzę powodzenia...

## Rozdział XII

— Tak, panowie — powiedział rozgoryczony Zasepa, kiedy za Szekspirem zamknęły się drzwi — trzeba się zabrać do opracowania Dryfu historycznego. Rzecz jest, niestety, kłopotliwa, gdyż, jak się okazuje, nie można byle czego podsunąć takiej osobistości, jak Alcybiades.  
— Chciałeś powiedzieć takiemu staremu lisowi, jak Alcybiades — wtrąciłem. — Radzę się mieć na baczności, nie podoba mi się jego uśmiech.  
— Alcybiades nie jest lisem — rzekł Zasepa — jest starym, wyleniałym morsem.  
— Jeśli chodzi o historię, podejrzewam, że jest lisem. Zgadzam się, że starym i wyleniałym, ale lisem.  
— Lisem, który niechętnie ujawnia swoją lisowatość — rzekł Pędzel.  
— Nie — rzekł Zasepa — Alcybiades jest tylko dryfującym morsem, ale morsem, który nie idzie na byle jaką przynętę.  
— Na przyszłość radziłbym brać na przynętę coś w rodzaju ucha Jenkinsa — powiedziałem.  
— Panowie, ale co to za ucho?! — jęknął Słaby.  
— Właśnie. Nie można uzależniać swego losu od nieznanego ucha.  
— Jedyna metoda to zmuszać Alcybiadesa, żeby dryfował po wodach nam znanych — powiedział Zasepa.  
— Wydawać mu bitwę na naszym terenie i na naszych warunkach.  
— Tak jest! — Słaby i Pędzel podchwycili ochoczo hasło. — Na naszym terenie i na naszych warunkach!  
— Zgoda, panowie — wrzuciłem ramionami — ale jaki jest nasz teren? Czy on w ogóle istnieje?! Jakie są nasze wody? Obawiam się, że nie posiadamy nawet nędznej działki ani bajorka. Żeby dryfować historycznie, trzeba mieć po czym. My nie mamy. My w ogóle nic nie wiemy.  
— Panowie, my wciąż jeszcze nie wiemy, co to za ucho — jęczał Słaby.  
— Cicho, Słaby, daj już spokój z tym uchem — warknął Zasepa. — Od tego właśnie będą dyżurni, żeby się dowiedzieli. Proponuję nie upadać na duchu. Sprawa jest w gruncie rzeczy typu organizacyjnego. Proponuję, by na przyszłą lekcję dyżur objęli Pędzel i Słaby.  
— Dlaczego my?  
— Macie jeszcze świeże i nienaruszone siły — powiedziałem. — Siły Zasepy i moje wyczerpały się dzisiaj, na skutek podstępnej działalności Alcybiadesa, który zmusił nas do nieoczekiwanego i przykrego Dryfu.  
— Tak jest — potwierdził Zasepa. — To my byliśmy dręczeni podwiązką angielską i uchem Jenkinsa.  
— Ale co wymyślić?  
— Nic nie trzeba „wymyślać”. Musicie wziąć książkę i coś wyszukać z książki.  
Słaby i Pędzel skrzywili się z najwyższym obrzydzeniem na wspomnienie książki.  
— E, to może lepiej wrócić do Katona.  
Spojrzałem nie bez obawy na surowe oblicze Rzymianina.  
— Myślę — chrząknąłem — że to by nas sprowadziło na śliski temat... do rozważania cnót... a temat ten... hm... byłby raczej niewygodny w naszej klasie.  
— Niewygodny... nietaktowny i niezręczny — dodał, również chrząkając, Zasepa.

— Ciamcia ma rację — poparł mnie Pędzel. — To byłoby niebezpieczne. Należałoby wymyślić coś bezpiecznego.

— Mam sławnego wuja w Krośniewicach — odezwał się po chwili — może słyszeliście o Duninie-Borkowskim. Ma on historyczne hobby i prawdziwe muzeum w domu. Być może zechce nam pożyczyć jakąś kość lub żelastwo.

— To jest myśl — powiedział Zasepa. — Kiedy mógłbyś zorganizować tę kość?

— Postaram się pojechać do Krośniewic w najbliższą niedzielę. Pod warunkiem, że skombinujecie forszę.

— Gdzie są te Krośniewice?

— Koło Kutna.

— To za daleko, a co za tym idzie, za drogo — powiedział Zasepa. — Lepiej zakrzętnąć się gdzieś bliżej.

— Mam kuzyna numizmatyka — odezwał się Pędzel.

— Co to za diabeł?

— Zbiera stare monety — wyjaśnił Pędzel. — Ale rzecz w tym, że nie pożyczka.

— A skąd on je bierze... te monety?

— Kupuje. Niekiedy sam znajduje. Prowadzi bowiem prace wykopaliskowe w Instytucie Archeologii.

— Musisz się do niego wybrać — oświadczył stanowczo Zasepa. — Upoważniam cię do pożyczania.

— Powiedziałem, że nie pożyczę.

— Nieważne, czy on pożyczę, chodzi o to, żebyś ty pożyczę.

— Jak to? — zaniepokoił się Pędzel.

— Należy ukarać sknerstwo numizmatyka. Pożyczysz na dwa dni, a potem oddasz. Najlepiej użyć plasteliny.

— Nie rozumiem.

— Przylepiasz plastelinę pod podeszwę. W czasie przeglądania zbiorów strącisz niby przypadkiem monetę i nadeptujesz na nią butem. Moneta przylepia się do podeszwy. Udajesz, że szukasz, potem wyrażasz przekonanie, że wpadła do szpary w podłodze lub pod szafę. Żegnasz się i wychodzisz. Za drzwiami odlepiasz monetę z podeszwy.

Pędzelkiewicz słuchał wystraszony.

— Ja mam to zrobić? — wyjąkał. — Ja nie mogę...

— No, więc ja to zrobię. Pójdę z tobą do tego numizmatyka.

— Nie... nie...

— Nie możemy tego zrobić — wmieszałem się — to by nas wprowadziło na drogę przestępstwa. To są pomysły kryminalne.

— W takim razie ja umyłam ręce — obraził się Zasepa.

— Umyj. To ci dobrze robi. Zawsze masz brudne — rzekłem.

— Co takiego?!

— Uspokój się. Trzeba raczej wykombinować coś z numizmatykiem. Już wiem. Udajmy się do niego urzędowo.

— Urzędowo? Jak to rozumiesz?

— Jako członkowie kółka historycznego.

— Nie jesteś przecież w kółku historycznym.

— W ogóle nie ma w naszej budzie kółka — zauważył Pędzel.

Wzruszyłem ramionami.

— Jeśli nie ma, należy je założyć.

Spojrzeli na mnie zaskoczeni.

— Założymy kółko, oczywiście w ramach WAB-u — dodałem szybko — zaopatrzmy się w pieczęć i będziemy występować oficjalnie. To robi bardzo dobre wrażenie na wszystkich, nie wyłączając numizmatyków — powiedziałem.

— Oczywiście, najlepsze wrażenie robi na Alcybiadesie — zauważył Zasepa.

— Tak, najlepsze wrażenie robi na Alcybiadesie — skinąłem głową — także na Dyrze i Żwaczku.

Nie zwlekając udaliśmy się do Alcybiadesa i wprowadziliśmy go powtórnie w stan oszołomienia, oświadczając, iż założymy kółko historyczne i prosimy go o łaskawe objęcie opieki i patronatu. Wyraziliśmy następnie chęć posiadania własnej pieczęci oraz lokalu dla odbywania posiedzeń naukowych.

Lokal został nam natychmiast przydzielony przez zbudowanego naszą inicjatywą społeczną Dyra, jeśli zaś chodzi o pieczęć, to miała zostać zamówiona u grawera.

Poprosiliśmy wobec tego o wydanie nam przez szkołę zaświadczenia, że jako członkowie kółka historycznego prowadzimy badania naukowe i że szkoła prosi o udzielenie nam pomocy.

Z tym zaświadczeniem udaliśmy się do numizmatyka, kuzyna Pędzelkiewicza, w celu wypożyczenia odeń ciekawszych monet. Niestety, czekała nas niespodziewana nowina. Otworzyła nam drzwi zapłakana

niewiasta i oświadczyła, że pan Damian Obol-Pędzelkiewicz wyjechał z profesorem Michałowskim na poszukiwania archeologiczne do Egiptu, zbiory zaś numizmatyczne przekazał w czasowy depozyt Muzeum Narodowemu, gdzie prawdopodobnie będziemy mogli je obejrzyć.

Był to dla nas poważny cios, ponieważ pożyczanie monet z muzeum raczej nie wchodziło w rachubę. Muzea są pod tym względem „najbardziej sknerskie ze wszystkich skner” — jak się wyraził Pędzelkiewicz. W tej sytuacji sprawa Dryfu uległa dalszej zwłoce i kolejnych dwu delikwentów według listy musiało wyuczyć się lekcji o Egipcie. Ponieważ zależało nam, by umieli na medal, poddaliśmy ich surowej kontroli naukowej.

Przypilnowaliśmy sumiennie, by napełnili swoje szare komórki odnośną wiedzą aż po brzegi...

I tym razem system nie zawiódł. Okazało się, że obkuci delikwenci zostali spytani, a zasób ich wiedzy wywołał mały wstrząs psychiczny u Alcybiadesa. Zachęceni tym próbowaliśmy małego Dryfu i opowiedzieliśmy o wynikach naszych odwiedzin u numizmatyka i o jego niespodziewanym wyjeździe na poszukiwania archeologiczne z profesorem Michałowskim do Egiptu.

Niestety, w tym miejscu zaszedł przykry i nieprzewidziany wypadek. Alcybiades spojrzął na nas podejrzliwie i powiedział:

— Nie wiedziałem, że profesor Michałowski ma także zdolności nadprzyrodzone.

— Jak to?

— Że potrafi jednocześnie znajdować się w Egipcie i w Warszawie. Właśnie widziałem go wczoraj. Rozmawiałem nawet z nim.

Byliśmy zupełnie zdezorientowani.

— Czekajcie — powiedział Pędzel — ja wyjaśnię bliżej tę sprawę.

Istotnie wyjaśnił. Jeszcze tego dnia otrzymałem od niego telefon.

— Straszna wiadomość — wykrzyknął podniecony — cała moja rodzina jest wzburzona!

— Co się stało?

— Mój kuzyn Obol-Pędzelkiewicz nie wyjechał do Egiptu.

— A dokąd?

— Pojechał do znanego numizmatyka, doktora Kisłonia w Biłgoraju i próbował nakłonić go do sprzedaży jakiejś rzadkiej monety staroperskiej. Kiedy zaś doktor Kisłoń się wzdragał, zastosował metodę plasteliny.

— Metodę plasteliny?

— Tak, tę samą, do której namawiał mnie Zasepa. Niestety... to znaczy, chciałem powiedzieć, na szczęście dla sprawiedliwości doktor Kisłoń zauważył, iż mój kuzyn Obol lekko utyka, zaproponował więc mojemu kuzynowi zbadanie. Kuzyn zaczął się gwałtownie wymawiać i uciekać po pokoju zostawiając tłuste, matowe, zielonkawe plamy od plasteliny na lśniącej, świeżo wyfroterowanej tafli posadzki. Byłoby mu się zapewne udało umknąć razem z łupem, gdyby nie stara gospoia doktora Kisłonia, która zrozpaczona poplamieniem podłogi schwyciła mojego kuzyna za nogę, żeby mu zajrzeć pod podeszwę. No i wszystko się wydało.

— To okropna historia — powiedziałem.

— Nie koniec na tym — ciągnął łamiącym się głosem Pędzel. — Okazało się, że Obol nie ma już monety przy podeszwie. Doktor Kisłoń zameldował o wypadku milicji. Milicja zatrzymała Obola i próbowała dowiedzieć się od niego, co się stało z monetą. Obol udawał, że o niczym nie wie. Wtedy milicja wpadła na pomysł, żeby prześwietlić Obola promieniami Roentgena, i wiesz, co się okazało? Że Obol ma nieszczęsną monetę w łożądku. Musiał połknąć ją w przedpokoju. Kiedy wszystkie łagodne środki wydobywania monety zawiodły, poddano Obola operacji. Moneta nareszcie wróciła do swego prawowitego właściciela...

— A Obol? — zapytałem wstrząśnięty.

— Obola zabrano prosto ze szpitala do...

— Do więzienia?

— Nie, do drugiego szpitala, dla chorych psychicznie. Bo zdaje się, że nasz kuzyn jest... wiesz... nie tego... rozumiesz...

— Rozumiem. Numizmatyka to niebezpieczna rzecz.

— Tak, to niebezpieczna rzecz.

\* \* \*

Nazajutrz odbyliśmy naradę w kółku historycznym i doszliśmy do wniosku, że lepiej nie zadawać się z namiętnymi hobbystami, gdyż nigdy nie wiadomo, czy nie trafi się na groźnego maniaka.

— Nie ma innej rady, panowie — powiedziałem — musimy sami zabrać się do prac wykopaliskowych. „Ziemia kryje prochy i eksponaty historyczne” — oświadczyłem. — Gdyby nam się udało zdobyć taki eksponat, sprawa Dryfu byłaby rozwiązana.

Wszyscy uznali moją propozycję za godną realizacji. Po krótkiej wymianie zdań zdecydowaliśmy, że w najbliższą niedzielę udamy się w okolice Warszawy celem dokonania prac wykopaliskowych. Nie bardzo

wiedzieliśmy tylko, dokąd pojechać. Wreszcie Słaby przypomniał sobie, że w czasie wakacji był z rodzicami na wycieczce w Cz ersku i widział tam ruiny zamku. Wybraliśmy więc Cz ersk.

Piątek i sobotę poświęciliśmy na przygotowanie ekwipunku. Słaby skombinował krótką łopatkę saperską, ja zaopatrzyłem się w pazurki ogrodnicze, Zasepa przyniósł starą szuflę do węgla. Pędzel wystarał się o wałówkę i rowery.

W niedzielę rano z plecakami wypełnionymi ekwipunkiem nasz mały peleton wyruszył do Cz erska. Brak treningu i zaprawy kolarskiej rychło zaczął dawać się nam we znaki, toteż po początkowym zrywie musieliśmy zwolnić tempo i do Cz erska przybyliśmy dopiero w południe. Aby nie popaść w kolizję z cerberem pilnującym wstępu do zamku, postanowiliśmy zrezygnować z wygodnego dojścia od strony kościoła i zaatakować obiekt od strony nie strzeżonej stromizny.

Ledwie powłócząc nogami, poczęliśmy drapać się na górę ciągnąc za sobą rowery. Ale w połowie drogi uznaliśmy, że najpierw należy się posilić, skoro czekają nas jeszcze ciężkie prace wykopaliskowe. Apetyt mieliśmy świetny i wkrótce pożarliśmy wszystkie zapasy.

Potem przez godzinę szukaliśmy właściwego miejsca. Najchętniej grzebalibyśmy koło wieży zamkowej, okazało się to jednak niemożliwe z uwagi na ustawiczne kręcenie się turystów. Próbowaliśmy więc grzebać w kilku miejscach za murem. Zasepa twierdził, że tutaj mieszkańcy zamku wyrzucali śmieci, jest więc szansa wygrzebania jakiegoś historycznego przedmiotu.

Niestety, nasze historyczne zamysły nie znalazły zrozumienia u przewodnika jakiejś wycieczki, który przepędził nas pod pretekstem, że niszczymy zabytek.

Próbowaliśmy rozpocząć działalność wykopaliskową w drugiej stronie góry, tam jednak wysłedzili nas jacyś piekielni harcerze. Nasze tłumaczenia tudzież okazywanie dokumentu stwierdzającego przynależność do kółka naukowego nie zdołały zmiękczyć ich kamiennych serc. Zażądano od nas pozwolenia konserwatora wojewódzkiego na prowadzenie prac badawczych. Rzecz jasna, nie mogliśmy się wykazać takim zaświadczeniem, wobec czego rozbrojono nas z narzędzi naukowych, oświadczając, że zostaną one przesłane kierownictwu szkoły.

Zażamani siedzieliśmy na zboczach góry, patrząc na piękny zachód październikowego słońca, gdy wtem z zadumy wyrwało nas beczenie kóz. Zbliżał się do nas niewielki człowieczek o czarnych, bystrych oczkach, w odświętnym garniturku, prowadząc z sobą na postronku dwie kozy.

— Panowie względem wykopalisk? — zapytał pozdrowiwszy nas przedtem uprzejmie.

— Czemu pan pyta? — spojrzeliśmy na niego podejrzliwie.

— Może mógłbym pomóc — odparł pocziwiec.

Milczeliśmy w rozterce, nie wiedząc, czy godzi się przyjąć usługi nieznajomego i czy nie kryje się w tym jakiś nieczy podstęp.

— Panowie mogą się swobodnie zwierzyć — ściszył poufnie głos. — Nieraz pomagałem już różnym studentom, badaczom i zbieraczom starożytności.

— Dużo ich tu przyjeżdża?

— Nie można narzekać — odparł. — Nawet niedawno był tu jeden profesor. I radził mnie się względem prawdziwości garnka, który wykopał.

— I co? — zapytaliśmy ciekawie.

— Niestety, musiałem z przykrością wyprowadzić go z błędu, był to bowiem garnek, który moja stara wyrzuciła w zeszłym roku.

— To znaczy, że trudno coś znaleźć naprawdę zabytkowego.

— Z tym jest gorzej, ale muszę panom powiedzieć, że rzadko kto odjeżdża stąd z pustymi rękoma.

— Nie rozumiemy.

— Na szczęście, ja tu jeszcze jestem — uśmiechnął się pocziwiec — pomagam, jak mogę.

— Jak pan może pomóc?

— A co panowie potrzebują?

Spojrzeliśmy na niego zaskoczeni.

— Pan coś wykopał? — zapytał z niedowierzaniem Zasepa.

— Czasem coś się trafi.

— Jak pan to robi?

— Mam tu kawałek pola pod samym zamkiem. Nieraz człowiek idzie za pługiem, skowronek śpiewa, a tu coś brzęknie pod lemieszem, proszę panów. Patrzę, miecz wyorałem albo hełm zardzewiał.

— I mógłby pan nam coś takiego odstąpić?

— Czemu nie? Panowie pozwolą, może coś wybierzemy.

Pocziwiec zaprowadził nas do pobliskiej chaty. Tu zeszliśmy do małej piwniczki. Gospodarz otworzył skrzynię pełną starego żelastwa, skorup i kości.

— Może to by się panom nadało? — zapytał wyciągając złamaną podkowę. — Jest to podkowa króla Augusta Mocnego Sasu.

— Skąd pan wie?

Człowiek uśmiechnął się łagodnie.

— Mój przodek był kowalem w Czersku. Raz przejeżdżał tędy król August Mocny. Jak wiecie, król ten miał niedźwiedzią siłę w łapach i zabawiał się łamaniem podków. Otóż wszedł ten król do naszej kuźni i połamał wszystkie podkowy, jakie wtedy mieliśmy na składzie. Ta jest ostatnia, która mi jeszcze została. Trzysta złotych — opowiedział, wręczając nam eksponat.

Spojrzelśmy zakłopotani. Aczkolwiek mieliśmy wielką chrapkę na tę podkowę, cena przekraczała nasze możliwości.

— Wolelibyśmy coś bardziej starego — chrząknął Zasepa.

— Rozumiem — odparł potomek kowali i podsunął nam na dłoni mały, żółtawy przedmiot, który po bliższych oględzinach okazał się zębem.

— Może to by panom odpowiadało? Ząb trzonowy Władysława Hermana.

— Naprawdę? — spojrzeliśmy nieufnie na eksponat. — Taki żółty?

— Władysław Herman nie dbał o higienę jamy ustnej — wyjaśnił pocziwiec.

— Ale Władysław Herman nie mieszkał chyba w Czersku — zauważył nieśmiało Pędzel — więc skąd pan?... On miał przecież zamek w Płocku.

— Słuszna racja. Władysław Herman siedział w Płocku, ale raz do roku przyjeżdżał do Czerska na kontrolę państwową. Kiedyś w czasie takiej kontroli zabolał go ząb. Nie było w okolicy żadnego dentysty, więc wezwali kowala, mojego przodka, który miał szczęśliwą rękę do bolących zębów. Osobliwie do trzonowych. Więc przyszedł z obcęgami do księcia, raz-dwa i było po wszystkim. Władysław Herman nawet krzyknąć nie zdążył. W dowód łaski pozwolił zachować mojemu przodkowi ten ząb na pamiątkę.

— Ale czy to jest na pewno ten ząb? — zapytałem pełen wątpliwości.

— Chwali się panu przezorność naukową — powiedział pocziwiec. — Jeden profesor też nie wierzył, więc pożyczyłem mu ten ząb, jak uczeni zaglądali do grobu Władysława Hermana w Płocku. Wtedy okazało się, że księciu brakuje zęba trzonowego w lewej szczęce dolnej. Profesor przymierzył wtedy ten ząb i okazało się, że pasuje jak ulał. Naukowo zostało, proszę panów, zbadane i zaświadczone. Pięćset złotych. Taniej nie obleci.

— Wolelibyśmy coś większego — powiedziałem, żeby wycofać się z honorem.

— Mam piszczel Szweda. Jako że zwyczajny rajtar był, tylko pięćdziesiąt złotych. Rzepka kasztelana Zbigniewa z Czerska już kosztuje siedemdziesiąt pięć. Biodro wojewody Sieciecha oddam za sto złotych. Czaszki Jadźwingów po trzydzieści, jak leci, bez różnicy.

— Chyba raczej weźmiemy coś z rynsztunku — powiedział Zasepa.

— Błachy rycerskie od pancerzy odstąpię od stu złotych wzwyż. Hełmy są drogie... i tylko w kawałkach.

— Może pan ma miecze?

— Wszystka broń, miecze, mizerykordie, kopie, łuki i kusze, halabardy i rohatyny już rozkupione przez młodzież, nowych jeszcze nie wyorałem... panowie pofatygują się w listopadzie, jak jesienne orki głębokie będą skuteczniał.

— Nie możemy czekać — powiedziałem — to raczej pilne. Może pan jeszcze coś poszuka... coś historycznie pewnego i... i...

— I niedrogię. Rozumiem panów — pocziwiec spojrział na nas życzliwie. — To może miski Piastów — wyciągnął garść skorup glinianych z żółtą, błyszczącą polewą. — Pięć złotych za kawałek. To było rzeczywiście niedrogo, jednak skorupy wydały nam się mało efektowne. Rozglądałem się po skrzyni.

Uwagę moją przykuła siatka druciana.

— A to co takiego? — zapytałem.

— To jest misiura — odparł człowieczek — podoba się panu?

— Czy to coś od misia, czyli niedźwiedzia? — zapytał Zasepa.

Byłem zawstydzony jego niewiedzą i wstyd mi się zrobiło, co sobie o nas ten oblatany historycznie chłopiec pomyśli, on jednak nie wydawał się zgorzony ani nawet zdziwiony, lecz wyjaśnił spokojnie:

— Misiura, czyli misiurka, to część zbroi, proszę pana. Był to rodzaj czepka żelaznego z żelaznym, krótkim welonem, okrywającym także czoło, skronie, kark i ramiona. Zrobione toto było z żelaznych kółeczek na podobieństwo siatki. Ta misiurka, którą panowie widzą, jest, ma się rozumieć, zepsuta. Musiał jakiś siłacz w walce przeciąć ją mieczem i został tylko strzępek... ale za to oddam ją tanio. Zupełna taniocha, proszę panów. Sto dwadzieścia złotych.

Miny nam się wydłużyły zasadniczo. Mieliśmy wszyscy wielką chętkę na tę misiurę, ale wygórowana cena przekraczała nasze możliwości.

— Nie podoba się? — zapytał poczcwiiec, widząc nasze wahanie.

— Owszem, podoba się, tylko...

— No, to równe sto, jak dla panów. Dam zniżkę jako dla młodzieży uczącej się. Sto złotych to chyba niedrogo jak za taką misiurę.

— Owszem — bąknęliśmy — tylko, że my... pan rozumie.

— Ja wszystko rozumiem. Więc ile panowie mogą?

— Obawiam się, że niewiele — odparłem zaczerwieniony — trzydzieści może byśmy wyskrobali.

Poczcwiiec potrząsnął głową.

Zrobiło nam się głupio, że tyle czasu mu zajęliśmy.

— To my już pójdziemy... Do widzenia i przepraszamy... może innym razem... — chrząknął zmieszany Zasepa.

Ruszyliśmy do drzwi.

— Zaczekajcie, panowie — zatrzymał nas na progu — dogadamy się jakoś. Dacie te trzydzieści złotych i dynamko.

— Dynamko? — zdziwiłem się.

— To od światła — przy rowerku — pokazał na rower Pędzelkiewicza.

— Trudno dostać u nas takie dynamko... Przyda mi się.

Spojrzeliśmy ciężkim wzrokiem na Pędzelkiewicza. Pędzel przez chwilę toczył walkę wewnętrzną, nie mógł jednak wytrzymać naszego wzroku i załamał się.

— Niech pan weźmie — jęknął słabym głosem.

Poczcwiiec szybko wymontował dynamo, zainkasował trzydzieści złotych, po czym usłużnie owinął misiurkę w gazetę, przewiązał sznurkiem i wręczył Pędzelkiewiczowi.

— Panowie napiją się mleka na odjazdne. Mam tłuste, świeże mleko.

Spojrzeliśmy na kozy wałęsające się za oknem i wymówiliśmy się spóźnioną porą oraz brakiem czasu.

Uściskawszy dłoń poczcwięca, odjechaliśmy pośpiesznie.

— To się nazywa transakcja! — zasapał zadowolony Zasepa, gdy chata chłopca-historyka znikła za górą. — Czy wiecie, ile warta jest taka misiura w antykwaracie? Grube pliki tatusiów.

— Chcesz powiedzieć, że wykorzystaliśmy naiwność tego kmiotka? — poczułem niepokój sumienia.

— Och... to dla celów naukowych. Przecież nie wieziemy tego na handel — uspokajał mnie Zasepa.

Mimo to przez całą drogę gnębiły mnie wyrzuty sumienia, że postąpiliśmy sobie z tym poczcwięcem jak niecni handlarze kolonialni, którzy wyłudziali od tubylców złoto za nędzne świecidełka.

### Rozdział XIII

Nazajutrz w szkole przed lekcją historii ustawiliśmy misiurkę na katedrze, na specjalnej podstawce, jakiej używają kapelusznicy do wystawiania kapeluszy, aby wyglądała bardziej efektownie. Potem poszliśmy po Alcybiadesa do kancelarii i pomogliśmy mu zabrać podobiznę Hammurabiego, mapy Mezopotamii i Asyrii, ilustracje rzeźby babilońskiej oraz plansze przedstawiające pismo klinowe. Nie wspomnieliśmy mu ani słowem o naszej wyprawie do Czerska i zdobyciu misiury.

To miała być niespodzianka... Pędzelkiewicz i Słaby jako dyżurni wykuli nieco wiadomości o pierwszych Piastach, żeby móc zapuścić odpowiedniego Węża Morskiego i odwrócić uwagę Alcybiadesa od Babilonu i ciemnych spraw jego.

Dryf przygotowany więc był bez zarzutu i żadne znaki na niebie i ziemi nie zapowiadały nowej katastrofy.

Wszedłszy do klasy Alcybiades roztargniony jak zwykle nic nie zauważył w pierwszej chwili i z opuszczonymi na nos okularami skierował się prosto do katedry.

Usiadł i dopiero wtedy spostrzegł przed nosem niecodzienny eksponat. Wziął go do ręki, obejrzał z bliska, obmacał, a potem spojrzał dziwnie na klasę.

Patrząc mu w oczy uśmiechnęliśmy się dumnie.

Wreszcie zapytał:

— Co to jest?

Daliśmy pośpieszny znak Pędzlowi. Pędzel wstał, aby rozpocząć Dryf.

— To jest misiura, panie profesorze.

— Misiura?

— Tak, proszę pana. Przeprowadziliśmy małe prace wykopaliskowe w pobliżu Czerska.

— Wy? — oniemiał Alcybiades.

— Tak, proszę pana. „Ziemia gromadzi prochy i eksponaty historyczne...” To nasze hobby. Od dawna interesowała nas historia Piastów, zwłaszcza mazowieckich.

— I wy to wykopalście?

— No... niezupełnie. Przerwaliśmy nasze prace, bo nawinał nam się właśnie pewien poczciwy rolnik, który wyorał właśnie tę misiurkę podczas jesiennej orki i odstąpił niedrogo...

— Mówicie, że to było w okolicy Czerska?

— Tak.

— To smutne — rzekł Alcybiades.

— Czemu?

— Padliście ofiarą szalbierza.

— Sza... szalbierza? — wyjąkaliśmy drętwiąc.

— Szalbierza, czyli oszusta, który żeruje na naiwnych turystach i zbieraczach starożytności. Słyszałem o tym wydrwigroszu z Czerska. To nie jest misiurka.

— A co to jest?

— O ile mnie wzrok nie myli, jest to siatka ochronna pszczelarza.

Była to bardzo przykra chwila dla naszej klasy, a dla naszej sławnej paczki w szczególności, tym bardziej, że ten drań Babiniacz od razu zachichotał złośliwie.

— Czy pan jest pewien, panie profesorze? — zapytał rozgoryczony Zasepa. — To przecież wygląda tak staro i szlachetnie...

— Istotnie — odparł Alcybiades — jest to, jeśli się nie mylę, dość archaiczna siatka. Dziś używa się znacznie cieńszego drutu albo tworzywa sztucznego.

— Więc może ona jest też zabytkowa? — zapytaliśmy z nadzieją.

— W tej chwili jest tylko przestarzała. Jeśli jednak potrzymacie ją jeszcze sto lat, z pewnością nabierze wartości muzealnej — uśmiechnął się Alcybiades i spojrzął na zegarek. — Ale na razie proponuję wrócić do lekcji. Czasu mamy mało, a zgodnie z uchwałą rady pedagogicznej musimy równolegle do bieżącego materiału odrabiać zaległości z klas poprzednich.

Ogarnął nas popłoch. A więc wszystko na nic! Cały trud wyprawy i tak sumiennie przygotowany Dryf pójdzie na marne.

Zdawało się, że już nic nas nie może uratować od haniebnego powrotu do Babilonu i ciemnych spraw jego, gdy nagle w tym momencie... Otóż w tym momencie Pędzel objawił zimną krew i bystrość godną wychowanka naszej sławnej budy. Odstające zwykle uszy uniosły mu się do góry, a czoło zmarszczyło, co było niedwuznaczną oznaką, iż mózg jego zaczął pracować w tempie przyspieszonym.

— Czemu jeszcze stoisz, stoiku? — zapytał Alcybiades.

— Panie profesorze — Pędzel popatrzył na niego bohatersko — czy... czy to prawda, że tym, co nie chcieli pościć, Bolesław Chrobry kazał wybijać zęby?

Skamienieliśmy z wrażenia. Pędzel chyba oszalał. Czekaliśmy w napięciu, co z tego wyniknie. Alcybiades potarł łysinę i spojrzął na Pędzelkiewicza z troską.

— Czy tylko to zapamiętałeś z historii Piastów, mój synu?

— Nie tylko, proszę pana — odparł Pędzelkiewicz pospiesznie, jakby tylko na to czekał, i wyrecytował błyskawicznie wszystko, co wykuł na rachunek Dryfu: o planie zjednoczenia Słowian zachodnich, o wojnie z cesarzem niemieckim, o Ottonie Trzecim; a potem zaraz wstał Słaby i począł mówić o Grodach Czerwieńskich, o pokoju w Budziszynie, o koronacji Bolesława na króla, o organizacji drużyny rycerskiej, o grodach i podgrodziach. Beładnie trochę mówili, ale to robiło wrażenie. Potem przeszli do następców Bolesława Chrobrego i znów pytlowali jak najęci.

Alcybiades zszedł z katedry, stanął przy pierwszej ławce, założył ręce do tyłu, wyprostował się z normalnego pochyłu i patrzył na nas badawczo. Nie przypuszczaliśmy, że umie tak patrzeć. Jego wzrok przenikał nas jakby do głębi...

— Dosyć! — powiedział wreszcie.

Słaby i Pędzel umilkli przerażeni. Zapanowała pełna napięcia cisza. Baliśmy się, że Alcybiades nas przejrzał.

Ale on powiedział po chwili:

— To nie należy do lekcji. Odbiegliśmy od tematu. Ale dobrze... — zawahał się jakby. — Mógłbym się na to zgodzić... Tak, zdaje mi się, że mógłbym się na to zgodzić — powtórzył zamyślony. — Porozmawiajmy poważnie. I tak miałem zamiar porozmawiać z wami poważnie... Obserwuję was od dni siedmiu — wyjął notes i sprawdził — przepraszam... od dni ośmiu. I widzę zjawisko... Tak, wyraźne zjawisko, hm, nagłej, że tak powiem, aktywizacji moralnej, że wspomnę tylko wasze zachowanie w czasie owej nieszczęsnej wyprawy do Domu Młodzieży, wasz stosunek do Katona i... do mnie osobiście. Obserwuję także u was



fenomen aktywizacji naukowej, która — acz nie pozbawiona skłonności do dygresji — to przecież zdumiewa swą głębią i dociekliwością, że wspomnę tylko wasze poszukiwania archeologiczne oraz zagadnienia z epoki Piastów nurtujące tak żywo kolegów Pędzelkiewicza i Słabińskiego. Przyznam się, że od lat ponad trzydziestu nie byłem świadkiem tak gwałtownych, powiedziałbym: rewolucyjnych przemian w postawie młodzieży. Ta dociekliwość historyczna, która ujawniła się w waszych wątpliwościach, świadczy bezsprzecznie o zjawisku myślenia. Zjawisko to — nader rzadkie w szeregach moich uczniowskich legii — zwykłem cenić. Tak, zwykłem cenić. Dlatego... — tu Alcybiades zrobił denerwującą przerwę — dlatego pragnąłbym przedstawić wam pewną... propozycję. Co byście powiedzieli, gdybyśmy zawarli triumwirat?

— Triumwirat? — poruszyliśmy się niespokojnie.

— Tak, nie widzę przeszkód, dla których nie moglibyśmy zawrzeć triumwiratu. A prawda, nie przerabialiśmy jeszcze czasów rzymskich i na pewno nie wiecie, co znaczy triumwirat. Jest to umowa trzech mężów znakomitych, że będą się wzajemnie wspomagać w dążeniu do swych politycznych celów. Innymi słowy — pakt trzech.

— Trzech?

— Mam na myśli was, siebie i Katona.

Pędzel chciał o coś zapytać, ale Alcybiades ciągnął dalej:

— Nie, to nie żarty. Katon będzie naszym milczącym współnikiem i świadkiem. Będzie nam przypominał o zasadach naszego przymierza. Muszę wam powiedzieć na marginesie, że od dawna, od bardzo dawna nie zawierałem już z żadną moją legią przymierza — zapatrzył się zmęczonymi oczyma w okno — nie myślałem, że jeszcze kiedykolwiek je zawrę, ale sądzę, że z wami mogę je zawrzeć... I cóż wy na to?

Mieliśmy bardzo niewyraźne miny. Alcybiades przymrużył dziwnie oczy i nie mogliśmy dociec, co się za tym wszystkim kryje: żart? szaleństwo? czy podstęp?

Nim jednak zdołaliśmy coś wybąkać, Alcybiades wrócił znów do swojej przemowy:

— Zapewne jesteście teraz ciekawi, na czym będzie polegał nasz układ? Otóż ja w zamian za waszą dobrą kondycję historyczną będę postępował z wami nie jak ze zwykłymi uczniami, ale jak z wolnymi poszukiwaczami prawdy. Żadnych pytań na stopnie, żadnego kucia. Po prostu mała wymiana poglądów w przyjemnym, naukowym gronie, rozplątywanie wątpliwości, spacer i wycieczki historyczne... Czy wam to odpowiada?

Patrzyliśmy na siebie zdezorientowani. Rzecz jasna, to by nam odpowiadało, ale Alcybiades nie mówił chyba na serio... To jakiś żart z jego strony. A jeśli...

Niestety, nie znaliśmy go na tyle, by wiedzieć, kiedy żartuje. Wprowadzie w kartotece SPONY określono poczucie humoru Alcybiadesa aż na 0,7 leca, lecz któż może zaręczyć, że żartuje w tej właśnie chwili. Jeśli zaś nie żartuje?... — oblał nas zimny pot — bo jeśli nie żartuje i bierze sprawę na serio, biada jemu i nam! Przecież wszystko opiera się na Bluffie! Nieszczęsny człowiek! Czyżby uwierzył w ten Bluff? Wynikną z tego straszne rzeczy. Przecież w końcu musi się wydać, że my... Powinniśmy natychmiast wyprowadzić go z błędu, lecz któż się zdobędzie na odwagę, któż się ośmieli... To przerastało nasze siły.

Wierciliśmy się bezradnie na ławkach: ja, Pędzel, Słaby i Zasepa. Nie wiedzieliśmy, co robić. Nic o tym nie było w SPONIE.

Klasa natomiast nie miała tych wątpliwości. Bezmyślne, krótkowzroczne szczeniaki! Uznali to widać za wspaniałe zwycięstwo Sposobu, bo po chwili oszołomienia zewsząd podniosły się radosne głosy aprobaty. Ale zauważyłem, że Alcybiades patrzy tylko na naszą paczkę, co jeszcze bardziej zbiło mnie z tropu.

— Pędzelkiewicz — powiedział wreszcie — czy masz jakieś zastrzeżenia?

— Nie... skądże... — wyjąkał zmieszany.

— A więc zawieramy umowę?

— Za... zawieramy — odparł bezradnie, a cała klasa zawtórowała mu entuzjastycznym wrzaskiem.

— Zatem Katon świadkiem — rzekł Alcybiades. — Pakt uważam za zawarty. Teraz już możemy przystąpić do dygresji, jak wolni poszukiwacze prawdy. Rozważmy więc spokojnie twoją wątpliwość, chłopcze — zatrzymał się przed Pędzelkiewiczem. — Wyjąłeś Bolesława z głębin czasu, postawiłeś przed sobą i wydał ci się okrutny. Ale czy można tak robić? Człowiek wydarty ze swojej epoki jest niepojęty dla ludzi z innych epok, tak jak niepojęta jest ryba dla kogoś, kto nigdy nie widział wody. Kto nie widział ryby pływającej w wodzie, nie zrozumie jej kształtów, nie będzie wiedział, po co pęty, ogon, skrzela... Człowiek nie istnieje bez swego czasu. Gdybyś chciał sądzić z dzisiejszego punktu widzenia, najwięksi ludzie historii nie oparliby się twojemu sądowi. Pitagoras nie posługiwał się mózgiem elektronowym ani nawet maszyną do liczenia, ale czy to znaczy, że był głupszy od dzisiejszego kasjera? Kopernik nie wiedział, że istnieje planeta Neptun, o której wie dziś każdy uczeń, ale czy to znaczy, że nie był wielkim astronomem? Na wykwintnej uczcie u Wierzyńki najznakomitsi monarchowie jedli mięso z talerzy palcami. Czy to znaczy, że byli źle wychowani? Wasze postęпки też nie będą pojęte za tysiąc lat i przypuszczam, że fakt ciągnięcia za ucho kolegi przez

Babinicza, fakt, który ma obecnie miejsce w ostatniej ławce pod oknem, będzie uważany za przejaw barbarzyństwa młodzieży dwudziestego wieku.

Rozumiano to już dawniej. Weźcie choćby DON KICHOTA. Choć upłynęło ledwie sto lat od średniowiecza, którego obyczaj rycerskie chciał ten pocziwiec naśladować, i choć robił rzeczy normalne dla ludzi z tamtej epoki — dla swoich współczesnych był już tylko wariatem.

Będziemy się właśnie uczyć rozumienia ludzi dawnych czasów. Na tym polega jedno z głównych zadań historii.

Alcybiades dryfował wspaniale. Zrozumieliśmy, że tym razem ominął nas szczęśliwie Babilon i ciemne sprawy jego. Słuchaliśmy ciekawie, bez przymusu i tego nieznośnego napięcia nerwów, które psuje każdą lekcję. Bo to w ogóle nie była lekcja! To był z pewnością najwspanialszy Dryf, jaki kiedykolwiek widziała nasza sławna buda. Sam Szekspir osłupiałby z wrażenia. Alcybiades mówił sam i czasem tylko zapytał, co sądzimy na ten czy inny temat.

Mówił rzeczy, których nie było w podręczniku. Nikt tak do nas jeszcze nie mówił. Prawdopodobnie na skutek WAB-u brał nas za mądrzejszych, niż byliśmy, ale nam nie przeszkadzało, że nie wszystko rozumieliśmy. Było to, bowiem, jak zejście w nieznanne labirynty z przewodnikiem uzbrojonym w cudowną lampę. Raz po raz lampa bryzgała jaskrawym światłem i wtedy z ciemności wylaniał się kolorowy obraz. Czasem lampa przygasła i nic nie widzieliśmy, ale przeczuwaliśmy, że stoimy koło nieznanym drzwiom, że wystarczy wyciągnąć rękę, a namacamy je, otworzymy i oczom naszym ukaże się nowy, wspaniały widok... Czułem smak tajemnicy i urok nieodkrytego.

I to było także przyjemne. Obiecywałem sobie w duchu, że kiedyś tu jeszcze wrócę i poznam całą tajemnicę. Głos Alcybiadesa dochodził mnie jakby z daleka. Nie słuchałem go właściwie. Tak, to polegało na tym, że ja go nie słuchałem. Patrzyłem tylko na te obrazy odsłaniające się z głębi labiryntu, a głos dochodził mnie jak zza ściany albo jak z niewidzialnego głośnika — stłumiony i nie przeszkadzający. Bo Alcybiadesa nie było tam ze mną. Szedłem sam i chyba już bardzo dawno temu. Wtedy, kiedy ONI żyli. Zdawało mi się, że jestem jednym z nich, a ich czyny nie dziwiły mnie.

Widziałem ich gwałtownych i nieopanowanych, ucinających ręce, uszy, języki, wypalających oczy, uczujących, żarłocznych, mlaskających, jedzących z talerzy palcami, wkładających na sędzie ręce do ognia, ściskających rozpalone żelaza, pokutujących, modlących się, poszczących, wiernych do śmierci, ścierających się w śmiertelnych turniejach, w pojedynkach o cześć dam serca, szalonych, uciekających przed morowym powietrzem, które wtedy wcale nie znaczyło „morowe”, tylko wprost przeciwnie — złe i śmiertelne, bojących się duchów, czarów i zaklęć, diabła leśnego, Boruty, i diabła mokradeł, Rokity, idących z siekierą na niedźwiedzia, a samotrzeć na trzystu wrogów... Czyniących wszystko dobro i wszystko zło w sposób prosty. Podobnych do wielkich dzieci. Dorosłych, a wierzących w krasnoludki, olbrzymy, smoki i wróżki, we wszystkie dziwa, które dzisiaj zaludniają już tylko bajki...

Nagle światło zgasło i cały labirynt stłukł się z brzękiem szklanym w drobne kawałeczki. A każdy kawałeczek dzwonił. Zasepa trącił mnie pod żebro łokciem.

— Co z tobą? Spałeś?

— Skądże!

Z korytarza dobiegł mnie tupot i gwar uczniów wybiegających na pauzę. Pędzel związał mapy Mezopotamii i Asyrii. Słaby zdejmował plansze pisma klinowego, fotografie posągów babilońskich i podobiznę Hammurabiego. Znow wszystko było zwyczajnie... No, nie całkiem zwyczajnie. Odbywało się obłożenie katedry.

Alcybiades daremnie usiłował się wyrwać z pierścienia ciasno otaczających go chłopców. A kiedy mu się wreszcie udało przebić na korytarz, od razu uformował się spontaniczny pochód.

Najpierw niesiono mapy, potem podobiznę Hammurabiego, potem plansze z rzeźbami i pismem klinowym, potem teczkę Alcybiadesa, a na końcu ponad gęstwiną jasnych i ciemnych czupryn chwiała się dostojna łysina Alcybiadesa. Śmiem powiedzieć, że był to pochód triumfalny.

Pędzel i Słaby też maszerowali w tym pochodzie, szczęśliwi i nadęci z dumy, gdyż uznano ich za bohaterów zwycięskiego Dryfu.

Tylko jeden Zasepa pozostał na miejscu z bardzo niewyraźną miną.

— Czemu jesteś kwaśny? — zapytałem.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się z goryczą.

— Coś ci się nie podoba? Przecież Alcybiades dryfował.

— No, to co! Dryfował, a wszyscy razem z nim. Czy o to chodziło?

— Nie bardzo cię rozumiem. Przecież wszystko rozegrało się zgodnie z planem. Mówili tylko dyżurni — Pędzel i Słaby. O ile się nie mylę, nikt poza nimi specjalnie się nie wysiłał.

— Ale wszyscy słuchali. Czy ty widziałeś, jak słuchali?! Wszyscy. A po to przecież zastosowaliśmy SPONĘ, żeby nie słuchać, żebyśmy mogli być zwolnieni ze słuchania.

— To prawda — mruknąłem — ale chyba się zgodzisz, że to jednak nie była lekcja. Chyba widzisz różnicę... Słuchali, bo chcieli. Nikt ich przecież nie zmuszał, żeby słuchali. Mogli nie słuchać.

— No tak, mogli — westchnął — ale widzisz... to jednak nie było to... To nie było to, o czym myślałem — dodał wyraźnie rozczarowany.

## Rozdział XIV

Klasa nie bardzo przejmowała się tym, co myśli Zasepa. Dla klasy nastały teraz wielkie dni. Rozpoczął się sławny w dziejach naszej budy okres Wielkiego Asocjacyjnego Bluffu. Triumfalne pochody z Alcybiadesem, zwane przemarszami Ósmej Legii, trwały odąd nieprzerwanie. Utał się już cały ceremoniał. W poniedziałki, środy i piątki, w dni lekcji historii, spotykaliśmy się z Alcybiadesem jeszcze na drodze do szkoły i odprowadzaliśmy go zwartą gromadą aż do drzwi pokoju nauczycielskiego, przygotowując grunt do kolejnego Dryfu. Następnie pojawialiśmy się znowu na pauzie przed lekcją historii. Zabieraliśmy mapy, plansze, aparat projekcyjny i kasety z filmami, i maszerowaliśmy z Alcybiadesem do klasy. Pochody te budziły sensację w szkole, gdyż żadnego z profesorów tak nie odprowadzano. Z chwilą, gdy Alcybiades przekraczał próg klasy, popadał od razu w błogie oszołomienie wynikające z działania Haszyszu ciszy.

Zanim odurzenie mijało, przystępowali do działania Stoicy. Stoikami Alcybiades nazywał żartobliwie uczniów, którzy wstawali do odpowiedzi. Przenieśliśmy tę nazwę na dyżurnych działających w ramach systemu NUPUM. Z biegiem czasu instytucja Stoików wykształciła się i okrzepła, a ich obowiązki uległy naukowemu sprecyzowaniu. Prócz wyuczenia się bieżącej lekcji, do ich obowiązków należało przygotowanie tematu i materiałów do Dryfu.

Ponieważ klasa liczyła czterdziestu chłopca, a efektywnych lekcji było około dziesięciu w miesiącu, gdyż dwie godziny zajmowały nam wycieczki historyczne, z prostego rachunku wynikało, że każdemu z nas zagrażał dyżur stoicki tylko raz na dwa miesiące. Na tym polegał błogosławiony zysk systemu NUPUM. Przygotować się tylko raz na dwa miesiące! Czy może być coś wspanialszego?!

Co prawda należało się przygotować gruntownie, gdyż obok instytucji Stoików działała instytucja dyżurnych kontrolerów, którzy sprawdzali stan przygotowania Stoików, ale wyspy nigdy nie było. Zresztą sam Alcybiades ułatwiał nam zadanie.

Po zapuszczeniu Węża Morskiego Stoicy dryfowali jeszcze parę minut, póki Alcybiades nie chwycił przynęty. Potem przez jakiś czas dryfowali wspólnie z Alcybiadesem, prowadząc odpowiednią dyskusję, a wreszcie Alcybiades zaczynał płynąć sam, a myśmy słuchali. Na końcu zawijał do jakiejś bezpiecznej przystani, a ten jego Dryf końcowy dostarczał nam zwykle materiału wyjściowego do następnego WAB-u. I tak tworzył się dość systematyczny łańcuch naukowych Dryfów, ku obopólnemu zadowoleniu. Trzeba przy tym zaznaczyć, że Alcybiades sumiennie wywiązywał się z umowy i nie wrywał nikogo do odpowiedzi. Wystarczyło mu, że Stoicy zgłaszali się sami. Tak, że nawet dodatkowe zabezpieczenie według klucza do nazwisk podane przez Szekspira okazało się zbędne. Bez niego byliśmy bezpieczni i wolni.

Ale nie bezpieczeństwo i wolność najbardziej nas cieszyły. Niebawem zaczęło nas pasjonować samo stosowanie SPONY i wszystko, co się z nią łączyło: te pochody i przyjaźń Alcybiadesa, i lekcje nigdy nie nudne, i różne inne rzeczy, o których przedtem nie myśleliśmy.

Okazało się bowiem na przykład, że stosowanie SPONY wywołało daleko idące skutki, nie tylko w nas samych i u Alcybiadesa, ale i, co dziwniejsze, u Ciała gogicznego. Nasze ostentacyjne manifestacje uwielbienia dla historii i Alcybiadesa, nasze żywiołowe, triumfalne pochody nie mogły pozostać nie zauważone i wywołały u pozostałych gogów zrazu zdziwienie, a potem różne komentarze i przypuszczenia. Niebawem do naszych uszu zaczęły dochodzić pierwsze na ten temat plotki.

— Dla mnie sprawa jest prosta — miała powiedzieć pani Kalino. — Myślę, że panu dyrektorowi udało się trafić do serca młodzieży.

— Mnie? — zdziwił się zaskoczony Dyr.

— Należy myśleć logicznie. Zmiana w klasie ósmej A nastąpiła bezpośrednio po rozmowie, jaką pan odbył z najgorszymi elementami tej klasy w gabinecie.

Pan Żwaczek i Dziadzia uśmiechnęli się w tym miejscu gorzko i sceptycznie, a Dyr chrząknął:

— Ale czemu ta zmiana dotyczy tylko historii?!

— Pan Dyrektor obudził w nich wtedy kult tradycji — odparła pani Kalino.

— Sądzi pani? — Biedny Dyr nie był wcale przekonany.

— Ja myślę, że to objaw hormonalny — rzekł biolog, pan Dendroń. — W wieku przejściowym młodzież poszukuje obiektów uwielbienia.

— Sądzi pan, że znalazła je właśnie w naszym szanownym koledze Misiaku? — zaśmiał się pan Nierucha i obrócił się do pani Kalino. — Nie zdziwiłbym się, gdyby pani stała się przedmiotem uwielbienia tych smarkaczy, ale pan Misiak?!

Pani Kalino zarumieniła się.

— Dlaczego? Pan Misiak to przecież uroczy człowiek.

Dziadzia Ejdziatowicz dla odmiany podejrzewał podstęp.

— Niech się pan strzeże — uprzedzał przy każdej sposobności Alcybiadesa — węższą tu nieczystą historię. To jest zasadzka czwororęcznych. Przygotowują panu jakiś brzydki kawał.

Jeśli chodzi o naszego wychowawcę, pana Żwaczka, to obserwował nasze triumfalne pochody z coraz bardziej ponurą miną. Zaniepokojony ciszą, jaka panowała na lekcji Alcybiadesa, ilekroć przechodził koło naszej klasy, przystawał i nasłuchiwał. Kiedyś nie wytrzymał nerwowo i zajrzał. Zajrzał i osłupiał. Ujrzał całą klasę pogrążoną w dziwnej hipnozie oraz Stoika biegle wyrzucającego z siebie lawinę wiadomości na temat aktualnego Dryfu.

— Pan do mnie, panie kolego? — zwrócił się do niego uśmiechnięty Alcybiades.

Żwaczek zmieszał się.

— Myślałem, że nikogo nie ma — bąknął i przepaszając wycofał się szybko.

Chemik Farfala skwitował całe zjawisko jednym słowem: „Błazeństwo”. Pewnego razu wdepnął jednak przez roztargnienie na zebranie naszego kółka historycznego i od tego czasu nie mówił już o błazeństwie, lecz poszukiwał nowych teorii.

— Już mam! — wykrzyknął kiedyś, wchodząc do kancelarii.

— Co? — zapytał Dyr.

— Penicylina!

— Co takiego? — osłupiał Dyr.

— Fleming, odkrywca penicyliny, otrzymał ją przypadkiem, można powiedzieć: niechcący, przez zanieczyszczenie kultury bakterii jakąś nieznaną pleśnią. Nauka zna takie wypadki, gdy z najmniej spodziewanego surowca otrzymuje się cudownym trafem nowy, cenny preparat. Myślę, że to, co się zdarzyło koledze Misiakowi, można właśnie nazwać takim błogosławionym trafem pedagogicznym.

Niestety, brak wiadomości, jak reagował na te opinie Alcybiades. Należy sądzić, że zachował właściwe mu milczenie filozoficzne.

Do wypowiedzi zmuszono go dopiero przy uzgadnianiu stopni na radzie pedagogicznej przed końcem okresu. Choć nasze zachowanie uległo pewnej poprawie, to jednak stopnie z pozostałych przedmiotów wyglądały jeszcze fatalnie. Same lufy lub, jeśli wolicie, bomby. Na tym tle szczególnie bezwstydnie błyszcząły nasze stopnie z historii, jak róże wśród luf, wszystkie powyżej uczciwej normy. Piątki i czwórki. Był to, rzecz jasna, wielki wstrząs dla Ciała. Zażądano od Alcybiadesa wyjaśnień i dostosowania ocen do przyzwoitego poziomu. Natrafiono jednak na stanowczy opór.

— Proszę państwa — oświadczył ów mąż nieugięty, wstając. — Te stopnie to są pąki. Nie można przycinać pąków.

— Jakie pąki? — zapytano.

— Pąki odrodzenia — powiedział uroczyście Alcybiades podnosząc palec do góry. — Zaprawdę, powiadam wam, odrodzenie przyjdzie poprzez historię.

— Dlaczego przez historię?

— Ponieważ natrafiliśmy na klasę historyczną. Raz na trzydzieści lat zdarzają się takie klasy.

— Ależ to klasa matołów!

— Testy nie potwierdziły.

— W każdym razie łobuzów.

— Na historii są spokojni. Powiem więcej, za spokojni. Ta cisza mnie oszołamia jak haszysz i dezorientuje. Nauczyciele uśmiechnęli się na poły z goryczą, na poły rozbawieni.

— Może pan zdradzi, w jaki sposób osiągnął pan tak nadzwyczajne wyniki. Doświadczenia pedagogiczne należy upowszechniać.

— Zawsze miałem talent pedagogiczny — oświadczył Alcybiades z właściwym mu brakiem skromności.

— Dotychczas jednak jakoś panu nie wychodziło...

— To sprawa klucza. Kiedy się ma do czynienia z klasą historyczną, rzecz sprowadza się do klucza.

— Co to za klucz?

— Kluczem może być każdy z nas — oświadczył Alcybiades enigmatycznie. Zawsze miał skłonności do maksym.

Tym razem jednak maksymę uznano za chęć wykpienia się od poważnej dyskusji i próbę zaklajstrowania problemu żartem, oczywiście żartem nie na miejscu.

— Pan zaczyna już nawet żartować — powiedział Dziadzia. — Pan się zmienił. W pana wieku niebezpiecznie jest się zmieniać. Obym był złym prorokiem.

Dziadzia wyraził tu po raz pierwszy głośno opinię, która zaczęła urastać w szkole wokół osoby historyka.

Niewątpliwie u Alcybiadesa dały się stwierdzić wyraźne zmiany. Poza skłonnością do żartów i dziwną nieustępliwością na radzie pedagogicznej nabrał ruchliwości i ogólnie odmłodził. Pani Kalino podejrzewała nawet, że stosuje kurację gerowitanową. W każdym razie pochyłość jego wyraźnie się zmniejszyła. Dane zawarte w kartotece SPONY nie odpowiadały już prawdzie i wymagały częściowej rewizji. Kiedy przychodziliśmy do pokoju nauczycielskiego, nie zastawaliśmy go już siedzącego w kącie, lecz przechadzającego się zwawo na swych szcudłowatych nogach.

Drażniło to Dziadzię. Podobno kiedyś zapytał:

— Cemu pan się wciąż kręci jak bocian?

— Uległem skłonnościom perypatetycznym na skutek nawału myśli.

Dziadzia wytrzeszczył oczy.

— Pan myśli? — zapytał zdziwiony, jakby myślenie było wyłącznie domeną matematyków.

— Tak, ostatnio dużo myślę — powiedział Alcybiades poprawiając krawat, co było u niego czynem niepojętym.

Wprawdzie w dalszym ciągu zdradzał lekceważenie dla rzeczy tak błahej w perspektywie historii, jak moda, jednak należy odnotować fakt, iż sprawił sobie nową koszulę, szarą wprawdzie, lecz w optymistyczne różowe groszki, które wywołały mały szok estetyczny u pani Kalino.

Zachowanie Alcybiadesa, fakt, że nie nazywał nas inaczej, jak „moja Ósma Legia”, żarty, które stroił, oraz skłonności perypatetyczne, a nade wszystko niczym nie usprawiedliwione sukcesy pedagogiczne niepokoiły i denerwowały Ciało. Najbardziej chyba Żwaczka.

Faktem jest, że stał się nerwowy. Sądziliśmy zrazu, że wykorzysta którąś z godzin wychowawczych, by poruszyć sprawę naszego stosunku do Alcybiadesa, on jednak omijał starannie ten temat. Ale nie ufaliśmy mu. Podejrzewaliśmy, że chce mieć dowód. Wiedzieliśmy, że nie spuszcza nas z oka i czyha tylko na jakieś nasze potknięcie, by nas przyprzeć do muru i udowodnić nam błazeństwo.

Traktowaliśmy to jako wyzwanie i śmiało je podjęliśmy.

Jedno nas tylko wciąż gnębiło: ów miesięczny termin wyznaczony nam na uspokojenie wzburzonego Ciała. Jak już wspomniałem, wszystkie objawy świadczyły, że wskutek naszych posunięć Ciało przechodzi nowy okres niepokoju gogicznego. Toteż, gdy upłynął miesiąc, z duszą na ramieniu udałem się z Zasepą w charakterze pokornej delegacji do Alibaby, prosząc o przedłużenie terminu.

Alibaba wysłuchał nas niechętnie i powiedział:

— Zupełnie nie rozumiem kolegów.

Zdrętwieliśmy.

— Ależ dlaczego? — wykrztusił Zasepa.

— Koledzy wykonali już przeciwieństwo zadania.

— Jak to? — rzekłem zaskoczony. — Wydaje nam się, że gogowie zdradzają wciąż niepokój.

— Ach, to niewłaściwie określenie — odparł Alibaba. — Tym razem to zupełnie co innego. Obecnie mamy do czynienia z małym fermentem gogicznym i dezorientacją. Jest to jednak dezorientacja bardzo korzystna z punktu widzenia równowagi sił. Po prostu zachwialiście opinię, jakobyście byli nieprzemakalni dla uczuć wyższych tudzież niepodatni na uroki wiedzy, w każdym razie historycznej.

— Wydaje nam się jednak...

— Nie zwracajcie mi głowy! — zdenerwował się Alibaba. — Odmaszerować i trzymać dalej fason!

\* \* \*

Początkowo obawiałem się, że stosowanie Sposobu na dłuższą metę może okazać się nużące i nudne, a co gorsza, że wyjdzie na jaw sztuczność manifestowanych objawów. Ale nie. Stało się wręcz przeciwnie. W miarę rozwoju SPONY rzecz wyglądała coraz bardziej naturalnie. Czyżbyśmy naprawdę polubili Alcybiadesa?

Nie wiadomo, kiedy zabawa zaczęła nas wciągać jak gra. Poczęliśmy być dumni, że zmieniliśmy Alcybiadesa, a niepokój Ciała podniecał nas. Doszło do rzeczy nieprawdopodobnej, która wprowadziła Zasepę w stan głębokiej rozterki. Do Dryfu poczęli coraz częściej i liczniej zgłaszać się nowi i nie zaplanowani Stoicy. Po prostu — ochotnicy. Byliśmy zmuszeni w tej sytuacji podwoić liczbę dyżurnych. Każdy chciał być choć raz w miesiącu bohaterem Dryfu.

Zastanawiałem się nad przyczynami tego pędu. Niekiedy odnosiłem wrażenie, że klasie nie tyle już chodzi o SPONĘ, ile o pogńębienie Żwaczka.

Kółko historyczne zrobiło zawrotną karierę. Zaanektowaliśmy świetlicę i tam wyświetlaliśmy filmy, które miały jakikolwiek związek z historią. Obok normalnych pochodów na lekcję, sensację poczęły teraz budzić nasze pochody świetlicowe.

Na przedzie szli dyżurni uzbrojeni w zwinięte mapy jak w kopie, za nimi graficy z wykonanymi przez siebie rysunkami, planami i wykresami dziejowymi, potem Alcybiades w asyście bibliofilów i antykwariuszy. Bibliofile nieśli stare księgi wygrzebane w bibliotekach, antykwariusze — eksponaty wyłowione na strychach, wyżebrane u dziadków, wyłudzone od wujków numizmatyków, w ostateczności nabyte drogą wielkich wyrzeczeń w sklepach ze starożytnościami.

Na końcu szli filmowcy z kasetami i aparatem, a za nimi jeszcze tłum podnieconych mikrusów z klas młodszych.

Pochody te nabrały specjalnego smaku, odkąd poczęliśmy przygotowywać przedstawienia historyczne i udawaliśmy się do świetlicy w strojach rzymskich, trąbiąc w autentyczny róg bojowy (cornu). Rzecz jasna, maskarady podobne wywoływały powszechne zainteresowanie dla prac naszego kółka, które pęczniało z dnia na dzień od nowych członków.

Zasępa obserwował zawsze z kwaśną miną te, jak to określał, „wyglupy”. Jednego dnia, gdy pochód miał charakter szczególnie triumfalny, powiedział do mnie:

— Słuchaj, mnie się zdaje, że oni naprawdę lubią Alcybiadesa i historię.

— To nie jest sprzeczne ze Sposobem, o ile się nie mylę — odparłem.

— To jest idiotyczne — skrzywił się — nie po to przecież organizowaliśmy tę całą historię, żeby się pieścić z Alcybiadesem. To jest wyraźne odchylenie.

— Głupstwo, nie przejmuj się — powiedziałem. — Grunt, że są zadowoleni. Cel główny osiągnięty. Pozbyli się przygnębienia i ponurych myśli. Czy nie widzisz, że są wyraźnie odgięci.

— Odgięci? Nie, po prostu rozbawieni. To nie na tym miało polegać. Oni z tego zrobili zabawę. A że Alcybiades bawi się razem z nimi, więc go polubili jak dobrego wujka. Zastanów się, czy to jest normalna, zdrowa SPONAA? Myślę, że to zwyrodniało.

— Ja też tak myślę — powiedziałem.

Zasępa wyciągnął z kieszeni garść betelu.

— Żujesz?

— Żuję.

Przez chwilę zuliśmy w milczeniu betel i nasze rozterki. Wreszcie Zasępa powiedział:

— Najgorsze, że ściągnęliśmy na siebie uwagę innych gogów. Tego nikt nie przewidział, że stosując Sposób ściągniemy uwagę Ciała. Szekspir powinien uprzedzić... A właśnie, wiesz, że dziś rozmawiałem z Szekspirem?

— I co?

— Drań pytał mnie, czy jesteśmy zadowoleni.

— I co?

— Uśmiechał się szyderczo. Rozumiesz? On się uśmiechał szyderczo.

— Zdawało ci się.

— A w ogóle tego już nie można nazwać Sposobem. Oni powariowali.

— No, chyba trochę przesadzasz — rzekłem. — To prawda, że Sposób uległ pewnym modyfikacjom czy nawet, jeśli tak koniecznie chcesz nazwać, „zwyrodnieniom”, ale żaden plan nie może być sztywny i w czasie realizacji podlega życiowym zmianom, mój stary mówi, że u nich w Hucie...

— Nie obchodzi mnie, co twój stary mówi!

— Tracisz fason, Zasępa — powiedziałem. — Denerwujesz się, to niezdrowo.

— Przepraszam cię, to przez tych smarkaczy. Niepoważne szczeniaki. Czy warto było dla nich zdobywać SPONĘ? Nie potrafią utrzymać stylu. Nawet Słaby zrezygnował z treningu. Pytam go wczoraj: „Idziemy na basen?” „Nie” — odpowiada. „Czemu?” „Bo mam zebranie kółka, robimy model plastyczny zamku i podgrodzia”. — Zasępa z politowaniem stuknął się w czoło. — Czy po to namęczyliśmy się z tym łotrem Kickim, z tym mądrąłą Szekspirem, z tym idiotą Wątluszem, czy po to płaciliśmy drogo nerwami, czasem i gotówką, żeby teraz wkuwać historię?! To można i bez Sposobu.

— Mylisz się — powiedziałem zamyślony. — Oni by tego nigdy nie robili bez Sposobu.

— Ja w każdym razie nie będę patrzeć beczynnienie na tę degenerację. Muszę im otworzyć oczy.

— Dobrze — powiedziałem zrezygnowany — otwórz im oczy.

\* \* \*

Po kolejnej lekcji Zasepa odczekał, aż chłopaki odprowadzą w normalnej procesji Alcybiadesa, a następnie zabrał ich z powrotem do klasy. Tu nakreśliwszy ogrom starań, wyrzeczeń i trudów, jaki kosztowało zdobycie Sposobu, wyraził swój żal, że bractwo nie wykorzystuje jego możliwości.

— Dzisiaj miał mieć dyżur tylko Czarniecki, Wróbel, Olszewski i Pacan, tymczasem zabierali także głos Bem, Brzuchacz, Sadełko i Pędzel. Czy możesz mi powiedzieć, po co zabrałeś głos, Pędzel?

Pędzel zmieszał się.

— Ja? No, tak... tak sobie, dla sportu, nie wolno?

— Nie mówię, że nie wolno — przygryzł wargi Zasepa — ale przecież po to istnieje Sposób, żebyś mógł zająć się na lekcji czymś innym. Czy naprawdę nie masz nic ciekawszego do roboty niż wtrącanie się do Dryfu! Doprawdy dziwię się! Wyzwoliłem was z mocy Alcybiadesa, a wy nie potraficie korzystać z tego. Szekspir kpi sobie z nas i śmieje się szyderczo.

Zapanowała przykra chwila ciszy. Wszyscy mieli pretensję do Zasepy, jakby powiedział coś niestosownego.

— A ty sam — zwrócił się do niego Pędzel. — A ty sam, Zasepa, co robiłeś przez lekcję?

— Ja nic nie robiłem — odparł dumnie Zasepa — odpoczywałem, rysowałem trochę.

— Zgadza się — rzekł Pędzel — rysowałeś. Ale co?

— Co? No, nic...

— Nie. Ja widziałem dobrze. Rysowałeś hoplitów!

— Ja? Hoplitów? — zmieszał się Zasepa.

— Tak, najpierw rysowałeś hoplitów, a potem wszystkich żołnierzy od egipskich aż do rzymskich. Ze wszystkimi szczegółami. Schowałeś potem tę kartkę do kieszeni. Masz ją przy sobie.

— Musiałem rysować machinalnie...

— Możliwe, ale hoplici to też historia. Rysowałeś zresztą bardzo dokładnie. Skąd wiedziałeś? Czy ty przypadkiem nie wkuwasz?

— Oszalałeś! — rozżłościł się Zasepa.

Tego dnia do reszty stracił humor.

Po lekcjach wracaliśmy razem do domu.

— Wiesz, z Pędzlem jest naprawdę niedobrze — powiedział rozgoryczony. — Wczoraj chciałem się przejechać na motorze. Idę do Pędzla. Nie ma go. Pytam jego brata. I wiesz, co mi powiedział? Że łobuz pojechał do Płocka, żeby przygotować nowy Dryf. To już chyba przesada.

— Tak, mała przesada — powiedziałem.

— Oni są zarażeni. Mieli za małą odporność. Szekspir powinien nas uprzedzić o możliwości zarażenia się SPONĄ.

— Tak, Sposób nie był zupełnie bezpieczny — westchnąłem. — Wymagał stykania się z mułem wieków, wdychania zaduchu dziejów. To zrozumiałe, że pobrudzili się i nałykali stęchłego powietrza historii. Stąd te chorobliwe objawy. Ale nie martw się, to im przejdzie, jak tylko zrobi się ciepło i wylecą na świeże powietrze...

— Nie wolno nam czekać do wiosny — rzekł ponuro Zasepa. — Na wiosnę będzie za późno. Zatrucie może się okazać nieuleczalne...

— Nie bądź głupi — wruszyłem ramionami — tym lepiej dla nas. Możemy spokojnie ciągnąć z tego zatrucia zyski. Nam, tobie i mnie, przecież to nie zagraża. My nie jesteśmy zarażeni.

Zasepa spojrział na mnie podejrzliwie.

— Jesteś pewien, że nie jesteśmy?

— Oczywiście! — roześmiałem się głośno.

— Wydaje mi się, że kpisz — powiedział Zasepa.

— To ci się tylko wydaje. Chodź na basen!

\* \* \*

Na razie jednak nie było mowy o ciągnięciu większych zysków. SPONAA zabierała nam coraz więcej czasu, i trudno się temu dziwić. W tym przełomowym okresie to była nasza jedyna pociecha, nasze wytchnienie, nasz azyl. A okres był przełomowy. Jak słusznie przewidział Zasepa, gogowie nie poprzestali na jałowych komentarzach i dyskusjach, lecz przystąpili do działań ofensywnych. Poczęły się mnożyć oznaki, że zmieniają front.

Pierwszy próbny balon wypuścił Farfala. Na którejś lekcji, zamiast męczyć wodę elektrolizą, wygłosił przemówienie o tym, że przyszłość świata należy do chemii. Tylko ona potrafi rozwiązać w przyszłości problem żywności i odzieży dla nowych miliardów ludności. Mówił na przykład, że dzięki chemii będzie możliwe w przyszłości jedzenie asfaltu. Tymi sensacyjnymi tezami wciągnął nas podstępnie w dyskusję. Nie chcieliśmy strugać kretynów i wygłaszać nasze opinie. Farfala był zachwycony.

Niebawem poszły za tym inne zaskakujące posunięcia. Okazało się na przykład, że dostałem na okres trójkę z chemii. Było to dla mnie niepojęte, zważywszy, co zrobiłem z aparatem Kippa. Zdziwienie, a jednocześnie ciekawość mojego kronikarskiego pióra była tak ogromna, że odważyłem się zapytać Farfalę o powód tej wielkiej łaskawości.

Farfala powrócił do sprawy aparatu.

— Zniszczenie aparatu Kippa — powiedział — było dla nas wszystkich wielkim ciosem i stratą, jednakże mam zwyczaj brać pod uwagę motywy. Otóż motywy twoje, Ciamciara, zastanowiły mnie głęboko.

— Naprawdę, panie profesorze?

— Powiedziałeś wtedy, że byłeś ciekawy, co się stanie, kiedy przekręcisz kurek w drugą stronę. To przekonało mnie, iż masz duszę eksperymentatora. I stąd uznałem za wskazane wynagrodzić twoją ciekawość naukową stopniem dostatecznym.

— Dziękuję, panie profesorze — usiadłem wzruszony. To naprawdę miło dowiedzieć się czegoś przyjemnego na temat własnej duszy. Tak rzadko mnie to spotykało.

Z tych radosnych emocji wyrwał mnie, niestety, znów głos Farfali. Okazało się, że nie skończył jeszcze.

— Marcinie Ciamciara — powiedział — oczywiście stopień dostateczny nie jest miarą właściwą dla eksperymentatora. Dlatego mam nadzieję, że będziemy teraz pracowali nad wyższą miarą.

— Dziękuję, panie profesorze — rzekłem czując, że głos mi zamiera w krtani.

— Będę czuwał nad tobą. Mam zwyczaj otaczać eksperymentatorów szczególną opieką.

— Dziękuję, panie profesorze. — To już tylko zaśpiewała sobie moja smutna dusza, gdyż przerażone takimi perspektywami ciało moje zamieniło się w słupek.

Jako drugi zaktywizował się Dziadzia. Zaczęło się od tego, że kiedyś przychwycił Zasepę szyfrującego systemem dwójkowym na lekcji jakąś tajną wiadomość.

Wyjął mu z rąk kartkę i obejrzał. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu draki. Nagle ściągnięte brwi Dziadzia uniosły się ze zdumienia do góry.

— System dwójkowy Leibniza?! — wykrzyknął. — Skąd to znasz?!

— To z maszyn, panie profesorze.

— Z jakich maszyn?

— Jak byliśmy na wystawie kosmonautycznej w Pałacu Kultury, tośmy widzieli maszyny elektronowe, które przygotowują obliczenia lotu. One właśnie liczą tym systemem.

Dziadzia zbulwersowany swym odkryciem chodził przez chwilę, sapiąc, od okna do drzwi klasy, a nawet próbował jakichś manipulacji z parasolem, co czynił tylko wtedy, gdy już był bardzo podniecony. Wreszcie wdrapał się z powrotem na katedrę i ex cathedra wyraził swoje ubolewanie, iż będąc jednak istotami inteligentnymi, w co dotąd nie wierzył, nie próbujemy spenetrować wiecznie zielonych ogrodów matematyki.

Od tego czasu na każdej lekcji robił aluzje do naszej logiki i bystrości umysłu i nie przestawał się dziwić, iż nie korzystamy z właściwych umysłem wyższym rozkoszy. Zapewne nasza skromność i skrupowanie młodzieńcze nie pozwalają nam na to, lecz on nas wzywa do rozluźnienia mięśni i do swobodnych ruchów pływackich w kryształowym basenie wiedzy tudzież do rozkiełznania, jak się wyraził, instynktów matematycznych, które drzemią w nas nie rozbudzone i odrętwiałe. Zaofiarował się budzić je i trenować. W tym celu pewnego dnia wezwał do tablicy Zasepę i przez pół godziny męczył go wielomianami.

— Wyobraź sobie, że to nie algebra, a rebus, nie zadania, a gra i zabawa. Gdyż algebra jest w gruncie rzeczy sportem i grą dla umysłów ścisłych — mówił gimnastykując chłopaka aż do siódmych potów.

Następnie oświadczył, że Zasepa to nie oszlifowany brylant. Wprawdzie brak mu jest nomenklatury pojęć, ale w gruncie rzeczy nomenklatura jest rzeczą uboczną. Za tydzień spyta go z tego, a na razie widzi w Zasepię brylant do szlifowania.

Zasepa wrócił na ławkę blady, wyczerpany i wstrząśnięty odkryciem.

— Podpadliśmy — oświadczył. — Mówiłem, że smarkacze do tego doprowadzą. Teraz Dziadzia będzie mnie szlifował. To mnie wykończy.

\* \* \*

W pokoju nauczycielskim Dziadzia zaczął przebąkiwać o inteligencji klasy ósmej A oraz zwierzać się wstydliwie, iż obserwuje u nas „przełom matematyczny”.

Na to Farfala odparł, że on od dawna zauważał to samo w chemii. W kilka dni później zostaliśmy zaatakowani od strony języków obcych oraz biologii i fizyki.

Tylko pan Żwaczek i pani Kalino stali twardo na starych pozycjach. Żwaczek dręczył nas gramatyką i „cywilizował”. Zaznaczał jednak, że to długi proces przejść wszystkie stadia rozwojowe od neandertalczyka do ucznia klasy ósmej Szkoły im. Lindego. Utrzymywał, że na razie jesteśmy w epoce kamienia łupanego.



Pani Kalino ze swej strony zaznaczała, że nie może być mowy o żadnej zmianie kursu, póki nie odróżnimy Aten od anten, a monsunów od mopsów. Przez pewien czas chcieliśmy kupić na nich oboje Sposób, lecz wszystkie nasze zasoby pochłaniała SPONAA.

Przyduszeni przez panią Kalino, zamieniani co dzień w nicość przez pana Żwaczka, trzymaliśmy się jeszcze tylko dzięki SPONIE. Dlatego nie żalowaliśmy na nią czasu ani funduszków.

## Rozdział XV

Okres WAB-u trwał nieprzerwanie przez całą zimę i skończył się niespodziewanie w ów pamiętny piątek kwietniowy, kiedy makabryczna nowina poraziła nas wszystkich.

To pewne, że mimo ostrzeżeń Zasępy zlekceważyliśmy nadciągające niebezpieczeństwo. Zbyt dobrze wszystko się układało i czujność nasza uległa osłabieniu. A przecież można było przewidzieć, że to się może tak skończyć...

Tego feralnego dnia lekcja odbyła się normalnie, jeśli w ogóle można nazwać lekcją ten Dryf poświęcony Cezarowi. Na razie nic nie zapowiadało tak bliskiej katastrofy. Stoicy wprowadzili Alcybiadesa na tory namiętnej dyskusji w związku z ustrojami. Pamiętam, porównywaliśmy ustrój republiki rzymskiej z ustrojem Rzeczypospolitej szlacheckiej. Badaliśmy przyczyny zwyrodnienia i upadku obu ustrojów.

Kiedy zadzwieczał dzwonek i Stoicy rzucili się do tablicy, by zwinąć mapę imperium Cezara, Alcybiades powstrzymał ich ruchem ręki i powiedział:

— Mam dla was niespodziankę. Jutro nie będzie lekcji.

Oczywiście, natychmiast rozległ się radosny krzyk. Alcybiades znów wyciągnął rękę. W tym czasie wyćwiczył już u siebie ten Cezarowy ruch ręki, po którym zapadała natychmiast cisza.

— Sprawa jest tego rodzaju. Po prostu zdarzyła się nie byle jaka okazja do małej historycznej przechadzki. Dziś przyjeżdża do Warszawy wycieczka kółka historycznego ze Szkoły Podstawowej im. H. Kołłątaja w Ełku, nad którą mamy, jak wiecie, patronat. Pan dyrektor postanowił, że jedna z naszych klas oprowadzi gości w charakterze przewodnika po ciekawszych zabytkach i udzieli wyczerpujących wyjaśnień z zakresu historii. Oczywiście, wyjaśnienia muszą być udzielone przez kogoś, kto doskonale zna przedmiot, gdyż nie mamy do czynienia ze zwykłą wycieczką, ale z wycieczką młodych historyków. W tym stanie rzeczy zaproponowałem... Ósmą Legię. Macie te rzeczy świeżo ułożone w głowie, a jeden dzień laby dobrze wam zrobi.

W klasie zapanowała lodowata, idealna cisza, jaka prawdopodobnie istnieje tylko w przestrzeni kosmicznej. W istocie, wrażenie było na miarę kosmiczną i przekonałem się, że nie ma ani krzty przesady w tym, co pisarze mówią o „jezeniu się włosów na głowie”. Ja to odczułem na własnej skórze.

Alcybiades nie zauważył jednak niczego, bo spokojnie notując lekcję w dzienniku, mówił dalej:

— Niestety, pan dyrektor i pan Żwaczek sprzeciwili się ostro mojej propozycji. Wciąż jeszcze, widać, nie mają zaufania do waszego zachowania się i waszej wiedzy historycznej, obawiają się, że nie jesteście kompetentni i że możecie skompromitować szkołę.

Odetchnąłem z ulgą. Poczułem, jak moje serce poczyna znów uderzać, aczkolwiek teraz dla odmiany oblało mnie gorąco, o którym mówią pisarze, że oblewa niedoszte ofiary, w chwili, gdy mija je śmiertelne niebezpieczeństwo.

Stoicy z radosnym „hura!” podskoczyli do map, ale ręka Alcybiadesa z powrotem osadziła ich na miejscu.

Historyk zamknął dziennik, zdjął okulary i przetarł zmęczone oczy.

— Tak więc dyrektor uważa, że nie jesteście kompetentni i że możecie skompromitować szkołę, ale wy przecież macie u mnie dobre stopnie i chyba wiem najlepiej, co potraficie... Dlatego nie wycofałem mojej propozycji: uważam, że to jest dobra okazja, żebyście udowodnili wszem i wobec, co umiecie. Specjalnie mi na tym zależy. Dlatego poprosiłem pana dyrektora, żeby nam osobiście towarzyszył w tej wycieczce i na własne uszy przekonał się, co umiecie. Pan dyrektor ustąpił w końcu, postawił tylko jeden warunek, żeby towarzyszył nam także kolega Juliusz Lepki z klasy dziesiątej, który, jak słyszeliście zapewne, jest prymusem. Pan dyrektor ma zaufanie do niego i zabiera go z sobą w charakterze koła ratunkowego na wypadek, gdybyście zawiedli. Trudno się dziwić, że mu zależy na opinii szkoły w oczach gości z Ełku, ale my przecież wiemy, że to ostrożność zbyteczna. Katon świadkiem. A zatem przypominam. Jutro przychodźcie bez teczek. O dziesiątej wymarsz.

W pierwszej chwili byliśmy tak przerażeni, że chcieliśmy wyznać od razu całą prawdę, po prostu krzyknąć: „Niech pan tego nie robi! Nie wolno panu! To wszystko było Bluffem!” Ale głos nam uwiązał w gardle.

Alcybiades wyszedł z klasy, a my wciąż jeszcze trwaliliśmy w stanie osłupienia. Po raz pierwszy od miesiąca wyszedł sam.

Patrzyłem za nim jak za człowiekiem szalonym, który w swej niewiedzy sam wydaje się na zgubę i robi radosny krok prosto w przepaść.

Nie wiedziałem, kogo bardziej żałować — nas czy Alcybiadesa.

Pierwszy przyszedł do siebie Zasepa.

— Panowie, słyszeliście na własne uszy. Gog, zwany Alcybiadesem, oszalał. Czy ktoś z was czuje się na siłach uczestniczyć w tej samobójczej imprezie? — potoczył ciężkim wzrokiem po klasie, od jednego chłopaka do drugiego.

Wszyscy patrzyli przerażeni.

— Nie... ja nie mogę...

— Ja nie pamiętam... Skąd!

— Nic nie wiem, nie wkuwałem.

Nikt nie czuł się na siłach. I trudno się było dziwić. Tu przecież Sposób nie będzie działać. Dyr zacznie pytać po kolei, jak leci, albo na wrywki. Nawet, jeśli komuś zostały strzępy wiadomości z jego dyżuru stoickiego, to jaka gwarancja, że Dyr właśnie go o to zapyta? Bo że nie umieliśmy całej historii, o tym nikt nie wątpił, nie było nawet cienia wątpliwości, że nie znamy, bo niby skąd?

Zasepa przygryzł wargi i podszedł do Pędzelkiewicza z miną nie wróżącą nic dobrego.

— A ty, Pędzel? — zapytał.

— Co ja? — przestraszył się Pędzelkiewicz.

— Ty kochałeś przecież historię, czyż nie tak? Wrywałeś się do odpowiedzi... podskakiwałeś...

— Ja? Skądże... To był po prostu WAB — zaczerwienił się Pędzel.

— Wydawało mi się, że pęczniejesz od wiedzy.

— Słowo honoru, nic nie pamiętam. Mgła i ciemność. Nie odważę się za nic. Nie... dajże spokój, chłopie.

— A ty, Babinicz? — zapytał Zasepa.

— Odczep się. Ja od razu mówiłem, że Sposób jest do luzu i tylko napyta nam biedy.

— Ale wkuwałeś, draniu?!

— Wkuwałem tylko na początku i tylko historię starożytną. Ale kiedy Alcybiades zawarł z nami triumwirat, przestałem wkuwać. I nie brałem udziału w Dryfie. Pytaj tych, co brali. Może im zostało coś w głowie — uśmiechnął się złośliwie.

Wzrok Zasepy spoczął na Słabińskim.

— Ty, Słaby, dryfowałeś kiedyś na temat Zygmunta. Może byś coś powiedział... no... w związku z kolumną Zygmunta...

Słaby spojrzął na nas wystraszony.

— No, spróbuj stary — zachęcał go Zasepa.

— Zy-zygmunt był królem — wyjąkał Słaby, a potem jęknął: — Do licha, ale który jest na tej kolumnie? Tych Zygmuśków była cała paczka... Nie... nie... Nic nie wiem! Mam mętlik w głowie.

— Bem?

— Nic nie pamiętam.

— Koch?

— Nie robiłem tych rzeczy, żeby pamiętać. Robiłem tylko dla Dryfu, to nie nauka.

— Buczek?

— Ja o Zygmuntach nic... Ja nie brałem udziału.

— A w czym brałeś?

— W Piastach.

— Gadaj o Piastach. Chyba coś wiesz?

— Nie, zlituj się!

Zasepa zasapał wściekły.

— Więc jakże to, łajzy! Wrywaliście się przecież do Dryfu. Nigdy nie brakowało ochotników, co? A teraz nie pamiętacie?!

— Człowieku, nie uczyliśmy się! To był przecież tylko WAB.

— WAB?! Słuchaliście przecież Alcybiadesa z rozdziawionymi gębami! Jeden przez drugiego podskakiwaliście do dyskusji, pytani czy nie pytani, harowaliście w kółku, ślęczeliście nad księgami, kiśliście w muzeach, wdychaliście zaduch wieków, i co? Pytam: co? Nic nie umiecie? To po co to robiliście? Zapanowała pełna konsternacji cisza. Zasepa mówił dalej dławionym z pasji głosem:

— Gdybyście prowadzili spokojny Dryf, Alcybiades by nie popadł w taką zarozumiałość. Nie odważyłby się... Ale wy... Nieumiarkowane, nałogowe, powiedziałbym: rozpustne stosowanie Sposobu doprowadziło do sytuacji bez wyjścia. Ja ostrzegałem. Ja mówiłem, że to wyrodnieje. Ale wy nic, szaleliście dalej. To nas zgubiło.

— Przede wszystkim jego — zauważyłem.  
— Tak, to będzie cios dla Alcybiadesa. On się z tego nie podniesie.  
— Musimy znaleźć jakieś wyjście!  
— Jedno jest pewne! Nie wolno nam iść na tę wycieczkę. Trzeba wymyślić powód.  
— Ale co?  
— Zachorować! Wszyscy.  
— Nikt w to nie uwierzy.  
— Zachorować naprawdę. Ja mam sposób.  
— Nie, to nie pomoże. Wszyscy się domyślą, dlaczego zachorowaliśmy. To na jedno wychodzi.  
— Więc co?  
— Nic. Ale pójść nie możemy, to byłoby jeszcze gorzej.  
— Więc nie pójdziemy. A potem?  
— Potem? — zachrypiął Zasepa. — Nie będzie „potem”. To jest koniec. Koniec wszystkiego. Już nic nie pomoże. Zabiliśmy Alcybiadesa — dodał cicho.  
— Co ty opowiadasz?!  
— Wykończyliśmy go. Ale to nie moja wina, że to zaszło tak daleko, ja nie chciałem, to nie miało przecież tak wyglądać... Czego stoicie?! — krzyknął nagle. Miał straszne oczy. — Idźcie stąd!  
Cofnęliśmy się przerażeni. Zasepa patrzył na nas przez chwilę z jakąś nienawiścią, a potem wybiegł z klasy. Nikt się nie ruszył. Przez długą minutę panowała cisza. Słychać było tylko rzenie Cycerona za oknem.  
— Mów, co robić, Ciamcia — odezwali się wreszcie Pędzel i Słaby — czemu nic nie mówisz. Coś trzeba zrobić, bo to go może naprawdę zabić!  
— Nie wiem... zupełnie nie wiem, co robić — szepnąłem.  
Katon patrzył na nas nieruchomo z góry. Zdawało mi się, że jest to spojrzenie szydercze.

\* \* \*

Ze szkoły wybiegłem chyłkiem, bojąc się, że spotkam gdzieś Alcybiadesa... Resztę dnia spędziłem jak w półśnie. Starłem się sobie wmówić, że nic się nie stanie. Po prostu jeszcze jedna draka więcej. Ale wiedziałem, że to nie będzie zwykła draka. Im dłużej myślałem, tym bardziej jasno zdawałem sobie z tego sprawę. Wszystko od początku przesunęło mi się przed oczyma jak ponury film: cyniczne kupno Sposobu, pierwsze spotkanie z Alcybiadesem na ulicy, pierwszy Bluff, pierwsza lekcja i pierwsze oszustwo, oszukańcze pochody, fałszywe Dryfy, triumwirat — szalbierski pakt...

Czemu nie przeszkodziłem wtedy? To już nie należało do Sposobu.

Nie! Otrząsnąłem się gwałtownie. Potem to już nie było oszustwo! Przecież naprawdę lubiliśmy Alcybiadesa. To nie były oszukańcze pochody, to nie były fałszywe Dryfy. Byliśmy poszukiwaczami prawdy...

Ale z kolei przyszło mi na myśl, że jeśli naprawdę lubiliśmy Alcybiadesa, w takim razie powinniśmy wyprowadzić go z błędu co do naszych wiadomości. To było zdradzieckim świństwem udawać, że się umie. Gdybyśmy nie lubili Alcybiadesa, wtedy wszystko byłoby tylko sztubackim żartem, małą zgrywą, a tak było świństwem.

Zasepa nie zawinił. On uprzedzał, nie chciał przesadzać z tą miłością... ostrzegał... Ale ja nie przeszkadzałem nikomu, sam słuchałem Alcybiadesa na lekcjach, lubiłem go, do licha, a nie zdobyłem się na to, żeby powiedzieć mu prawdę!

W domu bałem się, że starzy zauważą i będą pytać, co się ze mną dzieje, a ja nie mogłem teraz z nikim rozmawiać. Powiedziałem więc, że sam sobie wezmę kolację i żeby mi nikt nie przeszkadzał, bo przygotowuję się do klasówki. Myślałem, że nie będę mógł spać, że w ogóle nie usnę, ale musiałem być zbyt wyczerpany, bo zasnąłem w końcu...

\* \* \*

...Rano powziąłem postanowienie. Pójdę do Alcybiadesa i wszystko powiem. Uprzedzę go. Niech odwoła wycieczkę. Albo niech dadzą kogo innego do oprowadzania tych z Ełku. To będzie wstrząs dla starego, ale lepiej, jak mu powiem. Tak będzie uczciwiej...

Dzień zapowiadał się słonecznie... Przez noc rozwinęły się wszystkie pąki na drzewach ulicznych i zakwitły prymule na skwerze. W szkole przekonałem się ze zdumieniem, że nie tylko ja przyszedłem. Przyszli także Zasepa, Pędzel i Słaby. Alcybiades od razu nas zawołał do siebie. Był uśmiechnięty i odświeżony.

Włożył koszulę w optymistyczne groszki i... rzecz niezwykła! — wyprasował spodnie. Nie garbił się zupełnie.

— Dlaczego przyszło was tylko czterech? — zapytał.

— Reszta klasy zachorowała, panie profesorze.

Nie przeraził się zbyt.

— Wasza czwórka hultajska mi w zupełności wystarczy — powiedział — wy umiecie najlepiej. Wiem, że to od was się wszystko zaczęło. Wyście pokochali mnie pierwsi. Pamiętacie, jak odprowadziliście mnie w ten dżdżysty dzień października...

Poruszyłem się niespokojnie. Powinienem być teraz mu wszystko wyznać, ale głos mi odmówił posłuszeństwa.

Trąciłem łokciem Zasepę, ale on uśmiechnął się tylko.

— Nie bój się nic — szepnął.

— On, widzisz, umie historię — dodał cicho Pędzel. — Udawał tylko.

— Naprawdę, Zasepa?

— Tak, wszystko umiem, udawałem tylko. Słaby też umie.

— Nie! Nabijacie się ze mnie! — krzyknąłem. — Nie możecie nic umieć.

— To prawda — przyznali — nic nie umiemy, żartowaliśmy tylko, ale to nic, mamy Sposób.

— Sposób?

— Tak, nowy Sposób. Szekspir sprzedał nam „Sposób na wycieczkę”.

Ostupałem. Chciałem zażądać bliższych informacji, ale właśnie w tej chwili zbliżył się do nas Szekspir z szyderym uśmiechem.

— Nie bójcie się. Ja wam wszystko podpowiem.

Wyprowadzono nas na dziedziniec. Stała tam już gromadka tych szczeniaków z Ełku. Obok Dyr. Z drugiej strony Żwaczek. Więc i on. Kicki uśmiechał się złośliwie w oknie. Nie tylko on. Cała szkoła przyglądała nam się z okien. Szekspir mrugnął do dziesiątków porozumiewawczo.

Zauważyłem to.

— On nas nabiera — szepnąłem zdenerwowany do Zasepy. — To jego zemsta! Nie wierz mu. Mrugał do swoich.

— Nie bój się — odparł Zasepa. — On ma tylko taki tik.

Zakręciłem się nerwowo. Za wszelką cenę chciałem zyskać na czasie.

— Może najpierw odegramy „Przebudzenie Afryki”? — zaproponowałem Dyrowi. — Ci z Ełku nie widzieli jeszcze tej sztuki.

Ale w tej samej chwili Szekspir szepnął coś poufnie do ucha Dyrowi i Dyr spojrzał na mnie groźnie. Pewnie Szekspir powiedział, jak go porwaliśmy... Wiedziałem już, że jest przeciw nam. Znów zacząłem namawiać Zasepę, żebyśmy lepiej uprzedzili Alcybiadesa, ale Zasepa nie dał się przekonać. Wierzył Szekspirovi.

Zwróciłem się więc w tej sprawie do Pędzla i Słabego, ale oni dowcipkowali tylko i nie chcieli mnie słuchać.

Zauważyłem, że niosą Katona:

— Po co go zabieracie?

— Podarujemy to truchło tym z Ełku.

— Przecież to pamiątka.

— Lepiej nie mieć takich pamiątek — szepnęli — świadków zbrodni usuwa się.

— Za dużo widziałeś stary, co? — Pędzel przytknął Rzymianina w odłupany nos.

— Co na to powie Alcybiades? — patrzyłem na nich zgorszony. Ale oni zupełnie nie brali tego pod uwagę.

Zrozumiałem, że mogę polegać wyłącznie na sobie. Całą drogę na przystanek autobusowy myślałem, co robić.

Kiedy autobus nadjechał, udałem, że nie mogę wsiąść.

— Mam atak, chyba ślepa kiszka! Kłuje mnie w boku!

— Zostawcie go — powiedział Żwaczek — powiemy milicjantowi, żeby wezwał pogotowie. My nie możemy się spóźnić z powodu ślepej kiszki Ciamciary.

Mogłem się spodziewać, że nie oszukam Żwaczka. Widząc, że naprawdę chcą odjechać beze mnie, wskoczyłem w ostatniej chwili na stopień.

Wysiedliśmy na Miodowej i poszliśmy na plac Zamkowy. Było tam już dużo turystów z przewodnikiem.

— Co to za kolumna? — zapytał Dyr pokazując na pomnik Zygmunta. — Może ty, Zasepa, wyjaśnisz kolegom z Ełku.

— To Kolumna Zygmunta — odpowiedział Zasepa.

— Którego Zygmunta?

Zasepa obejrzał się na Szekspira. Szekspir przyłożył dłoń do ust i syknął.

— Zygmunta Starego — powiedział Zasepa.

— Jak to? — uśmiechnął się Żwaczek. — Starego? Dlaczego mówisz: „Starego”?

— Bo przecież jest stary.

Spojrzałem na Alcybiadesa. Nic jeszcze nie pojmował. Patrzył szeroko rozwartymi oczyma na Zasępę. Wszyscy dookoła poczęli się śmiać. Najgłośniej śmiali się ci turyści z przewodnikiem. A uczniowie z Ełku trzymali się za brzuchy.

— O Wazie słyszałeś? — zapytał dyrektor.

— Tak.

— Co możesz powiedzieć?

— Służy do zupy — usłyszałem zdradziecki szept Szekspira.

— Służy do zupy — odparł głośno Zasepa.

Alcybiades oparł się ciężko o kolumnę. Dyr wymienił ze Żwaczkiem znaczące spojrzenia.

— Może ty powiesz kolegom z Ełku — Dyr wskazała na Pędzelkiewicza — co to za pomnik tam widać na Podwalu?

— To Kiliński!

— Doskonale. A za cóż mu wystawili pomnik?

— Bo robił dobre buty — usłyszałem syk Szekspira.

— Bo robił dobre buty, panie dyrektorze — powiedział Pędzel.

— Nie, mój kochany — wycedził dyrektor — za dobre buty nikomu jeszcze u nas nie wystawiono pomnika. Właściwie nie wiadomo czemu, bo warto by było... Może więc powiesz coś o patronie naszych pupilów z Ełku, Kołtąju.

— Kołtąj? To chyba marka mydła.

— Ależ ten Hugo...

— Tak, Wiktor — wybębnił Pędzel. Wszystko mu się już pomieszało.

Nauczyciele umilkli ze zgrozy. Alcybiades ocierał czoło chusteczką.

— Niech pan dyrektor spyta Pędzelkiewicza coś o Bolesławie Chrobrym — powiedziałem, żeby ratować sytuację. — Pędzelkiewicz umie świetnie o pierwszych Piastach.

— No więc mów, chłopcze — rzekł dyrektor.

— Bolesław Chrobry kazał wybijać zęby... — wykrztusił Pędzel i umilkł. Zaciął się.

Poczułem, że robi mi się stanowczo niedobrze.

Szekspir znów chciał podpowiedzieć złośliwie, ale w ostatniej chwili udało mi się zatkać mu usta. A Pędzelkiewicz wciąż milczał.

— Czy tylko to zapamiętałeś z historii pierwszych Piastów? — zapytał załamany głosem Alcybiades. — Umiałeś przecież wszystko.

— Już zapomniałem. To było dawno.

— Może Słabiński wobec tego? — zaproponował Żwaczek.

Ale Słabiński otworzył tylko usta jak ryba. I stał tak z otwartymi szeroko ustami. Bardzo głupio wyglądał.

— Zaczniemy z innej beczki — rzekł Dyr — widzicie, jaki jestem cierpliwy. Nasz prymus, Juliusz Lepki, powiedział nam, że ty, Ciamciara — dyrektor zwrócił się do mnie — interesujesz się teatrem. Czy możesz nam wobec tego powiedzieć, gdzie był pierwszy teatr w Warszawie?

Nie wiedziałem. Na próżno szukałem w pamięci. Poczułem się pusty, wyjałowiony z wszelkiej wiedzy.

— W ogrodzie zoologicznym — usłyszałem syk Szekspira. Ale nie chciałem go słuchać, wiedziałem, że podpowiada źle.

Spojrzałem zdruzgotany na Alcybiadesa. Wciąż jeszcze czekał z nadzieją. Wierzył we mnie. Nie, to nie było tylko czekanie. Widziałem jego oczy. Była tam prośba... błaganie...

Ale ja nic na to nie mogłem poradzić. Nie odpowiedziałem. Jak przez ścianę dochodziły mnie dalsze pytania:

— Kto to był Małachowski?

— Dlaczego jest plac Małachowskiego?

— A Poniński?

— A Jasiński?

— A Krasicki?

— A Dekert?

Nie mogłem słowa wykrztusić, choć chyba gdzieś, kiedyś słyszałem o tych postaciach.

— Więc to są ci najlepsi uczniowie, kolego Misiak? — rzekł surowo dyrektor. — Pan nas okłamał.

Alcybiades stał pod kolumną króla, nieszczęśliwy i bezradny w swojej śmiesznej koszuli w optymistyczne groszki.

— Za co pan im stawiał te bajeczne stopnie? Przekupili pana czy oszukali? — uśmiechnął się szyderczo Żwaczek. — Pan musi natychmiast odejść, pan jest zbyt łatwowierny, pan nie nadaje się na nauczyciela.

— Pan musi odejść — powtórzył Dyr — pan jest za stary i zbyt zmęczony. Nasza sławna szkoła wymaga nauczycieli silnych i energicznych.

Myślałem, że Alcybiades coś powie, ale on tylko patrzył na nas smutnymi oczyma. Przypomniałem sobie, co to znaczyło. To było zapisane w kartotece ogólnej Sposobu.

— Panie profesorze... — wykrztusiłem.

Chciałem wszystko wyjaśnić, ale on już odwrócił się i odszedł.

Patrzyłem zrozpaczony na jego przygarbioną sylwetkę niknącą w perspektywie placu... Potem pobiegłem za nim... Zobaczyłem, że zjeżdża w dół na ruchomych schodach. Goniłem go zadyszany, przeskakując po kilka stopni naraz. Dopadłem go w pasażu na dole.

— Panie profesorze, myśmy pana naprawdę kochali!

— Proszę nie wierzyć uczniowi Ciamciarze, kolego Misiak — usłyszałem koło siebie głos i z przerażeniem ujrzałem Żwaczka. — To oszust. Zastosowano wobec pana SPONĘ specjalną, czyli NUPUM w kombinacji z metodą WAB-u. Czy słyszał pan o metodzie WAB-u? Jest to Wielki Bluff, którego pan padł ofiarą. Ciało pedagogiczne ostrzegало pana, lecz pan zaufał swoim przytępiionym zmysłom. Dał się pan zbluffować i w rezultacie uległ pan SPONIE. Pan nie wie, że oni kupili Sposób na pana? Nazywają to właśnie SPONĄ. Kupili za psie pieniądze. Wszystkiego czterdzieści siedem złotych i dziesięć groszy. Pan był doprawdy tani. Za Sposób na mnie musieliby zapłacić co najmniej dziesięć razy tyle.

Alcybiades odwrócił się ode mnie.

Chciałem pobiec za nim, ale Żwaczek przytrzymał mnie silnie za ramię kościstą ręką.

— Przystań dręczyć tego starego człowieka. Daj mu odejść. Czy nie słyszałeś, co mówił pan dyrektor? Pan Misiak musi odejść.

— Nie! — zawołałem.

— Musi. SPONAA wykazała jego bezradność.

— Nie, pan nic nie rozumie. On nie był bezradny. Myśmy go szanowali. Szanowaliśmy najbardziej ze wszystkich.

— I dlatego zastosowaliście Wielki Bluff? — uśmiechnął się Żwaczek.

Chciałem się wyrwać, ale on mnie nie puszczał.

— Nie uciekaj! Powiedziałem, że nigdzie nie pójdziesz. Wracamy do szkoły. Teraz ja wezmę się za was. Na mnie nie macie Sposobu. Będziecie dziś pisać klasówkę na temat: „Jak kupiliśmy SPONĘ”.

— Nie, ja nie mogę, panie profesorze, przyrzekłem tajemnicę.

— Nie ma już tajemnicy. Lepki wyznał nam wszystko.

Zebrałem wszystkie siły i wydarłem się wreszcie z rąk Żwaczka.

Szukałem wszędzie Alcybiadesa, na Mariensztacie, na Powiślu, na Solcu, póki mi tchu nie zabrakło. Potem zrezygnowany ruszyłem w kierunku szkoły. Na rogu spotkałem Zasepę, Pędzla i Słabego.

— Na co czekacie?

— Czekamy na Alcybiadesa. Przecież dzisiaj mamy zebranie kółka.

— Idioci! - zasapałem. - Czy nie rozumiecie, że Alcybiades nie wróci już nigdy do szkoły? Nie wiecie, co to był za Sposób! To był świetny sposób na zniszczenie Alcybiadesa!

— Kto mówi o zniszczeniu Alcybiadesa! On tu musi przyjść.

— Nie przyjdzie.

— Przyjdzie. Będziemy czekać.

Zaśmiałem się.

— Nie śmieć się tak, twój śmiech jest straszny - zatrząsł się Pędzel - nie mogę słuchać tego śmiechu. Powiedz mu, Słaby, żeby się tak nie śmiał.

— Nie śmieć się tak — trącił mnie Słaby — przecież widzisz, jak to działa na Pędzla.

— Mam prawo śmiać się tym śmiechem — odparłem — to jest śmiech rozpaczny. Gdy już nie ma nadziei, niektórzy tak się śmieją.

— Nie rozpaczaj! On tu musi przyjść!

Czekaliśmy więc dalej, złorzecząc sobie nawzajem i rzucając w twarz oskarżenia. Czekaliśmy tak do wieczora, ale na próżno. Nie przyszedł. Więc kiedy zapadł wieczór, zdobyliśmy się na odwagę, postanowiliśmy odszukać jego dom i pójść do niego do domu.

Pamiętam skrzypiące drewniane schody starego domu w odludnej dzielnicy... Wiatr kołysał lampą na ulicy i cień krzyża ram okiennych chwiał się na ścianie klatki schodowej, jakby za chwilę miał paść...

Z góry dochodził gwar. Podnieśliśmy oczy. Na podeście drugiego piętra stała gromada ludzi w czarnych garniturach. Wśród nich zauważyliśmy naszego Dyra i Żwaczka. Siedzieli na poręczy schodów i palili papierosy, puszczając wielkie kółka dymu, które leniwie rozplywały się w powietrzu, a nam się zdawało, że układają się w niezgrabne litery: SPONAA...

Obaj mieli czarne cylindry i białe rękawiczki. Cofnęliśmy się wystraszeni i wpadliśmy na dole na dwu listonoszy, którzy taszczyli jakieś wielkie paczki.

— Co jest w tych paczkach? — zapytaliśmy niespokojnie.  
— Sto dwa kilo kondolencji.  
Ale myśmy nie zrozumieli, o co chodzi.  
— Czy tu ktoś zmarł?  
— Tak — odpowiedzieli ci ludzie. — Pomoglibyście nam zanieść. Chociaż ze dwadzieścia kilo.  
— Nie mamy czasu. My w sprawie nie cierpiącej zwłoki.  
Zastukaliśmy w jakieś drzwi. Wyjrzał z nich człowiek w czarnym cylindrze.  
— Przepraszamy, my do pana profesora Misiaka.  
— Właśnie go znoszą — odpowiedział człowiek w czarnym cylindrze.  
Istotnie, po drugiej stronie z otwartych drzwi sześciu żałobnych mężczyzn wyniosło czarną trumnę.  
— Nie! Nie! Nie zgadzam się! To nieprawda! — krzyknąłem. — On nie mógł... On wiedział, że my go naprawdę kochamy...  
Ale nikt nie zwracał na ten krzyk uwagi. Żałobnicy z trumną szli wprost na mnie, a ja rozpoznałem, że to Dyr i Żwaczek niosą w pierwszej parze tę trumnę.  
Obok kroczyli z zapalonymi świecami w rękach: Więckowska, Dziadzia, Farfala, pani Kalino, pan Dendroń i pan Nierucha, i cały personel szkoły.  
Wystraszeni wycofaliśmy się na ulicę.  
Niebawem z domu wyniesiono trumnę. Za nią poczęli wychodzić goście żałobni. Czekaliśmy, aż wszyscy wyjdą, żeby dołączyć do końca konduktu. Ale oni wychodzili i wychodzili, milczący, ze spuszczoneymi czołami, wychodzili parami nieskończonym korowodem i wszyscy mieli dziwnie młode twarze. Kondukt wyciągnął się już na całą długość ulicy, a oni ciągle wychodzili parami, jak z lekcji. Rozpoznaliśmy wśród nich magistra Rączkę, tego od siarki; trzymał za rękę wiceministra. A za nimi kroczyli dostojnie w mundurach generał i ambasador.  
Nie było tylko chłopaków z naszej klasy. Nagle spostrzegliśmy ich. Biegli zadyszani z mapami, z planszami, z wykresami, z kasetami filmów... Chcieli się wcisnąć w kondukt, ale nie było miejsca.  
Doszliśmy do nich.  
— Poczekajcie, aż wszyscy przejdą — powiedzieliśmy — pójdziemy na końcu.  
— Dobrze — odparli.  
— Ale po co zabraliście te rzeczy?  
— Przecież zawsze odprowadzaliśmy go z mapami.  
Czekaliśmy długo, ale nie mogliśmy doczekać się końca tego żałobnego pochodu. Zaczęliśmy więc towarzyszyć z boku konduktowi. Na szczęście ulica była ciemna i nikt nie zaglądał nam w twarze. Obok nas szli dwaj mężczyźni żałobni. Jednemu z nich wyglądał spod płaszcza biały fartuch, a z kieszeni — lekarska słuchawka. Drugi miał na sobie togę prokuratora. Rozmawiali po cichu.  
— Więc go badałeś? — dobiegły nas słowa.  
— Byłem przy jego śmierci.  
— I jesteś pewien?  
— Tak, zgon nie był naturalny.  
— Co o tym myślisz?  
— Zabójstwo.  
— Czy ich złapią?  
— To możliwe. Mordercy chętnie przychodzą na pogrzeb ofiary. Milicja już czeka.  
Obejrzelśmy się bojaźliwie. Rzeczywiście za każdym drzewem stali milicjanci i przyglądali się uczestnikom pogrzebu. Niektórym świecili w twarz latarką.  
Serce biło mi w piersiach jak młotem. I coraz trudniej było iść... nogi miałem jak z drewna. Nagle oślepiło mnie światło.  
— To jeden z nich — ktoś zawołał. — Łapać mordercę!  
— Nie! Nie! — krzyknąłem przeraźliwie. — Nie jestem mordercą!  
Chciałem uciekać, ale niezmierny tłum dawnych uczniów Alcybiadesa z parasolami i laskami rzucił się za mną. Okrążył. Obalił na bruk. Tysiąc rąk wyciągnęło się po mnie...  
— Co się stało? — usłyszałem głos ojca. Stał nade mną w długiej nocnej koszuli i starał się mnie podnieść z podłogi. Światło było zapalone.  
— Alcybiades zmarł — wyszeptałem.  
— Jaki Alcybiades? — ojciec patrzył na mnie z niepokojem.  
Dopiero teraz oprzytomniałem do reszty i zawstydziliśmy się. Spojrzałem zły na ojca, że widział mnie w takim stanie.  
— Coś ci się śniło? — zapytał ojciec.

— Nie... po prostu... ćwiczyłem rolę... rolę zabójcy... Nie wiesz, grywam teraz w teatrze... zapytaj się Szekspira.  
— Szekspira? Co ty bredzisz?  
— To znaczy Juliusza Lepkiego z dziesiątej... Mama zawsze chciała, żebym został aktorem, więc ćwiczę...  
— Po ciemku? Na podłodze? W nocy?  
— W nocy? A która godzina?  
— Czwarta.  
— Będę teraz zawsze wstawał o czwartej... Życie jest zbyt krótkie, żeby je przesypiać.  
— Dosty tych żartów! — zdenerwował się ojciec. — Marsz do łóżka, i spać! I powiem matce, żeby poszła z tobą do neurologa.  
Położyłem się z powrotem, ale już nie zasnąłem do rana.

## Rozdział XVI

Wczesnie rano, gdy byłem jeszcze w łóżku, przyszedł do mnie Zasepa.

— Chciałem ci coś powiedzieć — zaczął niepewnym głosem — myślałem, że już wstałeś.  
— Nie, jeszcze leżę.  
— Jak ci się spało?  
— Świetnie. Miałem przyjemny sen.  
— Przyjemny? — Zasepa spojrział na mnie zaskoczony.  
— O, tak. Śnił mi się taniec. Bał wychowanków szkoły. Więckowska upiekła z tej okazji cały drób i podawała do stołu. Wąflusz Pierwszy przygrywał do tańca na kontrabasie. Było bardzo wesoło. Dyr tańczył ze Żwaczkim. Rączka z wiceministrem.  
— A Alcybiades?  
— Przestań mnie dręczyć Alcybiadesem.  
— Nie myślałeś o tamtej sprawie?  
— O jakiej?  
— O Alcybiadesie.  
Zaśmiałem się.  
— Ja? Koń Cycero ma dużą głowę, niech myśli. Ja nie mogę brać odpowiedzialności za niedołęstwo goga. Naszą rzeczą jest robić te rzeczy, a rzeczą gogów jest nam nie wierzyć i przeszkadzać.  
Zasepa był wstrząśnięty.  
— Nie wiedziałem, że taki jesteś, Ciamcia.  
— Jaki?  
— Twardy.  
— Och, ty mnie nie znasz. Nigdy nie chciałeś mnie poznać.  
— Naprawdę nic cię nie obeszło?  
— Nic. Nie ma powodów do rozklejania się. Cóż się takiego stało? Po prostu znów stoimy w punkcie wyjścia. Zagrasz w makao?  
Zasepa wzdrygnął się.  
— Nie mam jakoś ochoty.  
— Rozłożyłeś się, Zasepa. Nie myślałem, że to cię tak rozłoży. Z pewnością źle spałeś. Powieki masz czerwone.  
Zasepa się zmieszał.  
— Całą noc bolał mnie ząb.  
— A to przykre — powiedziałem.  
Zasepa zakręcił się niespokojnie.  
— To ja już chyba pójdę.  
— Idź — powiedziałem. — Nie, zaczekaj! Nie mogę cię puścić w takim stanie. Co myślisz robić dzisiaj? Wydaje mi się, że potrzebujesz rozrywki. Jakaś mała higieniczna draka dobrze by ci zrobiła. Może pójdziesz do tych z Ełku?  
— Oszalałeś? Po co?  
— Zrobić kawał tym łebkom. Powiesz, że cię przysłali, abyś ich zawiózł do muzeum. Wepchniesz bractwo do muzeum i będziemy mieli spokój. Albo jeszcze lepiej, zapakuj ich na statek i puść do Płocka w dół rzeki. Albo w górę — do Czerska. Odwiedzisz rolnika-archeologa i zobaczysz, czy poczciwiec czego nie wyorał... Można jeszcze porwać Alcybiadesa. Co ty na to?  
— Co ci chodzi po głowie, Ciamcia — Zasepa cofnął się przerażony do drzwi — nie poznaję cię! Oszalałeś



chyba z nieszczęścia.

— Czekaj, miałeś mi coś powiedzieć.

— Nie, już nic.

— Widzę, że ząb ci wciąż dolega.

— Cześć!

— Cześć, i radzę pójść do dentysty.

Wybiegł szybko.

\* \* \*

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, wyskoczyłem z łóżka, ubrałem się pośpiesznie i, oglądając się, czy nikt mnie nie widzi, popędziłem do szkoły.

Alcybiadesa zastałem w małym gabineczku koło pokoju nauczycielskiego. Odetchnąłem nieco, gdy stwierdziłem, że jest sam. Lekcje właśnie się niedawno zaczęły i wszyscy profesorowie rozeszli się już do klas.

— Dzień dobry, panie profesorze.

— Kto to? — nie podniósł nawet głowy. Siedział nad stertą zeszytów.

— Ciamciara z ósmej A.

— Co? Już? Wycieczka będzie dopiero o dziesiątej.

— Tak, panie profesorze, ale ja... ja... — zająknąłem się.

— Masz jakąś sprawę?

— Tak jakby... — przestąpiłem z nogi na nogę — przyszedłem...

— W sprawie epidiaskopu? Jutro wyświetlimy materiały z Pompei.

— Nie chodzi o epidiaskop...

— Wiem, wolelibyście film, ale w tym tygodniu nie da rady. Za to w poniedziałek...

— Ja nie w sprawie filmu, tylko w sprawie...

— Kółka? Nie przejmuj się tym, chłopcze. W kółkach dzieją się różne rzeczy, ale potem to się układa.

— Z pewnością, panie profesorze, ale rzecz nie w tym... to dotyczy raczej pana profesora.

— Chodzi o pakt? — zapytał przerzucając zeszyty.

— W pewnym sensie.

— Macie jakieś zastrzeżenia? — mówił, wciąż nie patrząc na mnie. — Może w czymś uchybiłem, czegoś zapomniałem lub coś przeoczyłem? Z góry proszę o przebaczenie, przyjacielu. Wszystko było możliwe w tym tygodniu. Zostałem tytanem pracy, Ciamciara. Czy wiesz, że zawarłem duumwirat z klasą ósmą C, a zapewne zawrę go także z klasą B. Przez naszą szkołę wieje wiatr historii, jak by powiedział nasz drogi dyrektor. Niestety, wiatr to nowa męka dla wiatraków. Spójrz na te wypracowania historyczne. Każde ma przynajmniej dziesięć stron, a są takie, co mają i dwadzieścia. A ja jestem wiatrakiem, co musi zemleć ten urodzaj...

Patrzyłem na niego z troską. Jego gderliwe ożywienie świadczyło, że jest w wyjątkowym humorze. „Jak ja mu to wyznam” — myślałem niespokojnie.

Tymczasem on mówił dalej:

— Tak, mój drogi Ciamciara, w dodatku zbliża się okres, codziennie mam zebrania, no, a wykończą mnie zupełnie wycieczki. Wszystkie Legie pozazdrościły ósmej A i opanował je duch wędrówek, co nie jest nawet dziwne, gdyż wiosna, jak mówi pan Ejdziatowicz, z którym najzupełniej się zgadzam, wyzwala u czwororęcznych pierwotne, atawistyczne skłonności do gromadnych i krzykliwych wyrajów. Jednakże to, co stało się tej wiosny, przechodzi wszelkie pojęcie. Czy nie sądzisz, że jest to wiosna godna epepei na miarę „Pana Tadeusza”? Niestety, podejrzewam, mój chłopcze, że ja tylko jedną taką wiosną będę miał w życiu, z tego prostego powodu, że chyba jej nie przeżyję...

Wzdrygnąłem się.

— Panie profesorze...

— Zadrzałeś, Ciamciara. Obserwuję u ciebie dziś dziwną nerwowość. Być może, myślisz, że zrobiłem aluzję do wojny punickiej, którą toczę z panią Kalino o salę na pierwszym piętrze, zaanektowaną przez niecznych geografów. Ach nie, nie obawiaj się! Tę wojnę toczę, mój przyjacielu, z całym zimnym uporem i w doskonałej kondycji, powtarzając na wszystkich sesjach: CETERUM CENSEO KALINAM DELENDAM (nauczyłem się tego od naszego przyjaciela, Katona). Ale, powtarzam, głowa do góry. Hannibal w spódnicy nie może mnie zmóc. Jeśli się czego obawiam, to tego, że padnę na skutek supplicium rotae, czyli męki koła. Jak wiesz, była to tortura znana już w średniowieczu. Nieszczęsną ofiarę przywiązywano do koła i zadręczano na śmierć. Męka ta, acz w formie bardziej wyrafinowanej, przetrwała po dziś dzień. Czuję, że czeka mnie właśnie taki koniec. Z tym, że będę poddany męce wielu kół i kółek jednocześnie, ponieważ znów powstały dwa nowe koła historyków starszych klas. Młodzieńcy ci mają szczególne ambicje.

Postanowili przenieść pewne tradycyjne poglądy. I widzisz, Ciamciara, drzę ze strachu. Nicowanie poglądów jest rzeczą niebezpieczną, gdyż nie wszystkie nadają się do noszenia po drugiej stronie. Ale czyż mogą gasić naukowe porywy młodzieży? Byłaby to bardzo smutna czynność. Smutna i okrutna. Jak łamanie gałęzi kwitnącej jabłoni.

Alcybiades podniósł głowę znad zeszytów i zapatrzył się w kwitnący ogród, z piórem zawieszonym w powietrzu.

Patrzyłem na niego ze współczuciem. Nieszczęsny nie podejrzewał nawet, że za chwilę jego spokój ducha i zadowolenie z siebie zostaną zniszczone bardziej gruntownie niż Kartagina.

— Przykro mi — powiedziałem — ale nie chodzi o żadne uchybienie czy przeoczenie ze strony pana profesora.

— Tylko o co?

— Po prostu chciałem na marginesie dzisiejszej wycieczki...

— Rozumiem. Masz propozycję, co do trasy.

— Nie, raczej chciałbym wyjaśnić... — znów się zaciąłem.

— Jakieś niejasności?

— Raczej omyłka.

— Coś nie gra? Jakieś trudności?

— Nazwijmy to niepokojem.

— Niepokój przed wycieczką?

— Tak.

— Niepokój naukowy jest twórczy — zauważył Alcybiades.

— Obawiam się, że nasz niepokój nie ma charakteru naukowego.

— Niepokój sumienia?

— Tak to można by określić. Chodzi o to... — chrząknąłem. — Nie chciałbym, żeby pan profesor mnie niewłaściwie zrozumiał i pomyślał coś złego o nas... Chodzi o to, że na początku roku szkolnego dokonaliśmy pewnych posunięć taktycznych.

— Taktyka była rzeczą cenioną już w starożytności.

— Tak jest, panie profesorze, otóż my właśnie wychodziliśmy z założeń taktycznych.

Ktoś zapukał do drzwi pokoju nauczycielskiego.

— Zobacz, kto tam — rzekł Alcybiades — i powiedz, żeby mi nie przeszkadzali.

Przeszedłem do pokoju nauczycielskiego, otworzyłem drzwi i stanąłem oko w oko z Zasepą, Pędzelkiewiczem i Słabym. Zrobiło mi się niedobrze. Spojrzeli na mnie wrogo.

— To on! — mruknął do towarzyszy Pędzel. — Jednak tu jest!

— Podejrzewałem, że on to gotów zrobić! — Słaby zasapał ze wzburzenia. — Zwała wszystko na nas!

— Wybielasz się przed Alcybiadesem naszym kosztem? — syknął Zasepa. — Więc to tak? Kiedy byłem u ciebie, drwiłeś i wykręcałeś się! Chciałeś mnie zrobić w awanturę z tymi z Ełku! Namawiałeś na draki. A sam po cichu... O ty zdrajco! Oszuście!

— Ciamcia był zawsze dwulicowy — rzekł Słaby.

— Wytlumaczę wam — jęknąłem — dajcie mi dojść do słowa! Postanowiłem się poświęcić. Nie chciałem was narażać i pomyślałem, że sam wszystko załatwię.

— Łezesz podle, Ciamcia! Nie wykręcaj się! Obnażyłeś dziś rano zanik uczuć ludzkich i całą ohydę moralną! Nie zważając na moje protesty, wdarli się do gabinetu.

— Panie profesorze — zadyszeli — co tutaj robił Ciamcia?

— Ciamciara przyszedł mnie dręczyć.

— Czy... czy on już powiedział panu profesorowi?

— Coś niecoś.

— Niech pan profesor mu nie wierzy. My to robiliśmy zupełnie bez złych zamiarów. Wychodziliśmy wyłącznie z założeń taktycznych — wyjąkał Zasepa patrząc na mnie spode łba.

— Dyplomatycznych — dodał Pędzel.

— Higienicznych — dodał Słaby.

— To samo mówił Ciamciara — westchnął roztargnionym głosem Alcybiades wracając do zeszytów — ale na dobrą sprawę zupełnie nie wiem, o co wam chodzi.

— Chodzi nam... no właśnie chodzi o to, że... — zaczął Zasepa i zakrztusił się.

— Widzisz, draniu, jak się krztusisz — szepnąłem ciągnąc go za rękaw do tyłu — niepotrzebnie się tu wtaranianiliście, już ja bym załatwił to za was.

— Wyznałbyś wszystko? Uczciwie? — spojrział na mnie z wahaniem.

— W tej sytuacji Alcybiadesa może uratować tylko nasze wyznanie. Inaczej rzuci się jak dziecko nieświadome w przepaść.

— Kiedy chciałem właśnie dziś rano o tym z tobą pomówić, nie chciałeś w ogóle gadać, strugałeś wariata i obnażałeś zgniliznę moralną.

— To prawda. Obnażyłem zgniliznę, gdyż nie chciałem, żebyście tu przyszli i dukali przed Alcybiadesem jak ofiary. To razi moje teatralne ucho. Do tego trzeba mieć umiejętności polityczne i takt dyplomatyczny, których wam Bozia poskąpiła. I błagam, jeśli chcecie zachować twarz wobec przyszłych pokoleń, pozwólcie, że ja będę mówił.

— Co tam za dysputy? — rzekł zaniepokojony Alcybiades. — W końcu przyszliście rozmawiać tu ze mną czy z sobą?

— Właśnie uzgadniamy linię, panie profesorze — odparłem.

— Czy to długo potrwa?

— Już jesteśmy gotowi. Otóż chodzi o to, że podjęliśmy działanie świadome.

— Tak, dość świadome — chrząknął Zasepa.

— I zaplanowane — dodałem.

— Premedytacja? — zapytał Alcybiades nie odrywając pióra od papieru. — Premedytacja, czyli działanie z góry obmyślane.

— Można to tak nazwać — zgodziłem się niepewnie.

— Nauka z premedytacją? To mi się podoba! — zawołał Alcybiades.

— Niezupełnie nauka — chrząknąłem — raczej wprost przeciwnie. Chodziło nam o Sposób.

— Sposób, czyli modus — powtórzył z roztargnieniem Alcybiades — ale jaki sposób?

— Sposób, czyli SPONAA.

— SPONAA, czyli Dryf.

— Dryf, czyli swobodne unoszenie się po głębinach historii.

— I zboczenie z kursu.

— Wydało to nam się korzystne.

— Zajmujące.

— Owocne.

— Lecz, niestety, mamy pewne obawy, że nasze wiadomości nie są... to znaczy...

— To znaczy raczej nie...

— Nie uporządkowane.

— Tak, to właśnie chciałem powiedzieć, panie profesorze. Nie uporządkowane i niewystarczające. Jednym słowem, ta wycieczka...

— Ten spacer z naszymi gośćmi z Ełku...

— Nie może się odbyć w naszym gronie.

— Aaa — powiedział Alcybiades i nareszcie odłożył pióro. Było to bardzo duże A. Zapanowała chwila denerwującej ciszy. Pierwszy odezwał się Alcybiades:

— Wasze wątpliwości wystawiają wam jak najlepsze świadectwo.

Spojrzelśmy po sobie nieszczęśliwi. Wciąż jeszcze nie pojmował grozy sytuacji.

— Panie profesorze — jęknąłem — powiem krótko. Myśmy się nie uczyli. Myśmy dryfowali. To wszystko było Dryfem.

Alcybiades milczał przez chwilę.

— Oczywiście, możemy nazwać to Dryfem — powiedział. — Bardzo ładne sformułowanie. Ale kto ośmieli się twierdzić, że Dryf nie jest metodą i że nie oddaje naukowych usług? Wielu odkrywców, zwłaszcza Amundsen i Nansen, i inni badacze Północy, umyślnie ustawiało swoje statki w dryf — dla celów naukowych. Kiedy dryfują po obszarach historii, unoszony prądem zagadnień przewijających się przez wieki, to nie tylko poznają po drodze fakty i wypadki historyczne, ale wiążą je w łańcuch przyczynowy, zaczynam rozumieć kierunek i sens przemian. A to jest najważniejsze.

Przygryźliśmy wargi.

— Dryf nie jest bezpieczny. Można wpaść na mielizny i skały, stracić mnóstwo czasu, zbłądzić, wszystko poplątać.

— Tak, ale przecież ja stałem na mostku — powiedział Alcybiades — można powiedzieć, przyjacielu, że nie spuszczałem oka z busoli i stale sprawdzałem położenie. Lecz było zadowalające. Prądy unosiły nas w korzystnych, z punktu widzenia nauki, kierunkach. To przecież było w warunkach umowy. Wyraźnie powiedziałem, że będę was traktował jak wolnych poszukiwaczy prawdy. Nie mogłem więc odrzucać waszych inicjatyw. To byłoby szkodliwe i niepotrzebne. Wasz sprawdzony poziom moralny, wasze żywe zainteresowanie, ośmielę się powiedzieć: wasza miłość do historii gwarantowały pomyślny wynik

eksperymentu. Zresztą — Alcybiades chrząknął nieskromnie — było do przewidzenia, że w tym triumwiracie i tak ja zostanę Cezarem. Nie, stanowczo nie widzę, byśmy w czymś naruszyli warunki umowy. Zasepa uśmiechnął się gorzko.

— No tak, tylko... że gdyby pan wiedział... O to właśnie chodzi, że zawarł pan z nami umowę, bo pan myślał, że my umieliśmy, inaczej pan by się bał... Nigdy by się pan nie odważył...

— Przecież umieliście.

— Nic nie umieliśmy. Katon świadkiem. Nic.

— Naprawdę? Ty także, Ciamciara?

— Żeby się dowiedzieć, co znaczy pięta Achillesa, sięgnąłem do encyklopedii.

— I ty, Zasepa?

— Nie odróżniałem hoplity od Hipolita.

— I wy, Pędzelkiewicz i Słabiński?

— Umieliśmy tylko o Piastach, bo nam kazali wykuć do Dryfu.

Alcybiades zastygł nieruchomo. Myślałem, że załamaliśmy go tym razem, ale okazało się, że powód jego osłupienia był inny. Wstał nagle i zbliżył się do nas ostrożnie jak do cennych i rzadkich eksponatów.

— Ależ w takim razie to nadzwyczajne! — zawołał. — Dokonałszy czynu nie notowanego w kronikach naszej sławnej szkoły. Jesteście godni podziwu!

— My? — oniemieliśmy. — Dlaczego?

— Że nic nie umiejąc, wchłonęliście wiedzę, jak gąbki, w rekordowym czasie i bez żadnego przymusu.

— Niczego się nie nauczyliśmy — zdenerwował się Zasepa.

Ale Alcybiades uśmiechnął się tylko pobłaźliwie.

— Powiedziałem już, że bardzo wam się chwali ta skromność. Mówiąc między nami, pan dyrektor też uważa, że nic nie umiecie, i właśnie dlatego tak mi zależy, żeby zademonstrować publicznie waszą wiedzę.

Ręce nam opadły. Wszystko na nic. Zaślepiiony człowiek. Pycha go przeżarła. Nic na to nie poradzisz.

— Panie profesorze, niech pan tego nie robi — jęknęliśmy niemal jednocześnie jak na komendę — my naprawdę nic nie umiemy.

— Przyjaciele, zwodnicza to pewność — potrząsnął łysiną Alcybiades. — Na przestrzeni wieków tylko jeden filozof odważył się powiedzieć „wiem, że nic nie wiem”, ale wy nie macie żadnego prawa powtarzać tego za nim, ponieważ nie jesteście filozofami. Więcej skromności, przyjaciele! Nie chcieliście się uczyć? Zgoda. Ale utrzymywać, że nic się nie nauczyliście, to zarozumiałość! Nie jesteście nieprzemakalni. Wiedza sączyła się w was podstępnie jak trucizna. Jesteście zatruci wiedzą. Oddychaliście wiedzą, kapaliście się w oceanie wiadomości, nie mówiąc już o tym, że byliście poddani promieniowaniu! Kiedy jesteście na słońcu, słońce was opala, czy chcecie, czy nie, czy myślicie o tym, czy nie. Cóż dopiero, kiedy ktoś was umyślnie wystawia na słońce i kiedy lubicie słońce. Wydało mi się bowiem, że koniec końcem, lubicie historię.

— Pan profesor jest pewien? — pociągnęliśmy nosami.

— Oczywiście. Tak jak Galileusz, gdy twierdził, że Ziemia się kręci.

Westchnęliśmy i nie próbowaliśmy już walczyć, zrezygnowani do szczętu. Wiara tego człowieka zdolna była przenieść góry.

— Dobrze — powiedział Zasepa — możemy iść na tę...

— Przechadzkę sondującą — powiedział Alcybiades.

— Przechadzkę sondującą — powtórzył niemal z płaczem Zasepa — ale jak będzie wsypa, żeby nie było na nas. My uprzedziliśmy uczciwie... umywamy ręce.

— A to się przyda — rzekł Alcybiades, rzuciwszy okiem na czarne paznokcie Zasepy.

Zasepa pośpiesznie schował ręce do kieszeni.

## Rozdział XVII

Na miejsce egzekucji wybrano najpierw Krakowskie Przedmieście. Wysiedliśmy z autobusu koło Akademii Sztuk Pięknych i z wisielczymi minami ruszyliśmy za Dyrem, Szekspirem i Alcybiadesem. Szekspir cały czas uśmiechał się pod nosem, co doprowadzało nas do jak najbardziej grobowych myśli. Obok, pod opieką swego nauczyciela, dreptała ufna dziatwa z Ełku. Słowo daję, żal nam się zrobiło, że dostała takich przewodników, jak my. Wyglądała całkiem sympatycznie i z pewnością zasługiwała na coś lepszego.

Dyr zatrzymał nas na rogu Trębackiej i Koziej i pokazał na stojący tam budynek.

— Może Słabiński coś powie na temat tego zabytku i jego roli dziejowej.

— To jest Poczta Saska — odpowiedział bez zająknięcia Słaby.

Odetchnąłem. Wyrok został odroczone. Na razie szczęście nam sprzyjało. Słaby był z zamiłowania filatelistą i kiedyś zapuścił głębszego Węża Morskiego na temat roli poczty w dziejach. W związku z tym całą lekcję

dryfowaliśmy poprzez stulecia, omawiając sposoby porozumiewania się ludzi na odległość, od najdawniejszych czasów aż po dzień dzisiejszy. Więc chyba Słaby jakoś wybrnie. Istotnie, poszło mu gładko. Zaczął od Hermesa, który był jakby ministrem poczty u olimpijskich bogów, potem poprzez gońców i posłów starożytnych, poprzez pocztę rzymską i królewską w czasach średniowiecznych, poprzez „uszy i oczy” królewskie, pocztę konną, dyliżanse, telegraf optyczny, telegraf „z drutem” i „bez drutu” — szczęśliwie wylądował przy poczcie nowoczesnej. Z Mickiewiczem też jakoś poszło. Dzięki Żwaczkowi, który wałkował z nami Mickiewicza od początku roku.

Trochę zdrewniałem, gdy poszliśmy na plac Zwycięstwa, dawny plac Saski, oraz do Ogrodu Saskiego i z tej okazji Alcybiades począł dręczyć pytaniami Bema. Ale, o dziwo, Bem zasuwiał bezpiecznie. Dopiero potem przypomniałem sobie, że przecież puściliśmy raz Węża na temat podków, które łamał w rękę król August Mocny Sas i z których jedną chciał nam odstąpić ów potomek kowali w Czersku.

Na placu Zamkowym udzielał wyjaśnień na temat kolumny i królów z dynastii Wazów Pędzelkiewicz. Słuchałem z niedowierzaniem jego nieco bełkotliwej, ale sensownej mowy i stwierdziłem, że mówi rzeczy mi znane, ja mógłbym mówić to samo i chyba każdy z nas. Skąd więc wziął się mój makabryczny sen?

Alcybiades stał pewny siebie na boku i patrzył z łagodnym uśmiechem na Dyra, który przysłuchiwał się podejrzliwie. Jego końska twarz była jeszcze bardziej długa niż zwykle, brwi ściągnięte. Wciąż jeszcze nie dowierzał i czułem, że gotuje się do generalnego natarcia.

Istotnie, gdy tylko stanęliśmy na Rynku Starego Miasta, począł wodzić po nas przenikliwym wzrokiem, jakby szukając ofiary. Bałem się, że chwila mojej kaźni nadeszła. Trzymałem się na uboczu i minę miałem niewyraźną, co mogło być wzięte za chęć uchylecia się od sondy. Mam bowiem taką niefortunna twarz, że ilekroć myślę intensywnie, wyglądam na skończonego imbecyla, a to prowokuje gogów. Dlatego zląkłem się, że chwila moja nadeszła i sonda zostanie zapuszczona w mętne płycizny mej wiedzy. I nie omyliłem się. Wzrok Dyra zatrzymał się na mnie. Czym prędzej wyszczerzyłem zęby w niewinnym uśmiechu, ale było już za późno. Usłyszałem gruby głos Dyra:

— Może teraz Ciamciara się czymś wykaże.

— Czy to konieczne, panie dyrektorze? Mam chrypę — i od razu zachrypiałem jak megafon kolejowy na dworcu w Koziębrodach, udając poważną niedyspozycję narządów głosowych.

W oczach Dyra zamigotał wesoły błysk.

— Nie potrzebujesz krzyczeć, Ciamciara — powiedział łagodnie.

Zrobiło mi się, mówiąc delikatnie, nieswojo. Postanowiłem jednak nie tracić fasonu.

— Co pan dyrektor rozkaże?

— Może wyjaśnisz kolegom, jak się nazywają poszczególne strony rynku i dlaczego?

— Służę koleżankom i kolegom — powiedziałem — jak koleżanki i koledzy widzą, rynek ma kształt kwadratu. Kwadrat jest figurą geometryczną, podobnie jak koło. Na kwadracie można opisać koło, można też do niego wpisać koło. Obok znajduje się nawet uliczka zwana Krzywym Kołem, co wskazuje, że budowniczowie rynku pragnęli opisać na kwadracie koło, ale wyszło im krzywo, więc zrobili tylko kawałek i dali spokój...

— Do rzeczy, Ciamciara. Nie kołuj! — skrzywił się dyrektor. — Masz mówić o stronach rynku.

— Tak jest, panie profesorze. Otóż rynek ma cztery boki, czyli strony, i każdy bok ma nazwę historycznie uzasadnioną... Tu, gdzie stoimy, jest strona Kołłątaja, tam strona Barsa, tam Zakrzewskiego, a tam Dekerta.

— Może teraz o Dekercie...

— Już się robi, panie dyrektorze. Dekert, proszę koleżanek i kolegów, nie należy mylić z dekretem, otóż Dekret, przepraszam, Dekert był...

„Do licha — myślałem gorączkowo — kim był właściwie ten mąż? Z pewnością patriotą.”

— To bez wątplenia wielki patriot, mąż sławny i czcigodny — powiedziałem głośno i utknąłem. — Przyzwoitego wzrostu — dodałem jeszcze na wycucie, ale nic więcej nie mogłem już dodać. Czułem, że jestem zagięty. O królach mogłem coś głądzić, ale ten Dekert? Daremnie szukałem skojarzeń w pamięci!

W oczach Dyra zauważyłem znów błysk szyderstwa. Tak, Dyr był jednak starym wygą gogicznym i od razu poznał, że mnie zagiął.

— Nieco szczegółów, Ciamciara — powiedział oglądając sobie koniec buta — może coś o epoce, o historycznym tle.

Rany, co robić?! Wciąż żadnych skojarzeń! Powyciągałem z zakamarków mózgu wszystkie portrety mężów znakomitych, obrazy Matejki i knoty muzealne. Daremnie.

Ten Dekert to chyba ktoś z epoki Kołłątaja. A więc kontusz, nie, raczej fraczek i peruczka. Z otchłani pamięci wydobywałem na światło wszystkie te różowe i żółte, błyszczące, werniksowane, popękane twarze

wyłaniające się z czarnych i brązowych sosów, w jakich je pławili ówcześni malarze. Na próżno! Żadna twarz nie przypomniła mi Dekerta.

Spojrzałem na Alcybiadesa, lecz, o zgrozo, biedaczyna nie zdawał sobie widać najmniejszej sprawy z grozy położenia i beztroskim wzrokiem obserwował gołębie gruchające na kamienicy Baryczków. A ja wciąż byłem w kropce, co więcej — popadłem w małą panikę. Już chciałem powiedzieć, że Dekert był sławnym korsarzem, ale w ostatniej chwili uprzytomniłem sobie, że korsarz nazywał się Drake i był Anglikiem w służbie królowej Elżbiety. Zresztą, skąd korsarz na starym pocziwym warszawskim rynku? Mój Boże, trzeba się wziąć w garść. Gotów jestem bredzić.

Zrobiło mi się bardzo smętnie na duszy. Ach, nie, nie można się uczyć historii bezboleśnie, za pomocą Dryfu. Zawsze znajdzie się jakaś czarna postać, jakiś nie wkuty pan Dekert, na którym się gładko przewrócisz.

A potem pomyślałem, że mój sen był symboliczny i proroczy. To całe smętne zgromadzenie jest przecież pogrzebem. Grzebiemy Alcybiadesa i siebie. Wkrótce Dyr straci cierpliwość i wrócimy do szkoły, niosąc stracone złudzenia, żalobną czarną procesję...

Nagle znieruchomiałem. Te słowa coś mi przypomniły. Procesja... Czarna Procesja! Mam! Znacie ten przyjemny skurcz serca, gdy nagle stanie na chwilę, a potem uderzy mocno i radośnie, kiedy nagle w mózgu robi się przeraźliwie jasno, jakby mała eksplozja jądrowa w szarych komórkach... Mnie właśnie coś takiego przytrafiło się wtedy.

— Czarna procesja — powtórzyłem głośno.

Ujrzałem pochód czarno ubranych mężów. Wychodzą z ratusza, którego dziś nie ma, i tam właśnie, na ich czele, zobaczyłem Dekerta. Wsiedli do powozów. Powozami podjeżdżają pod Zamek. Kiedy to było? W czasie Sejmu Czteroletniego. A Sejm Czteroletni? Sejm Czteroletni miał dźwignąć Polskę z upadku. Kiedyś dyskutowaliśmy w klasie na ten temat. Zacząłem przypominać sobie dokładnie...

Było to już po wielu Dryfach, kiedy coraz trudniej było znaleźć wygodny temat. Uradziliśmy więc, żeby wziąć na warsztat upadek Rzeczypospolitej.

Zagadnienie to pasjonowało nas od dawna. Pamiętam, jak trudno było pojąć, że Rzeczpospolita, która jeszcze w 1683 roku rozbijała Turków pod Wiedniem, w trzydzieści lat później była tak słaba, że car dyktował jej, ile może posiadać wojska.

Pamiętam tamten pochmurny grudniowy dzień. Nie było śniegu. Za to cały czas lało rzęsiście. Alcybiades przybył do szkoły z parasolem, a ciśnienie barometryczne było tak niskie, iż zachodziła, obawa, że złamie umowę i będzie pytał na stopnie i na wrywki. Dlatego, gdy tylko zjawił się w klasie, w dość zresztą podłym humorze, zaaplikowaliśmy mu z miejsca podwójną dawkę Haszyszu w postaci ciszy tak grobowej, że słychać było szepot wody w kaloryferach. A potem niezwłocznie, wypuściliśmy Węża Morskiego, prężnego i wielogłowego.

— Nam się zdaje, że to wina Sobieskiego, że Polska upadła.

Alcybiades zamrugał oczyma. Nasze tezy zawsze oszałamiały go na początku.

— Przecież miał tyle wojska. I był zwycięzcą spod Wiednia.

— Czy nie mógł zrobić porządku?

— On miał ostatnią okazję!

— Chyba był złym politykiem.

— Po co pomagał Austrii?

— To chyba byłoby lepiej, jakby Turcy zdobyli Wiedeń. Wypędziliby Habsburgów.

— I może nie byłoby rozbiorów.

— Powinien sprzymierzyć się z Turkami.

— Przecież wtedy mieliśmy wspólnych wrogów.

— A Sobieski nic nie zrobił, żeby naprawić Rzeczpospolitą od wewnątrz.

— I potem był kłops.

— Dlaczego nikt nie podniósł buntu, jak przekupstwem osadzono na tronie Sasa?

— Czy nie było wtedy mądrych ludzi?

— Gdzie się podziiali husarze?

— Dlaczego zgodzili się na Sejm Niemy?

— Wojsko powinno zrobić bunt?

— Zamach stanu!

— Spisek!

— Rewolucję!

Alcybiades osłupiał. Kiedy doszedł do siebie, zaczął porządkować zagadnienia i wyjaśniać splątane i ciemne przyczyny upadku Pierwszej Rzeczypospolitej.

Zastanawialiśmy się więc, czy jeden, choćby największy, wódz może uratować kraj, który ma zły ustrój, bez zmiany tego ustroju. I co trzeba było zrobić, żeby zmienić ustrój. I czy można robić rewolucję, jak nie ma „rewolucyjnych sił społecznych”.

Mówiliśmy o ludziach, którzy wreszcie zabrali się do naprawy Rzeczypospolitej. O Zamoyskim, Konarskim, Leszczyńskim, Czartoryskich, o ludziach z Kuźnicy Kołłątają. Tam był właśnie Dekert.

O polskich jakobinach, o twórcach Konstytucji Trzeciego Maja i o tych, którzy im przeszkadzali.

Teraz to wszystko stanęło mi przed oczami. I wiedziałem już, o czym mam zasuwać. I że, lekko licząc, mogę na ten temat zasuwać dwie godziny. Byle natchnienie mnie nie zawiodło, już ja im zadam bobu! Odechce im się na zawsze sondowania Ósmej Legii! Skończę z tą imprezą! Mam sposób! Oszołomię Dyra i tych gości. Zanudzę ich na śmierć. Dadzą spokój pytaniom i uciekną do domu.

Zacząłem więc wielki „spicz”.

— Koledzy wybaczą — powiedziałem — tę przydługą przerwę. Nie było to zagapienie, lecz, że tak powiem, olśnienie. Ujrzałem nagle historyczną scenę. Wyobraźcie sobie stary ratusz. Stał tutaj, pośrodku rynku. Z ratusza wychodzi czarno ubrany pan o twarzy długiej i smutnej. To właśnie Dekert, burmistrz Warszawy. Za nim kroczą dostojnie przedstawiciele innych miast królestwa, również w strojach żałobnych. Wsiadają do karet, oczywiście czarnych i zaprzężonych w konie kare, kare, czyli czarne. Słowo turkotatarskie, proszę koleżanek i kolegów. Porównajcie nazwę pustyni Kara-Kum — co znaczy czarne piaski, oraz przydomek wielkiego wezyra, Kara Mustafy, czyli Czarnego Mustafy, a źródłosłów stanie się zupełnie jasny.

Zadziwiwszy Dyra moją wiedzą lingwistyczną, smarowałem zdrowo dalej:

— Wróćmy do naszej Czarnej Procesji. Otóż ci smutni panowie są w żałobie. Z jakiego powodu taka żałoba? Z powodu doli miast, proszę koleżanek i kolegów. Dokąd jedzie ten kondukt? Ten kondukt jedzie do Zamku, gdzie obraduje Sejm Czteroletni, żeby przedstawić swoje żale, żądania i jakże słuszne pretensje.

Tu zacząłem mówić, jak miasta straciły swoją dawną świetność, jak zachłanna szlachta odebrała im prawa, jak upadał handel — a wszystko z powodu schorzeń organicznych Rzeczypospolitej. Choroba zaczęła się już bardzo dawno — wyliczyłem pierwsze objawy — nie leczona doprowadziła za Sasów do paraliżu królestwa. Mówiłem tak cały kwadrans, aż wreszcie zauważyłem ziewnięcie u pewnej otyłej dziewczynki. A zatem wszystko idzie pomyślnie. Odetchnąłem nieco i żeby więcej zanudzić, począłem wałkować te schorzenia Rzeczypospolitej. Porównywałem ją z sąsiadami, roztoczyłem całą panoramę dziejową. Potężni wrogowie z silną scentralizowaną władzą, z olbrzymimi armiami, a między nimi bezwładny kolos — Polska. O złych prawach mówiłem, o magnatach i królewietach, o ciemnej i przekupnej szlachcie, o warchołach i sobiepankach, którym nie chciało się płacić na wojsko ani na szkoły. Potem doli chłopą się uczepiłem. Jak wiecie, na temat doli chłopą można bez końca. Aż do pani Konopnickiej doszedłem i to mnie dopiero spłoszyło, że za daleko się zagalopowałem i że mogą mi przerwać przedwcześnie, więc porzuciłem dolę chłopą i nad dolą króla dla odmiany się uzaśliłem, jak to ten król polski też był biedny, bo tylko malowany, a nie szanowany, i bezsilny.

I o zgniliznie ustrojowej mówiłem. A że dużo tej zgnilizny było, więc mogłem się rozwodzić szeroko. Kiedy mi się sprzykrzyło, do Dekerta znów powróciłem. Jak ten Dekert walczył o odnowę Rzeczypospolitej w Kuźnicy Kołłątajowskiej. I wyraziłem żal, że miasta tak bardzo upadły, a potem wyraziłem przypuszczenie, że gdyby były silniejsze, to może mielibyśmy rewolucję jak we Francji i nie trzeba byłoby się prosić szlacheckich posłów i króla na Zamku. A tak musieli burmistrzowie na czarno się ubrać i na Zamek jechać. I jeszcze im wymyślali od jakobinów.

Uczniowie z Ełku poczęli się kręcić niecierpliwie i przestępować z nogi na nogę, a jeden racjonalista usiadł na chodniku, wyjął bułkę z salcesonem i zaczął zajadać. Biedny nauczyciel, ich opiekun, spoglądał raz po raz z nadzieją na Alcybiadesa. Alcybiades jednak, skończywszy obserwację gołębi na dachu kamienicy Baryczków, pochłonięty był z kolei obserwowaniem gołębi na dachu kamienicy Fukierów. Nieszczęsny pedagog z Ełku spoglądał więc na Dyra, ale z naszym Dyrem działy się dziwne rzeczy. Stał jak posąg zaklęty. Z pewnością moje natchnione słowa brzęczały mu w uchu jak najpiękniejsza muzyka i nie wiedział, co ma podziwiać bardziej: szerokość płaszczyzny dziejowej, zaskakujące dygresje czy płynność mojej wymowy.

A ja mówiłem wciąż, nakłuwając balon mojej wiedzy to z jednej, to z drugiej strony, wypuszczałem nieco wiadomości, potem znów go nadymałem i unosiłem się w inną stronę historii, aż na filozoficzne wyżyny. Czasem tylko podskakiwałem, ale zawsze z wdziękiem i pewną miną.

Ośłupienie Dyra trwało, jak stwierdziłem na zegarku ręcznym, około trzydziestu minut, co, jak mi oznajmiono potem, było rekordem jego gogicznych ośłupień, dotychczas nie pobitym zresztą.

Wreszcie poddał się.

— Ciampiara, przestań! — powiedział. — To chyba byłoby wszystko na dziś. Goście są pewnie zmęczeni.

Błady nauczyciel z Ełku czym prędzej nam podziękował. Ja w dowód szczególnego uznania otrzymałem od

dziatwy herb Ełku. Przypięto mi go do piersi niczym order zasługi. Po czym cała dzieciarnia wycofała się szybko.

Na placu boju zostaliśmy tylko my, Alcybiades, dyrektor i Szekspir. Szekspir uśmiechał się wciąż podejrzanie, dyrektor rozcierał w zakłopotaniu ręce. Otoczyliśmy Alcybiadesa i patrzyliśmy zwycięsko w oczy dyrektora.

Dyrektor chrząknął.

— No, tak... Gratuluję. Widzę, że zbudził się w was duch naszej szkoły. Zastanawiam się tylko, jak to było możliwe.

Staliśmy z mocno niepewnymi minami. Właśnie! Jak to było możliwe? Cud? Zemsta Szekspira? Podstęp Alcybiadesa? Nadzwyczajna moc Sposobu? Czy geniusz ÓSMEJ LEGII?